



JURIJ ANDRUCHOWYCZ

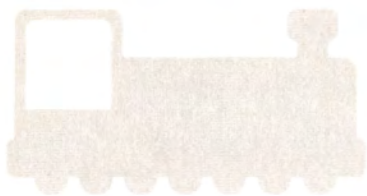
DIABEŁ
TKWI
W SERZE





© Rita Galli-Jost

Jurij Andruchowycz (1960); prozaik, poeta, eseista, tłumacz. Założyciel grupy poetyckiej Bu-Ba-Bu. W Polsce ukazały się cztery jego powieści: *Rekreacje*, *Moscoviada*. *Powieść grozy*, *Perwersja* oraz *Dwanaście kręgów*, za którą został odznaczony w 2006 roku Leipziger Buchpreis, przyznawaną za dzieła przyczyniające się do porozumienia europejskiego, oraz Literacką Nagrodą Europy Środkowej Angelus; tomy esejów: *Erz-herz-perc*, *Moja Europa*. *Dwa eseje o Europie zwanej Środkową* (wspólnie z Andrzejem Stasiukiem) i *Ostatnie terytorium*. *Eseje o Ukrainie*; tom poezji *Piosenki dla martwego koguta* i płyty *Samogon* (z muzyką zespołu Karbi-do) oraz *Andruchoid* (słowa: Jurij Andruchowycz, muzyka: Mikołaj Trzaska, Wojciech Mazolewski, Macio Moretti). W 2008 roku nakładem naszego wydawnictwa ukaze się powieść *Tajemnica*.



JURIJ ANDRUCHOWYCZ

DIABEŁ TKWI W SERZE

Przełożyły

Katarzyna Kotyńska, Ola Hnatiuk, Renata Rusnak



Wołowiec 2007

Tytuł oryginału ukraińskiego
DYJAWOŁ CHOWAJET'SIA W SYRI

Projekt okładki i stron tytułowych AGNIESZKA PASIERSKA
Fotografia Autora © by RITA GALLI-JOST

Copyright © by JURIJ ANDRUCHOWYCZ, 2006

Copyright © for the Polish edition
by WYDAWNICTWO CZARNE, 2007

Copyright © for the Polish translation
by KATARZYNA KOTYŃSKA,
OLA HNATIUK, RENATA RUSNAK, 2007

Teksty z tomu *Diabeł...* ukazały się wcześniej w pismach „Dzerało tyżnia”, „Krytyka”, „Potiah 76”, „Stolicznyje nowosti”, „Gazeta Wyborcza” i książce *Sarmackie krajobrazy. Głosy z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Niemiec i Polski*

Redakcja MAGDALENA BUDZIŃSKA
Korekta MAŁGORZATA POŹDZIK/DESIGN PLUS
MAŁGORZATA PASZ/DESIGN PLUS
Projekt typograficzny i skład ROBERT OLEŚ/DESIGN PLUS

ISBN 978-83-7536-000-4

PROLOG

Z Düsseldorfu wracałem do Berlina w sobotę po południu. Lot miał czterdzieści minut opóźnienia, bo samolot został zatrzymany w Nicei. Tak mi powiedział pan, który odprawiał mój bagaż. Wszystko to nie najlepiej pasowało do mojej znajomości geografii. „Dlaczego Nicea, jaka znów Nicea, co tu ma do rzeczy Nicea?” – zdumiałem się. Machnąwszy wreszcie (tak samo w myślach) ręką na całą tę zagadkową trajektorię lotu, niespiesznie udałem się ku wskazanemu na moim bilecie wyjściu B79. Tam znalazłem się wśród samych Francuzów, co znów zbiło mnie z tropu: dlaczego tylu Francuzów leci z Düsseldorfu do Berlina? Nie, gdyby to byli Japończycy, wcale bym się nie dziwił, bo Japończycy zawsze latają dużymi stadami. Ale dlaczego Francuzi? I dlaczego tylko i wyłącznie Francuzi? Co u licha tylu Francuzów ma do roboty w Berlinie? I co u licha robili do tej pory w Düsseldorfie?

Jasne, że nie znalazłem odpowiedzi na wszystkie te niepokojące pytania. Udało mi się jednak zagłębić w książkę – tym razem był to *Wysoki Zamek* Stanisława Lema, absolutnie znakomite wspomnienia Starego Mistrza z dzieciństwa we Lwowie lat trzydziestych. Zaczytałem się i w efekcie wszyscy Francuzi gdzieś poznikali. To znaczy kiedy oderwałem się od książki, żaden z nich nie kręcił się już koło wyjścia B79. Dopiero wtedy

z ulgą zauważyłem, że czekali nie na mój samolot, tylko na zupełnie inny – do Paryża. W tym wszystkim pojawiła się przynajmniej jakaś logika. „No dobrze – pytałem sam siebie – ale kiedy wreszcie podstawią ten berliński samolot i dlaczego jestem tak samotny w moim oczekiwaniu? Dlaczego nikt prócz mnie nie chce lecieć do Berlina?”.

W toalecie zniecka usłyszałem z głośnika moje nazwisko, ale nie zdążyłem zrozumieć, o co chodziło. Na szczęście ogłoszenie zostało od razu powtórzone. „Uwaga, ostatnie wezwanie dla pasażerów Andruchowicza i Muszyńskiego lecących do Berlina. Prosimy niezwłocznie stawić się przy wyjściu B71”. Nie ma co ukrywać – brzydko zakląłem i co sił popędziłem do wskazanego wyjścia, gdzie sceptyczny młodzieniec o arabskiej urodzie przywitał mnie słowem „spóźniony”. Pokazałem mu bilet z wyraźnie wydrukowanym B79. „Sto razy ogłaszaliśmy, że B79 zostaje zmienione na B71 – otwarcie mnie zgasił i przepuszczając do wejścia, spytał: – A gdzie Muszyński?”. „Czy jestem jego stróżem?” – wyrwało mi się w odpowiedzi. Ale przedstawiciel kultury muzułmańskiej nie mógł i zresztą nie powinien był zrozumieć mojej aluzji.

W godzinę z czymś później, czekając w bezruchu na bagaż na berlińskim lotnisku Tegel, zwróciłem uwagę na dobry tuzin policjantów operujących przy wyjściu. Od czasu do czasu wybierali i zatrzymywali któregoś z pasażerów naszego samolotu, i sprawdzali bagaż oraz dokumenty. „Powściekali się – myślałem. – Od kiedy to sprawdzają już nawet na wewnętrznych lotach?”. Zrobiło mi się przykro z powodu poziomu demokracji w Niemczech.

Zdjąłem z taśmy moją torbę i ruszyłem wyzwaniom losu naprzeciw, przez szeregi policjantów. Żaden mnie nie zatrzymywał. Mój wygląd trudno nazwać arabskim.

Jeszcze tego samego wieczoru, błądząc po internecie, dowiedziałem się sporo o nocnych podpaleniach samochodów w Paryżu. Ze wszystkich doniesień wynikało, że w sąsiednim kraju zaczęła się wojna domowa. „Dobrze, że nie polecałem niechący do Paryża z tymi żabojadami” – przeszło mi przez myśl. Poza tym po raz pierwszy ze zrozumieniem odniosłem się do działań prewencyjnych policji na lotnisku Tegel.

W niedzielę na jednym z rosyjskich portali przeczytałem rubrykę poświęconą nocnym paryskim pogromom. Autor nie bez cichej złośliwej radości konstatował ostateczny krach liberalnej koncepcji zwanej „wielokulturowością”. „Na naszych oczach – pisał – rozpada się kolejna wielka iluzja”. Pokazałem mu wprost w monitor środkowy palec. Pewnie, gołąbeczku, wy tam w Moskwie już dawno zrobilibyście porządek ze wszystkimi tymi *czarnopyskimi* z Kaukazu. Grzebiąc przy tym pod gruzami kilkuset przypadkowych *swoich*.

W poniedziałek moje ulubione Jazz-radio z tylko sobie właściwymi apokaliptycznymi ostatnimi wiadomościami dnia oznajmiło, że minionej nocy w berlińskiej dzielnicy Moabit nieznani sprawcy spalili pięć samochodów. „Zdaniem policji – zapewniała lektorka – wypadki te nie mogą mieć nic wspólnego z pogromami w Paryżu i niektórych innych francuskich miastach”.

Znowu pokazałem środkowy palec rosyjskiemu komuniście. „Te, słyszysz? – spytałem – Nie mogą mieć nic wspólnego! Jasne?”.

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

CZĘŚĆ I

Z NIENAPISANEJ KSIĄŻKI
GRANICE EUROPY

Z Bazylei do Berlina jedzie się ponad siedem godzin i trzeba naprawdę lubić kolej, żeby tak nierozumny sposób przemieszczania się mógł kogoś cieszyć. Należę do tych, którzy lubią kolej. Ze wszystkich sił udaję, że podoba mi się ta nielogicznie rozciągnięta w przestrzeni strata czasu. Trzeba coś z nią robić. Można się w niej schować i uspokoić. Można czytać, można z głową zanurzyć się w książkę, siedem godzin to powieść na dwieście, czy nawet dwieście pięćdziesiąt stron, zależy od autora. Można łowić odbłyски jego słów, a przy tym patrzeć w książkę i czasem w okno i myśleć o swoich sprawach.

W pociągu z Bazylei do Berlina można myśleć o – przepraszam za słowo – Europie. Na przykład o dworcu w Zurychu, gdzie przesiadałem się na bezpośredni do Bazylei (dodatkowa godzina podróży). Dopiero dojeżdżaliśmy, w korytarzu wagonu zebrał się tłum pasażerów spieszących do wyjścia. Obok nas coraz wolniej przepływał peron, a na nim widać było coraz więcej policjantów. Stali parami, czasem trójkami – wzdłuż całego peronu, na który wjeżdżaliśmy, taki łańcuch. Nawet nie zdążyłem pomyśleć, co oni tu robią. Nawet nie wyobraziłem sobie, że wszyscy zaraz wsiądą do tego pociągu i ruszą nim dalej – na jakąś ogólnoszwajcarską naradę policjantów, na której będą im

wręczane imienne dyplomy uznania, imienne pistolety i, rzecz jasna, imienne szwajcarskie zegarki. Nawet nie zdołałem wysnuć takich przypuszczeń, choć podświadomie zdziwiłem się: po co ich tu aż tylu?

Potem idąc peronem do przejścia podziemnego, wszystko widziałem: z każdego wagonu wyładowywał się jeden-dwóch potężnych Murzynów z ogromnymi torbami i wszystkich natychmiast zatrzymywali rozstawieni wzdłuż peronu policjanci. A więc była to operacja specjalna. Murzyni wszystko z góry zaplanowali i żeby nie zwracać niczyjej uwagi, rozproszyli się po różnych wagonach. Jechali grupą, ale próbowali to ukryć, bo pewnie mieli powody. Może jakieś papiery były nie w porządku albo coś innego nie tak? Dwudziestu pięciu potężnych Murzynów z ogromnymi torbami – to za bardzo rzuca się w oczy. Ale okazało się, że nawet jeśli jest ich po dwóch w jednym wagonie – to też rzucają się w oczy. I któryś z wyczulonych pasażerów zdążył powiadomić policję – na przykład SMS-em. A może w każdym wagonie jechał jakiś wyczulony pasażer? I każdy z nich powiadomił policję miasta Zurychu o dwóch potężnych Murzynach w swoim wagonie?

Nie miałem czasu, by obserwować rozwój wydarzeń. Do odjazdu mojego następnego pociągu – do Bazylei – zostały trzy minuty, a musiałem przebiec z peronu ósmego na piętnasty. Los tych kilkudziesięciu Murzynów zatrzymanych przez policję na peronie dworca w Zurychu jest mi zupełnie nieznany. Może nawet podświadomie ucieszyłem się w tamtej chwili, że nie jestem Murzynem, bo też zostałbym zatrzymany i musiałbym okazać swoje papiery. Są w całkowitym porządku, ale uciekłyby mi pociąg z peronu piętnastego. Dobrze być białym, nie, wprost wspaniale – być białym w Europie. Nawet nie miałem czasu samego siebie skarcić za tę podświadomą radość.

Natomiast w pociągu z Bazylei do Berlina miałem dostatecznie dużo czasu, by coś zrozumieć: w tej scenie na dworcu w Zurychu chodziło przede wszystkim o granice. Europa, którą przyjęło się uważać za Stary Świat, tak naprawdę była i pozostaje najmłodszym z kontynentów. Do dziś trwa jej formowanie. Do dziś ona sama nie wie, gdzie ma granice, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Z innymi wszystko jest jasne – z Afryką, Ameryką i Australią, nawet z Azją wszystko jest jasne jak słońce. A z Europą – nie. Jest rozciągliwa jak rękawiczka z bajki. Jej granice są tak nieokreślone, że cały czas chce się je naruszać. Tym razem jedna z granic przebiegała przez ósmy peron dworca w Zurychu.

Europa to taka geograficzna ameba, która nieustannie zmienia kontury. Miejscami jest bardziej afrykańska od Afryki. I jeśli nie zechce stać się turecka, gorzko tego pożałuje. Jej granice rozciągają się wszędzie i nigdzie. Byłoby wprost grzechem, gdybyśmy nie skorzystali z tej „bezgraniczności”. Do tego przypada nam wyjątkowo zaszczytna misja – udowodnić Europie, że jest znacznie większa, niż sama sądzi. Przyzwyczać ją do innego sposobu myślenia o sobie. Do innego rozumienia siebie i tego, czym jest. A tym samym, być może, do jej uratowania. Albo przynajmniej uratowania tych, na których znów czatują obławy na wszystkich możliwych peronach.

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

1

Czasem zdaje mi się, że dokładnie wiem, po co są granice.

Wystarczy tylko znaleźć się strasznie daleko stąd, gdzie teraz piszę te słowa – i nie tyle w przestrzeni, ile w czasie. To znaczy warto wyobrazić sobie rok 1980, imperium radzieckie w jego (jak się jemu samemu wówczas zdawało) rozkwicie i nas – pięcioro studentów, dwóch chłopaków i trzy dziewczyny. Tego lata odbywaliśmy praktyki studenckie w Użhorodzie, najbardziej na zachód położonym mieście imperium, znajdującym się *za* Karpatami, jeśli patrzeć od północnego wschodu, czyli z Kijowa i Moskwy. Zarówno ten pierwszy, jak i ta druga były zresztą dla nas tego lata miastami zakazanymi – trwały w nich przygotowania do Olimpiady i obecność studentów była niezupełnie mile widziana ze względu na możliwość kontaktów z obcokrajowcami.

Dlatego na praktyki trafiliśmy do Użhorodu i była to swego rodzaju geograficzna kpina: aby uchronić nas przed Zachodem, najdroższa władza skierowała nas w najbardziej zachodni ze swoich kątów, w pobliże środkowoeuropejskich krajobrazów z pagórkami winnic, rzekami o zielonej wodzie i wieżami ratuszowymi. Użhorod okazał się miastem *przygranicznym*, równocześnie ogromnie podobnym do miast *zagranicznych*. Nie tyle krył się w nim, ile całkiem wyraźnie był obecny ten ambiwalentny,

transkarpacki konglomerat kulturowy, którego nigdy nie zdołał przesłonić powierzchowny sowiecki entourage.

W Użhorodzie jeździł autobus numer pięć (chyba dobrze pamiętam). Kiedy zbierało się nam na marzenia, wsiadaliśmy do niego gdzieś w centrum miasta i wysiadaliśmy na pętli. A pętla nosiła nazwę „Granica państwowa ZSRR”. To naprawdę działało, nigdy i nigdzie nie zdarzyło się nam nic podobnego – kurs miejskiego autobusu kończący się przed samą linią granicy, na samiusieńkim skraju olbrzymiego imperium, „szóstej części ziemskiego ładu”.

Wysiadaliśmy z autobusu i szliśmy szosą jeszcze kawałek przed siebie. Po obu stronach widzieliśmy rzadki las, przez który raczej nie dałoby się przejść. Z pewnością gdzieś tam, w niewidocznych zagęszczeniach, został przeorany i podzielony ogrodzeniami z drutu kolczastego. Wszędzie grały koniki polne i nie można już było określić po czyjej stronie. Tak jak nie dawało się powiedzieć, czyje gzy lgną do naszych przepoconych koszul. Przed nami znajdował się szlaban i radziecki pogranicznik maszerujący przy tym szlabanie tam i z powrotem w poprzek szosy. Stawaliśmy z dziesięć metrów od niego. Czasem z nim rozmawialiśmy. Czasem dawaliśmy mu parę papierosów. Wiedzieliśmy, że nie zrobi nam nic złego, bo są z nami dziewczyny, aż trzy. Oczywiście za każdym razem był to inny żołnierz. Jednak każdy z nich bardzo chciał spodobać się dziewczynom.

Ale tam, za szlabanem, ciągnęła się szosa, las – już po tamtej, zagranicznej stronie – przechodził chyba w pola, a dalej rysowały się pierwsze domy, sady i jakaś wieża, ratuszowa czy kościelna. Trudno było nam uwierzyć, ale to była Czechosłowacja. Wolny zachodnioeuropejski kraj. Patrzyliśmy w jej stronę, dłońmi osłaniając oczy przed słońcem, i wyobrażaliśmy sobie, że pewnego dnia uda nam się zobaczyć nawet Pragę.

Nie, nie byliśmy idiotami ani zombi, zdawaliśmy sobie sprawę, że u nich też jest „rozwinęty socjalizm”, doskonale wiedzieliśmy o czołgach na ulicach w 1968 roku, i byliśmy po stronie ich, nie czołgów. Ale ta bliskość niewidzialnej linii, ta granica, której przekroczenie było absolutnie niemożliwe (żołnierz z pewnością otworzyłby do nas ogień, nieważne jak bardzo chciał spodobać się naszym dziewczynom) i ta na wpół rozmyta w gorącym, rozchwianym powietrzu niepewna perspektywa tworzyły szczególny efekt osiągalności nieosiągalnego. Czy może odwrotnie – nieosiągalności osiągalnego?

Chyba właśnie od tamtej pory wiem, po co w ogóle istnieją granice.

2

Historia moich kontaktów z pogranicznikami i celnikami różnych państw liczy sobie dobry dziesiątek najrozmaitszych przygód. Nigdy przy tym nie usiłowałem przekroczyć granicy bez paszportu czy wizy albo, dajmy na to, przewozić w walizce niedozwolonych ilości alkoholu, tytoniu lub innych „gorących” towarów. Nic prócz pewnych zakazanych swego czasu książek, choć wtedy akurat obeszło się bez przygód – wszystko poszło jak po maśle. Ale taka już jest specyfika służb specjalnych, że nawet jeśli przestrzegałem prawa co do joty, i tak musiały mi wyciąć jakiś służbowy numer. Z pięć lat temu zastanawiałem się nawet, czy nie napisać o tym książki – antologii moich pogranicznych komedii i dramatów, zadedykowanej Zjednoczonej Europie, przyszłej Europie bez granic.

W tej książce z pewnością znalazłoby się miejsce na przykład dla czeskiego pogranicznika, wypisz, wymaluj dobrego wojaka Szwejka, który (w 1996 roku!) na widok mojego wciąż jeszcze

sierpo-młotowatego paszportu znienacka zaśpiewał „Sojuz nie-
ruszymy”. Trafiliby do tej kolekcji kilku Polaków, Słowaków,
Rosjan i nawet Białorusinów – cały problem tylko w tym, jak to
opisać. Niemców najpewniej by tam nie było – zawsze zachowy-
wali się wyjątkowo poprawnie, mimo pojawiania się służbowych
psów, owczarków, czemu towarzyszyły wiadome historyczne
komentarze naszych współobywateli. Przy okazji, jeśli chodzi
o naszych, to najczęściej, nie wiedzieć czemu, pytali mnie o dwie
rzeczy – ikony i narkotyki. Z czego wyciągam oczywisty wniosek,
że mój wygląd musi budzić podejrzenia w tych właśnie, dalece
niesąsiadujących ze sobą, dziedzinach. Poza tym zawsze pyta-
ją mnie o zawód, na co niepewnie odpowiadam „dziennikarz”,
bo przecież trudno poważnie potraktować odpowiedź „pracu-
ję jako pisarz”. Pewnego razu ukraińska pani celnik zaintereso-
wała się celem mojej podróży do Warszawy. Zupełnie uczciwie
odpowiedziałem, że jadę na konferencję. „A na jaki temat ta
konferencja?” – nie popuszczała. „Nostalgia” – odparłem. Pani
zastanowiła się przez chwilę, po czym zakomenderowała: „Ba-
gaze do kontroli!”. I przekopła moją walizkę, jak to się mówi,
do samego dna. Może w poszukiwaniu tej nostalgii?

3

Czwartego października 2003 roku moją pograniczną kolek-
cję uzupełnił jeszcze jeden epizod. Na lotnisku polskiego mia-
sta Wrocławia, dokąd przybyłem miniaturowym kukuruźniko-
podobnym samolocikiem z Monachium, zostałem zatrzymany
jako obywatel ukraiński. Nie wiem, na ile jest to wystarczająca
podstawa do zatrzymania – tym bardziej że miałem już w pasz-
porcie wstemplowaną trzy dni wcześniej polską wizę. Okazało
się jednak, że pierwszy października 2003 roku stał się nie tylko

dniem wprowadzenia wiz. Był przede wszystkim dniem, w którym zapaliło się dla nas czerwone światło. Po kwadransie badania, kartkowania, prześwietlania i opukiwania mojego teraz już trójzłabczastego paszportu poproszono mnie, żebym wyszedł z kolejki i nie spowalniał sprawdzania paszportów bardziej legalnych pasażerów. Czułem się w końcu jak pojmany terrorysta, stałem tak z boku, zgrzytając zębami i drapiąc paznokciami świeżo odmalowaną żelazną kurtynę. Wyobraźcie sobie, że długo i uparcie zapraszają was w gości, ale wy tak samo długo odmawiacie, bo wam zupełnie nie po drodze. A kiedy już wreszcie macie dość odmawiania, poddajecie się i z czystej uprzejmości przychodzicie, na progu pojawia się ktoś ze służby i oznajmia, że nie może was wpuścić.

Po gangstersku mówi się „zrobić kogoś”. To chyba właśnie ten przypadek.

Dopiero po tym, jak wszyscy prawdziwi Europejczycy zostali wypuszczeni do raję, dwaj przystojni i nader uprzejmi polscy pogranicznicy przeprowadzili ze mną służbową rozmowę. Celem mojego przyjazdu był tym razem festiwal o dość absurdalnej jak na owe czasy nazwie „Ukraina Viva!”. Miała ona świadczyć o naszym niezłomnym rozwoju i zwycięskim utwierdzeniu państwowości. Bardzo trudno wymówić tę nazwę w rozmowie z kimś, kto – nawet podświadomie – na wieki wieków widzi ciebie i twój kraj gdzieś tam, wśród outsiderów tego świata. Jaka znów „wiwa”?!

Byłem zły i powiedziałem im, że przyjeżdżam do Polski po raz ostatni. Tak to właśnie działa – całe to dyplomatyczne głędzenie: „rozszerzona Europa”, „UE i jej nowi sąsiedzi”, „Polska jako adwokat Ukrainy”. Nie – tu ma miejsce raczej coś innego: „do Europy razem z Rosją”! Czyli wizy, przeszkody, potrójna kontrola, psy stróżujące, czerwone światło. Zresztą chodziło mi nie

o konkretnego pisarza J.A., którego w końcu wpuszczą i może nawet przeproszą (tak też się stało). Nie, chodziło mi o coś innego: dlaczego od pierwszego października 2003 roku obywatela Ukrainy trzeba koniecznie podejrzewać i zatrzymywać? Po co został wprowadzony system wizowy – żeby nie wpuszczać? Na gorąco układałem w myślach najpilniejsze punkty dalszych adekwatnych działań. Natychmiastowe przyłączenie do Rosji. Natychmiastowe wprowadzenie wiz dla Polaków jadących na Ukrainę. Natychmiastowe stworzenie jeszcze jednej żelaznej kurtyny – jako przeciwwagi dla tej. I żeby nasza była wyższa, mocniejsza, trudniejsza do pokonania!

Nieco później, już w taksówce, trochę mi przeszło. Krajobraz za oknem prawie wcale nie różnił się od naszego. Te same blokowiska, kioski, uliczne „nielegalne bazarki” z babciami sprzedającymi pietruszkę, marchew i co się tylko da. Kogo tu od kogo chciano oddzielać? Czy to czasem nie żarty z tym ich całym „rozszerzeniem na wschód”? I jakże to tak: w Brukseli postanowiono, że nie można mnie wpuścić do domu? Bo ja tutaj właśnie jestem w domu – to nie ich tylko moja Europa, nasza Europa, inna Europa. I dobrze, że ona istnieje.

Gdzieś po godzinie ostatecznie porzuciłem pomysł natychmiastowego przyłączenia Ukrainy do Rosji. Uczony literaturoznawca znalazłby na to słowo „katharsis”.

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

1

Bez wątpienia rzeki są błogosławieństwem tego świata. Albo powiedzmy: mogłyby się nim stać, gdybyśmy obchodzili się ze światem znacznie bardziej ostrożnie. Jak wszystkie zodiakalne Ryby dają się zahipnotyzować rzecznej wodzie, zwłaszcza latem. Tak, jeziora też mają wiele zalet, jeziora też są piękne. Ale teraz chodzi mi o nurt, o jego plastyczność i elastyczność, o możliwość przemieszczania się w ślad za wodą i z wodą, nie mówiąc o innej, tak samo kuszącej możliwości – pokonywania jego, tj. nurtu, sprzeciwu. Przepraszam, jeśli to ostatnie uznaliście za metaforę.

2

To nie Wrocław, a Lwów powinien mieć tak wiele rzecznej wody, nie Breslau, a Lemberg. Jedno z najbardziej zapomnianych przez Europę europejskich miast, z jego zawsze niespodziewanymi i po dziś dzień nie do końca zniszczonymi, bezcennymi odkryciami widokowymi, okazuje się pozbawione pewnego nadzwyczaj właściwego dla europejskiej urbanistyki komponentu – rzeki. A to oznacza brak mostów (prawdziwych – tych nad wodą), brzegów, terenów zalewowych, przystani dla statków, samych statków, młynów wodnych, tam, wysp, kanałów,

a także tysiąca innych atrakcji, od których aż się w głowie kręci, zwłaszcza latem.

3

Spowodowało to niemal całkowitą nieobecność we Lwowie również innych elementów rzeczno-świata – marynarzy z dalekich stron, rusalek, nereid, syren, węży morskich, topielców, pokrytych łuską smoków i opancerzonych żółwi. Miejska mitologia musi się dziś obchodzić nawet bez trytonów. Jednym z najbardziej zuchwałych projektów przyszłych przemian miasta jest wypełnienie go wodami rzeki, przywrócenie bulwarów i terenów zalewowych oraz stopniowe poszerzanie i pogłębianie koryta, a także budowa wszystkich osiemnastu historycznych mostów między prawym i lewym brzegiem.

4

W rzeczywistości Lwów ma rzekę, tyle że niewidzialną. Istnieją niezbyt dobrze sprawdzone świadectwa różnych późnośrednio-wiecznych krajoznawców-münchhausenów, z których wynika, że za ich czasów Pełtew była spławna, w każdym razie jakieś bar-ki rybackie kursowały nią do Lwowa aż od Morza Bałtyckiego (dlaczego nie Północnego?), i można się tego domyślać na pod-stawie ówczesnych rycin. Rolę pośrednika pełnił Bug (a może jednak Bóg?), którego dopływem była właśnie (a może jednak jest?) Pełtew. O atlantyckich węgorzach, które w okolicach Lwo-wa można było łapać gołymi rękami, swego czasu napisałem nawet parę piosenek.

5

Moje piosenki o węgorzach są przeważnie w tonacji minorowej. Pod koniec XIX wieku lwowscy rajcy zdecydowali, że rzeka nie przynosi miastu nic prócz szkody. Wśród argumentów wymieniano miejscowe bagna, gnicie wody, miriady much i komarów, zagrożenie malarią oraz smród. Właśnie ta ostatnia uciążliwość najpewniej podpowiedziała im jedyne możliwe rozwiązanie – ukrycie rzeki pod ziemią, zamurowanie jej i oddanie Smrodowi Ostatecznemu poprzez uczynienie z niej systemu kanalizacji miejskiej. Powiadają, że w jamie orkiestrowej w Operze Lwowskiej po dziś dzień można usłyszeć podziemne bulgotanie skanalizowanych nieczystości.

6

Wydaje mi się to całkiem możliwe – Operę Lwowską budowano wprost nad świeżo zasypaną rzeką, w pewnym stopniu można ją uznać za gigantyczny nagrobek, czy wręcz rzeczne mauzoleum. Ale w takim razie najbardziej wrażliwi muzycy, trafiając do jamy, powinni słyszeć też coś innego. Na przykład jak przez duszny mrok rur przedzierają się, niemal stękając z wysiłku, w jedynym możliwym atlantyckim kierunku wyżej wymienione węgorze. Wiadomo, że węgorze mogą przeżyć nawet w rurach kanalizacyjnych, dając w ten sposób mieszkańcom miasta nie tylko nadzieję, ale i przykład.

7

Ale zacząłem od Wrocławia. Pod względem składu ludności jest to w dużym stopniu ten sam Lwów. Przynajmniej ten Lwów,

który istniał do drugiej połowy lat czterdziestych minionego wieku – z uniwersytetem, politechniką, archiwami, bibliotekami i kilkoma pomnikami włącznie. Można odnieść wrażenie, że w wyniku drugiego światowego kataklizmu ponad połowę pewnego miasta zdemontowano i ewakuowano o dobre pół tysiąca kilometrów na zachód. Słowo *ewakuowano* zostało tu użyte w bezpośrednim związku z określeniem *na zachód*. Do ruchu w przeciwnym kierunku lepiej pasuje słowo *deportowano*.

8

Co prawda nie jest do końca jasne, jak należy przy tym oceniać to, co stało się z poprzednimi mieszkańcami Wrocławia. Czy to nie sugestia samej Historii – oto każda ewakuacja ma w sobie coś z deportacji i na odwrót? Zresztą ci lwowianie, którzy przyszli na miejsce *tych* wrocławian, przeważnie również nie uważali siebie za ocalonych, a raczej za wypędzonych. Ale tu nie umiem się powstrzymać od pewnego przypuszczenia: w rzeczywistości *tych* lwowianom chodziło o rzekę. Skorzystali z historycznej okazji i uciekli od martwej rzeki do żywej. Ze wszystkimi jej mostami, wyspami, latarniami i restauracjami na wodzie.

9

Zachowali natomiast dla siebie Lwów wyobrażony. To taka idylla, raj na ziemi, same knajpy, kawiarnie, promenady, orkiestry uliczne, nieprzystojne przyśpiewki, charakterystyczny miękki akcent, południowo-wschodnia kuchnia i trochę bardziej oszalałymi napoje. We Wrocławiu takich rozkoszy nie było i nie będzie – tak przynajmniej sądzili niemal wszyscy byli lwowianie, którzy stali się wrocławianami. Wrocław z jego *poniemiecką*

zabudową to tylko ersatz domu, takiego ciepła jak z rodzimych galicyjskich pieców nawet nie ma się co po nim spodziewać. I wszystko, co zyskali w wyniku drugiego kataklizmu światowego, to Odra zamiast Pełtwi.

10

Czyli tak naprawdę zyskali Europę – tę, którą przyjęto uważać za rdzenną i prawdziwą. Tę, która jest przede wszystkim pluskiem wody. Nigdy nie zapomnę ostatnich dni lipca w Norymberdze, kiedy z kamiennej kładki spinającej dwa brzegi śródmieścia patrzyłem na gęstą i ciężką, niewiarygodnie czystą zieloną wodę, na ulegające jej nurtowi łany wodorostów (będziecie podejrzywać, że to cytat z Tarkowskiego) i, rzecz jasna, na ryby, na ich powolne, pełne cielesnej radości przepływanie tam, w dole. Powolne i ogromne ryby, piękno ryb w kanałach, w samym sercu starego miasta – to właśnie była Europa.

11

Staram się przywołać w pamięci jak najwięcej moich rzek, strumieni i potoków. *Moich* – czyli takich, które płyną już przeze mnie. To znaczy, skoro raz już w nie wszedłem, nie mogę z nich wyjść. Interesują mnie też działy wodne, te suche granice między morzami, przebiegające po grzbietach gór i wyżynach, tysiące kilometrów od samych brzegów. Lwów jest zbudowany na jednym z takich działów, skrywa dwa morza naraz – Czarne (z Argonautami, Odessą, Stambułem) i Bałtyckie (z bursztynem, sosnami masztowymi, Tallinem, Rygą i Sztokholmem).

Podobnie w okolicach Morgeten w szwajcarskim Simmental mogłem widzieć równocześnie Morze Śródziemne i Północne, stojąc na granicy między nimi. Rzeki odmieniają wszystkie nasze wyobrażenia o przestrzeni, jej organizacji i tym, co w niej do czego należy. Rzeki są nie tylko granicami, ale dają też możliwość pokonywania granic. Wystarczy, bym wyszedł z domu i przebył zaledwie jakąś godzinę drogi na południe, a znajdę się na brzegu Prutu, dopływu Dunaju, czyli w jednym basenie z Wiedniem, Budapesztem i Bratysławą. O to chyba właśnie chodziło zeszłej jesieni w Ratyzbonie.

Tamtego dnia moi znajomi artyści – on i ona – publicznie wylali do Dunaju wódkę zmieszaną ze świeżą krwią. Pamiętam nacięcia na jego plecach i jak ona po kropli zbierała z tych nacięć krew, jak bezbarwna ciecz w butelce powoli różowiała. A potem to wszystko zostało wylane do Dunaju ze starorzemieńskiego mostu. Idea polegała na tym, że ta krwawo-wódczana mieszanina stanie się pokarmem dla ryb i dzięki temu popłynie wodami Dunaju w dół, może aż do Morza Czarnego. I tam tę rybę, dajmy na to, złowią jacyś czarnomorscy rybacy, a potem zjedzą. I w taki oto sposób Europa zjednoczy się w rybie.

Albo ta wizja na Słowacji, gdzie chodziliśmy po górach. Miejsce nosiło nazwę Slovensky Raj, choć jak dla mnie raj jest tam wszędzie. Pewnego razu po siedmio- czy ośmiogodzinnej, dość

męczącej przeprawie nad przepaściami (trzeba się było trzymać przeciągniętych nad nimi łańcuchów) rozłożyliśmy się wreszcie na rajskiej trawie. Obok płynął strumień, właściwie mała rzeczka, zielonkawa i czysta, na dnie widać było nie tylko każdy kamyczek, ale nawet każdą muszelkę i ziarenko piasku. Było tam niewielkie zagłębienie, takie sobie jezioro niemal bez nurtu, jakieś półtora metra głębokości, i zobaczyłem trupa nieznanego mi jeszcze wtedy mężczyzny.

15

Wy pływał na powierzchnię, chociaż nie – już nie wypływał, raczej spływał, tak jak spływają martwe ryby. Zabito go przedwczorajszej nocy i teraz całe nasze towarzystwo uważnie spoglądało w jego stronę, na wpół leżąc w rajskiej trawie po trudnej wędrówce. Patrzyli wszyscy – ale widziałem go tylko ja. Tak został głównym bohaterem mojej powieści. Jak wszyscy inni moi bohaterowie bardzo lubił wodę, zwłaszcza rzeczną, zielonkawą. Ten kolor pociąga mnie najmocniej. Dlatego nigdy nie zapomnę, jaki kolor miała Wełtawa koło Pragi w lipcu 1968 roku, miesiąc przed najazdem zieleni czołgów.

16

Oczy koloru rzecznej zieleni miała Ada, bohaterka mojej innej powieści. Jej kochanek, zresztą spod znaku Ryb, przyznał, że „wchodził w nią jak w strumień”. Teraz już chyba wiem, skąd się to mogło wziąć. Podczas całodziennych karpackich wędrówek, kompletnie wykończony sierpniowym upałem, od czasu do czasu szukałem ratunku w strumieniach, kładąc się w nich twarzą w dół. Wody w nich wtedy straszliwie ubyło, w najgłębszych

miejscach nie sięgała nawet kolan, więc można się było naprawdę z nią kochać, kładąc tylko twarz na dnie, zielonym i dunajskim.

17

Albo, dajmy na to, tegoroczna połowa maja – czas, kiedy koloru zielonego w przyrodzie robi się najwięcej, a jego odcienie jeszcze nie budzą skojarzeń z rajem utraconym. Płynęliśmy między dwoma brzegami – lewym, niemieckim, i prawym, polskim, między lasami, łąkami i pagórkami, przeważnie bezludnymi, choć po polskiej stronie od czasu do czasu ktoś jednak łowił ryby. Wtedy właśnie wśród płynących na tratwie pojawiło się skojarzenie z Syberią: ta niezapełniona przestrzeń, cywilizacyjna pustka. Dobrze, że nie słyszał tego nikt z Polaków – wymówienie w ich obecności słowa „Syberia” byłoby trafieniem w zupełnie inne rejestry skojarzeń.

18

Za to nad Renem wszystkiego okazało się strasznie dużo: miasta, które bez wyraźnych granic przechodzą jedno w drugie, mieszanina gotyku i przemysłowych monstrów, postindustrialne porozumienie przyrody z dawnymi konstrukcjami stalowymi, szacowność Düsseldorfu i Duisburga, katedra w Kolonii, meczety, Apollinaire, Mercator, Afryka, statki, kutry, barki, bareczki. Z dwóch Europ właśnie ta, którą niedawno wskazano jako Starą, wydawała się i bardziej nasycona, i bardziej ruchoma. Gdyby nie te miasteczka namiotowe wzdłuż brzegów, te widoczne grupy ludzi, którzy w ubraniach wylegiwali się na słońcu!

„To bezdomni – tłumaczył Holender Ad. – Jak tylko robi się ciepłej, wylegają całymi komunami na brzegi Renu, życie w namiotach na świeżym powietrzu, wśród krewnych i znajomych, może wydawać się całkowicie beztroskie. Ale tylko *może się wydawać*”. Bezdomność to cecha przede wszystkim poety. Sens jego powołania polega na tym, by łamać obyczaje i buntować się przeciwko utartym formom. Prawdziwi poeci nie powinni mieć stałego schronienia i jakichkolwiek zobowiązań. Poezja to zrzucanie z siebie więzów, gestykulacja, dzięki której zdobywa się wyzwolenie. Oto co odpowiedział Adowi Heine – nie ja.

Ren był rzeką Heinego, a Odra – von Kleista. Potem zamienili się rzekami, kolejny raz jednocząc Niemcy. Ogólnie rzecz biorąc, poetów lubi się wiązać z rzekami albo, pozwolę sobie na większą uszczypliwość, przywiązywać do rzek. Szewczenko to Dniepr, Puszkina to Newa, Gogol – i Dniepr, i Newa, a Celan – Sekwana. Swoich poetów muszą też mieć Rodan, Loara i Tag. Ciekawe, do której rzeki przywiązano więcej poetów – do Renu czy do Dunaju? Dunaj przepływa przez większą ilość języków, więc wydaje się, że ma większe szanse. Ale i Renowi przypadło całkiem sporo dialektów.

Dunaj jednak wydaje mi się dłuższy, bo dotyka nawet i nas na Ukrainie. Dunaj to kolejna wersja innych granic dla Europy. „Krainę, z której przywędrowałem – tłumaczył ukraiński poeta

Perfecki nie do końca uświadomionej europejskiej elicie na początku lat dziewięćdziesiątych w Wenecji – wyznaczają ze wschodu na zachód cztery wielkie rzeki: Don, Dniepr, Dniestr i Dunaj. W każdej z tych nazw pobrzmiwa echo sanskryckiego korzenia *dana*, czyli *woda*”. Do jego spostrzeżenia mogę dodać tyle: wszystkie Cztery Rzeki układają się niemal z doskonałą symetrią geograficzną.

22

To znaczy najbardziej na wschód wysunięty Don płynie ze wschodu na zachód, obie rzeki pośrodku – Dniepr i Dniestr – z północy na południe, a leżący na zachodzie Dunaj – z zachodu na wschód. Z tego wszystkiego wynikają co najmniej dwa pouczające wnioski. Pierwszy – że mapy geograficzne, zgodnie z ideą Najwyższego Kartografa, powinny być i są dziełem sztuki z im tylko właściwą metaforyką i metafizyką. Drugi – że *my też jesteśmy w strefie Atlantyckiej*. Na Ukrainie nie ma ani kropli wody, która nie należałaby do zlewiska Oceanu Atlantyckiego. Oznacza to, że wszystkie tętnice i żyły łączą ją właśnie z Europą.

23

Rosja jest pod tym względem znacznie bardziej ambiwalentna i gdyby swego czasu car Piotr nie odparł Szwedów z południowego wybrzeża Bałtyku, mogło złożyć się i tak, że Rosja w ogóle nie miałaby ani kropli atlantyckiej wody oprócz źródeł Dniepru. Oczywiście na południu ma ona wspomniany wyżej Don, a co za tym idzie i Kubań, ale to już nieco wątpliwa Rosja – kozacka. A największa z rzek *europejskiej* Rosji, Wołga, wpada już do Morza Kaspijskiego, czyli w ogóle nie należy do zlewiska żadnego

oceanu. I czy to zła metafora odrębnej i do niczego nieprzynależnej (nieeuropejskiej, nieazjatyckiej) cywilizacji?

24

Wracając do Ukrainy: jeśli rzeki naprawdę są granicami, to wśród ukraińskich taką granicą jest Dniepr, rzeka najbardziej centralna i największa. To przede wszystkim granica krajobrazów – lesiste pagórki, tak zwane *góry*, na zachodzie, to znaczy na prawym brzegu, i równina, step albo lasostep na wschodzie (lewy brzeg). Przy tym Prawobrzeże jest „kulturowo odwieczne”, tradycyjno-agrarno-osiadłe, a Lewobrzeże, zwłaszcza w jego południowej części – skolonizowane i nomadyczne, proletariackie, to dawne Dzikie Pola. Przejawy tego rozdzielenia, w tym także związane z nim konflikty, wyznaczają sens ukraińskiej niedookreśloności.

25

Czyli, najogólniej rzecz biorąc, Lewobrzeże nie pozwala Ukrainie ostatecznie zwrócić się w stronę Europy, a Prawobrzeże – w stronę Rosji. Przy czym antypody te tak silnie zrosły się w wymiarze życia codziennego, że o wzajemnie pożądanym rozwodzie, przemieniającym Dniepr w kolejną granicę – państwową – nie może być nawet mowy. Pozostaje wytrzymywać ze sobą i stopniowo zrastać się we wszystkich głębszych wymiarach. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że takie zrastanie naprawdę zachodzi. Ale przebieg tego procesu dość często pobudza do rozpacz.

I dlatego wracam do rzek, od których wszystko się zaczęło – do Odry, do Renu. Pierwsza z nich okazała się polsko-niemiecką granicą państwową. Podążaliśmy na północ, z nurtem, wysadzano nas mniejszymi grupami na przeciwległych brzegach, odwiedzaliśmy miasta i miasteczka. Ktoś zaplanował to tak, byśmy jak najczęściej zmieniali brzegi i dzięki temu na własnej skórze poczuli, jak przezroczyście stały się dziś granice. Służby graniczne obu krajów w zasadzie nie przeszkadzały – na co nowej, od niedawna tak zjednoczonej Europie te przekłete kontrole? Problemy powodowała jedynie moja osoba.

Czasami specjalnie wyrywałem się przed innych, by zablokować na kilka minut ten swobodny marsz pisarzy. W moim paszporcie brak już nietkniętych miejsc – tyle razy został już uderzony stemplem (a wcześniej dodatkowo prześwietlony na wylot). Rzecz jasna, to szczególne wrażenie – mieć *ograniczone prawa*. Ściśle rzecz biorąc, ta granica państwowa na Odrze istnieje już tylko ze względu na nas, obywateli Niedo-Europy – abyśmy nieostemplowani nie szwendali się po najswobodniejszym z kontynentów. Jestem przyjemnie zdziwiony, że ani razu nie zostałem przeszukany. Było tak, jakby złowioną rybę na powrót wrzucano do rzeki.

W tym sensie nad Renem panowało kompletne *królestwo wolności*. Zgoda, jeśli już nie *wolności* w najszerszym tego słowa

znaczeniu, to przynajmniej swobody podróżowania. Dla pisarza przemieszczanie się jest jak oddychanie, to już nawet nie zawodowy obowiązek, a maniackalne uzależnienie. Co prawda granicę państwową przekraczaliśmy w końcu tylko raz, gdzieś między Duisburgiem a Nijmegen. Tak więc najlepsza przezroczystość granic – to ich brak. Najlepszy wiersz – poprawiony, przepisany i skreślony. Najlepsza poezja – niedopowiedziana. Najlepsza pieśń – niedospiewana. Najlepsza ryba – niezłowiona.

29

Wszystko, co napisałem wyżej, stanowiło kolejną próbę wejścia po raz drugi do tej samej rzeki, tyle że w tym wypadku niejednej. Bez wątpienia rzeki są błogosławieństwem naszego świata, choć czasem bywają przekleństwem. Ale ja mówię tu o błogosławieństwie. Dobrze, że rzeki istnieją, nawet jeśli dzielą – brzegi, krajobrazy, kultury. Rzeki to gwarancja różnorodności. Ale dobrze też, że rzeki łączą – skaczesz na główkę w zielonkawą przejrzystość gdzieś koło samych źródeł i uparcie pokonując opór wody zmienionymi w płetwy dłońmi, kiedyś w końcu osiągasz ujście, deltę, zatokę, Ocean.

2004

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

1

Ile istnieje dziś definicji Europy? Dziesiątki, setki, tysiąc, tysiąc i jedna?

Postaram się nie zwracać na nie uwagi i zaproponuję do tych tysiąc i jednej jeszcze jedną. Być może będę powtarzał to, co już dawno powiedziano. Nie chodzi mi o palmę pierwszeństwa ani o żaden patent. Tak więc *Europa to najmłodszy z kontynentów, który do tej pory nie zna swoich granic*. Właśnie dlatego coraz trudniej ją zdefiniować w przestrzeni. Ostatnio wyczytałem u Geerta Maka, że Europa „jest kontynentem, przez który wędrujesz bez wysiłku tam i z powrotem w czasie”. Geert Mak ma rację, podkreślając wymiar czasu. Ale także w sensie przestrzeni Europa jest dość niezwykła. Nawet jeśli chodzi o jej zachodnie granice, nie wszystko jest jasne, a co dopiero ze wschodnimi?

W sprawie tych ostatnich uzbierało się mnóstwo wzajemnie sprzecznych definicji. A pytanie „Gdzie kończy się Europa?” z jakiegoś powodu nie staje się automatycznie pytaniem „Gdzie zaczyna się Azja?”.

Bo zawsze jest coś pomiędzy.

To, co pragnie stać się Europą. Albo to, co niektórzy pragną uczynić Azją.

Chociaż z granicami Azji niby wszystko jest jasne – bez względu na rozmaite starania, by rozciągnąć ją w przestrzeni między czterema oceanami.

Ale gdzież są, do licha, owe najbardziej wątpliwe (wschodnie) granice Europy? Na prawym brzegu Renu, bo tak twierdził wielki Europejczyk Konrad Adenauer? Za ogrodzeniem posiadłości Metternicha, bo tam je wytyczył jeszcze inny wielki Europejczyk, do którego owe posiadłości należały? Na wschód od wyobrazonego muru berlińskiego? W międzyrzeczu Dunaju i Donu? W międzyrzeczu Dniepru i Dniestru? W Mezopotamii? Przed Uralem czy za nim? U wybrzeży Oceanu Spokojnego? We Władywostoku, gdzie słucha się Mozarta? Czy w San Francisco, gdzie też słuchają jego muzyki?

Na każde z tych pytań można odpowiedzieć twierdząco. Ale problem umiejscowienia Europy w przestrzeni pozostaje otwarty.

By jakoś sobie z nim poradzić, można uznać – czemu nie? – że Europa jest wszędzie *tam*, gdzie wśród mieszkańców panuje przekonanie, że należą oni do Europy. Czyli – posunę się jeszcze dalej – wszędzie tam, gdzie uważają się oni za Europejczyków. Zatem Europa jest pojęciem całkiem subiektywnym. Chińczyk w Chinach czy Singapurze nigdy nie będzie uważał się za Europejczyka, Arab również, Hindus, Mongoł czy Irańczyk tak samo. Całkiem jednak możliwe, że mieszkaniec Azerbejdżanu czy, najpewniej, Ormianin – już tak.

I niech żadna Eurazja nikomu oczu nie zamydli. Wymyślono ją tylko po to, by przestać szukać odpowiedzi na pytanie o granice Europy. Że niby ich nie ma, bo nie istnieje nic takiego, jak odrębna Europa. W ten sposób Europa stała się wyrostkiem Azji, czymś na kształt półwyspu z pretensjami do bycia kontynentem. Eurazja to poniżająca dla Europy fikcja, całkowity

absurd. Nawet Afroameryka wydaje się znacznie bardziej realna niż Eurazja. Ta ostatnia potrzebna jest wyłącznie Rosji, by mogła jakoś określić swoje miejsce w przestrzeni, znaleźć je sobie, czyli wynaleźć.

2

Mówiąc dziś o Europie, nie sposób pominąć Unii Europejskiej. Niczym w zaklęciu: jak Europa, to koniecznie Unia Europejska. Niektórzy uznają te pojęcia wręcz za tożsame. I to nie byle jacy „niektórzy”, a całkiem poważni i kompetentni *eurospecjaliści*. Mnie jednak wydaje się, że pojęcia te nie tylko są bardzo odległe, lecz także coraz bardziej się od siebie oddalają.

Moja prywatna fantazja na temat Unii Europejskiej jest raczej politycznie niepoprawna, ale innej nie mam. Unia powstała jako zrzeszenie państw i narodów, którym swego czasu nie powiodły się plany zapanowania nad światem czy jakimś jego kawałkiem, ale które jednak zawsze miały tych uzurpacyjnych ciągotek pod dostatkiem. Tak więc Unia Europejska stanowi swego rodzaju psychologiczną rekompensatę: jest zrzeszeniem postimperialnych loserów, którym nie udało się stać supermocarstwem w pojedynkę. Faktycznie wszystkie zachodnioeuropejskie kraje, z wyjątkiem może tylko Norwegii, Finlandii i Irlandii (o wysepce szwajcarskiej milczę), dążyły do zapanowania nad światem, tworząc różnego rodzaju imperia z koloniami w samej Europie bądź na innych kontynentach. Nie tylko grube ryby, jak Wielka Brytania, Francja, Hiszpania czy dwukrotnie surowo za takie próby ukarane Niemcy, ale i mniejsze – Włochy, Portugalia, Holandia, Belgia, a nawet Dania. Choć w centrum Unii zawsze były i nadal pozostają Francja i Niemcy, bo to one najbardziej do tej dominacji dążyły.

Z imperium im nie wyszło, więc zjednoczyły się z różnymi luksemburgami.

„Rozszerzenie na wschód w 2004 roku” miało szanse przeobrazić się w neoimperialny projekt łagodnej aneksji, ale jak na razie tak się nie stało, głównie z trzech przyczyn:

– wewnętrznych sprzeczności i zawziętej konkurencji w gronie samych „neoimperialistów”;

– faktu, że Europejczycy wschodni (czy też raczej Europejczycy środkowi, dalej – ESW) okazali się *przedmiotami* znacznie bardziej niewygodnymi i znarowionymi, niż się spodziewano (dziesięciolecia spędzone w Ostbloku, nie minęły przecież bez śladu!) – co więcej – nie zechcieli wcale dłużej być przedmiotami i raptem ogłosili swą podmiotowość;

– w sukurs przyszły im Stany Zjednoczone, które w przeszłości nie raz już broniły jednych Europejczyków przed innymi, a prócz tego bardzo zazdrośnie strzegą swej supermocarstwowej wyłączości.

Nazywając ESW „nowymi Europejczykami”, Stany znacząco podniosły ich samoocenę i wzmocniły oporność wobec unifikacyjno-aneksyjnych procesów zachodzących wewnątrz Unii Europejskiej. Zachodnioeuropejskie grube ryby potraktowały niepowodzenie projektu aneksji jako obrazę i porażkę całej koncepcji „rozszerzenia na wschód”, dlatego we własnych krajach uciekły się do propagandowo-zastraszających akcji, które umownie można by nazwać „kompleksem polskiego hydraulika”. Brukselskie władze unijne zaczęły mówić o „Europie w kryzysie”, a wielki przyjaciel Ukrainy Günter Verheugen tak właśnie zatytułował swoją epokową książkę.

Wystarczyło wymówić słowo „kryzys”, by ten nastał. Tym razem jednak – jak nigdy – w samą porę.

Właśnie w tym historycznym momencie na arenę wydarzeń wkroczyliśmy my, Ukraińcy.

Pomarańczowa rewolucja okazała się niespodziewaną reanimacją etyczno-światopoglądowego kompleksu, tradycyjnie zwanego „wartościami europejskimi”. Innymi słowy, zwycięstwo – choć tak niepewne i nietrwałe – ukraińskiej rewolucji, stało się faktycznie zwycięstwem Europy, with a little help of Ukrainian people. Tak więc w ciągu kilku tygodni pod koniec 2004 Ukrainian people, własnym wysiłkiem, indywidualnym i zbiorowym, przeobrażali wartości europejskie z deklarowanych w rzeczywistość (i – co szczególnie piękne – bardzo skutecznie).

Wszystko sprowadzało się do nadzwyczaj prostej zależności – wolny człowiek w wolnym kraju. Nie jest to hasło amerykańskie, a właśnie europejskie. Amerykańskie stało się właśnie dzięki temu, że było europejskie. W związku z tym nie warto się go bać. Ani też lekceważyć.

Europa (nie mylić z Unią Europejską) odczuła, intuicyjnie odgadła, że gdzieś tam, w Kijowie, chodzi właśnie o nią – i dlatego zyskaliśmy moralne wsparcie milionów obywateli europejskich, którzy właśnie wtedy dostrzegli nas po raz pierwszy i pokochali jak bliskich. Nawet włoscy pracodawcy zaczęli rozmawiać z naszymi gospodarzami jak z równymi sobie. Tego jeszcze nie było w naszej historii – by tak nas lubiano.

Unia Europejska (nie mylić z Europą) również podświadomie odczuła swój lękliwy sprzeciw i od razu zaczęła go przejawiać na poziomie wszelkich możliwych struktur, wymyślając błyskawicznie najróżniejsze przeszkody i wymówki. Jednym z miejscowych know-how stała się „afery wizowa” w Niemczech –

brutalne, ale niestety bardzo skuteczne psucie porewolucyjnego miesiąca miodowego. Ukraińcy, dopiero co obecni w zachodniej media-świadomości jako piękni, karnawałowo-pomarańczowi manifestanci, po chwili znowu okazali się przyziemnymi bandytami o kwadratowych pyskach i kurwami, które tylko marzą o tym, by przedrzeć się do zachodniego dobrobytu ze swymi sfalszowanymi wizami i chorobami wenerycznymi.

Tak więc wkrótce znaleźliśmy się z powrotem tam, gdzie byliśmy, poczynając od 1991 roku – w szarej strefie *dobrosąsiedztwa*, czyli faktycznie nigdzie, a jednym ze skutków była utrata podczas wyborów parlamentarnych wielu milionów głosów ludzi rozczarowanych *widmem Europy*. Utraciły je właśnie te siły polityczne, których hasłem stała się „Europa”. Gwoli sprawiedliwości dodam, że i tym razem głosów oddanych za tym hasłem mimo to okazało się więcej. Więcej, ale wciąż za mało. Z niepewnego zwycięstwa pozostała tylko niepewność. Dalszy brak zainteresowania i nieokreślenie wymogów UE dla ukraińskiego politycznego bestiarium oznaczało przyzwolenie; nastąpił przewrót – najpierw parlamentarny (6 lipca), a potem państwowy (3 sierpnia), wskutek czego krajem rządzi coraz bardziej agresywnie regionalny klan, który uzyskał w wyborach mniej niż jedną trzecią głosów.

(Ups, chyba mnie trochę poniosło. Zaczynam winić Unię nawet o ponowne dojście *donieckich* do władzy. Chodzi jednak znowu tylko o little help).

Bo przede wszystkim winni jesteśmy my – społeczeństwo, naród, nazwijcie to, jak chcecie. Latem 2006 roku, dwa lata po pomarańczowej rewolucji, mogliśmy jedynie obserwować sekwencję „zdrad na górze”. Raczej obserwowaliśmy, niż staraliśmy się im zapobiec. A więc cała ta kłamliwa i zdradziecka zgraja z tak zwanych najwyższych elit przekonała się raz jeszcze, że może

z nami zrobić wszystko, co jej się tylko spodoba. Gdzie wolny człowiek, gdzie wolny kraj?!

Można by zakończyć tę smutną i pouczającą historię tak: trzeciego sierpnia 2006 roku na Ukrainie, za przyzwoleniem i wsparciem *proeuropejskiego prezydenta* Juszczenki, po raz kolejny umarła Europa.

A może jednak – ponieważ na Ukrainie nigdy i nic, niczym w hymnie, nie umiera ostatecznie – *jeszcze nie zginęła?*

4

Teraz pytanie – z gatunku tych, które wiercą dziurę w czaszce: Dlaczego tak się stało?

Moje przypuszczenie – nietrudno to przewidzieć – jest oczywiście znowu politycznie niepoprawne. Ale to moje własne przypuszczenie.

Ono jest *moje*. Unię Europejską jako strukturę przede wszystkim biurokratyczną i daleką od europejskiego idealizmu satysfakcjonuje właśnie taka Ukraina, odizolowana i pogrążona w stagnacji. Powiem więcej: nie tylko satysfakcjonuje. W rzeczywistości właśnie taka Ukraina wydaje się jej niezbędną. To znaczy jest jednym z koniecznych warunków „stabilności w UE”. Stabilności różnego rodzaju – demograficznej, kulturowej, ale oczywiście także energetycznej – stabilności z łatwo wyczuwalnym smrodem gazu.

To nic innego jak skutek myślenia wyłącznie w archaicznych, imperialnych kategoriach (*divide et impera*, „strefy interesów”, „strefy buforowej”, czy też już całkiem zamierzchłego „spichlerza Europy”). Zgodnie z takim założeniem Ukraina może być nadzwyczaj korzystna dla Unii wyłącznie jako bufor, *dobry sąsiad*, terytorium tranzytowe, już inne od Rosji, ale jednak bardzo od

niej zależne. A także – jako swoisty rezerwuuar dla „uciekiniarów ze Wschodu”, albo, parafrazując Hessego, *pielgrzymów na Zachód*. Takim, jak to ujął mój bohater Stas Perfecki, „czyścćem z wszelkimi cechami piekła”.

Ponadto jest to skutek prawie instynktownego umizgiwania się do Rosji, uznania jej praw do „kanonicznego terytorium” – to swoista imperialna solidarność albo, niczym u Bruegla, solidarność Grubych Ryb. W świadomości unijnych komisarzy oraz innych wysokich urzędników – a pan Verheugen tego świadkiem – do tej pory istnieje żelazna kurtyna, zachodnia granica ZSRR, a co za tym idzie i sam ZSRR jako taki.

Rosja nigdy nie pozostawi bez uwagi tego, *co leży nie tak* – czyli pozostaje bez dozoru. A Ukraina dziś leży właśnie *nie tak*. Dlatego Rosja reaguje błyskawicznie i – na swój sposób – błyskotliwie. Dziś, kiedy piszę te słowa, wśród innych złych wiadomości (a ostatnio są one znowu wyłącznie złe) czytam oświadczenie przewodniczącego jakiegoś komitetu rosyjskiej Dumy, komentującego rezultaty spotkania Ukraina – Unia Europejska w Helsinkach: „Skromne rezultaty tego spotkania łątwo było przewidzieć. Problem pozostaje nie tylko i nie tyle po stronie Ukrainy, polega on na stanie rzeczy wewnątrz UE, na nastrojach tamtejszej elity politycznej i biznesowej, ale i na nastrojach społeczeństwa tych krajów, które jawnie sprzeciwiają się przyjęciu nowych członków w najbliższej perspektywie”. Rosyjski deputowany bez mrugnięcia okiem przypisuje przewodniczącemu Komisji Europejskiej oświadczenie o „braku perspektyw na wejście Ukrainy do Unii Europejskiej” i z troską godną starszego brata, który staje w obronie, gdy obrażają młodszego, dodaje od siebie: „To oświadczenie krzywdzące i obraźliwe dla bratniego kraju”. Ma też w pogotowiu kolejną propozycję dla braci: „Najlepszym wariantem byłby rozwój

kontaktów i Rosji, i Ukrainy z Unią Europejską – w oparciu o skoordynowane wysiłki rosyjsko-ukraińskie bazujące na wspólnych interesach”.

No tak, nasze wspólne, na wieki wspólne, koordynowane w Moskwie, radzieckie wysiłki!

Płakać się chce. Ale nie z rozrzewnienia. W bratnim języku rosyjskim można powiedzieć „za Jewropu obidno” (za Europę wstyd).

5

Jest to zatem konflikt, bardzo dziwny konflikt – europejsko-europejski.

Pomiędzy „pragmatycznym modelem” Unii prześladowanym fobiami, pragnieniem zamknięcia i wszelkimi innymi kompleksami niedo-imperialistów – a „idealistycznym modelem” Zjednoczonej Europy dążącej do rozwoju i zmian, pozostającej w obrębie wiecznie ruchomych i nie całkiem geograficznych granic, otwartej, nigdy w pełni nie ukształtowanej, witalnej.

Bo nie ma chyba zajęcia bardziej wciągającego i potrzebnego niż jednoczenie Europy. Przynajmniej w tych miejscach, na tych szwach, gdzie zdążyły ją rozdzielić struktury UE.

Od tego postulatu – stworzenia nowego, alternatywnego wobec unijnego europejskiego projektu zjednoczeniowego, powinienem pewnie zacząć.

Tymczasem dopiero pod koniec dochodzę do pytania „Jak zjednoczyć Europę w inny sposób?”. To znaczy, że mogę jedynie zapytać, jaki powinien być ów alternatywny projekt.

Może warto zacząć od przeciwstawienia?

Skoro projekt UE jest przede wszystkim biurokratyczny, to czy ten nowy miałby być anarchiczny?

Albo, skoro projekt UE jest poważny, nadęty i hierarchiczny, to czy ten powinien być lekki, plastyczny i karnawałowy?

Czy – skoro projekt UE jest z pozoru demokratyczny – ten powinien być jawnie liberalny?

W każdym razie przychodzi mi do głowy nazwa. Nazwijmy go tak, jak na poły już zapomnianą radiostację – Wolna Europa. I dajmy ogłoszenie do wszystkich przyzwoitych mediów: „Wizjonerzy, łowcy widm i reanimatorzy mile widziani”. Mile widziani wszyscy ci, którzy do tej pory szukają Europy.

2006

Przełożyła Ola Hnatiuk

CZĘŚĆ II

FANTAZJE NA TEMAT
OTWARTOŚCI

Ostatni raz złapałem się na tym chyba wiosną.

Oprócz zwykłego przebudzenia przyrody tegoroczna wiosna przyniosła nam od dawna zapowiadaną wojnę w Iraku. Któregoś wieczoru niemal bezmyślnie przełączałem programy telewizyjne – na szczęście w tym brandenburskim schronisku dla wędrownych poetów nie ma ich aż tak wiele, żeby ostatecznie stracić rozum – raptem ze dwadzieścia. Na MTV pokazywano najnowszy wideoklip Madonny, *American Life*, trafiłem akurat na początek i przestałem przełączać – nie żebym jakoś specjalnie lubił Madonnę, ale za nią, w tle, migały zmieniające się jedna po drugiej flagi państwowe z całego świata. Najpierw uznałem, że będą to wyłącznie flagi koalicji antyirackiej, jednak pojawienie się niemieckiej, francuskiej i oczywiście – jakżeby można bez niej? – rosyjskiej świadczyło o podejściu bardziej uniwersalnym. Przez dalsze trzy i pół minuty klipu uważnie śledziłem pojawiające się flagi. Było to silniejsze od mojego zdrowego rozsądku – bardzo chciałem zobaczyć wśród nich ukraińską, nic na to nie poradzę. Kiedy więc w końcu, na jakiś ułamek sekundy, tło ekranu za plecami Madonny niedwuznacznie mignęło dwoma poziomymi pasami, błękitnym i żółtym (tak, nie rumuńska, nie kolumbijska, nie wenezuelska i nie barbadoska, ale *nasza!*), odetchnąłem z ulgą: jest. Jesteśmy, a z nami Madonna!

To był pierwszy i bardzo podbudowujący wniosek. Kolejny był znacznie mniej pocieszający: okazuje się, że jednak jestem patriotą. Moją osobistą wolność determinuje dość trwałe uzależnienie, na które nie ma żadnego lekarstwa. Wzruszają mnie symbole i najwidoczniej tak już zostanie.

* * *

Co dziwne, ogromnie przy tym nie lubię ani samego słowa „patriotyzm”, ani żadnych jego pochodnych; wolę używać ich wyłącznie w tonie sarkastycznym czy komicznym. Nie lubię patosu i gdzie tylko mogę, staram się go unikać, a używanie słów z takiego rejestru jak „patriotyzm” w nieunikniony sposób do patosu prowadzi. Wciąż natomiast podoba mi się pewna stara (czy aby nie Marksa?) definicja patriotyzmu jako „ostatniego schronienia łajdaków”. Wcale nie jestem pewien, czy to był Marks i czy ja naprawdę dobrze to rozumiem. Bo rozumiem to tak, że każdy łajdak, przede wszystkim łajdak polityczny, ucieka się do patriotyzmu jako do najwyższego rzekomo przejawu moralności, po to by zamaskować jej – tejże moralności – faktyczny brak.

Nie lubię patriotycznych piosenek, wierszy i marszów – mam tak od czasów radzieckich, kiedy było ich aż nadto, a ja ze wszystkich możliwych patriotyzmów najbardziej nie lubiłem właśnie radzieckiego z jego *wychowaniem patriotycznym* (te chóralne śpiewy w przedszkolu! te niekończące się szkolne godziny wychowawcze o pustym żołądku, gdy trzeba było siłą powstrzymać się od ziewania! te po tysiącokroć obrzydłe zebrania na temat „aktywności obywatelskiej” podczas studiów!). Ale szczególnie nienawidziłem patriotyzmu w wojsku, kiedy zmuszano mnie do śpiewu, gdy ledwie powłóczyłem nogami. Przy czym

do dziś nie wiem, jak zachowałbym się w przypadku prawdziwej wojny, której absolutną nieuniknioność (z Amerykanami? Chińczykami? Mudżahedinami?) codziennie udowadniali nam komisarze: zginąłbym zaraz w pierwszej potyczce z powodu własnej niewprawności (całkiem możliwe, że oficjalne raporty nazwałyby to śmiercią bohaterską), oddałbym się do niewoli czy zdezerterował. Moim zdaniem to ostatnie wymagałoby najwięcej siły – ukrywać się w jesiennych lasach, nocować w sianie, prosić o wodę i chleb podejrzliwych i w każdej chwili gotowych na mnie donieść chłopów... W każdym razie byłaby to nie moja wojna i nie o mój patriotyzm by w niej chodziło.

* * *

Fantastyczne i chyba wciąż jeszcze nie do końca zrozumiane lata 1989–91 zmieniły mnie na tyle, że nagle zacząłem nawet lubić *to* słowo. Właśnie w tym czasie stało się coś takiego, co doprowadziło do zmiany „parametrów patriotyzmu”. To był jego specyficzny rodzaj – skierowany przeciwko władzy. I o ile wcześniej słowo to było mi znane jedynie w zestawieniu z określeniem „radziecki”, o tyle właśnie w tym czasie powstało coś w rodzaju „patriotyzmu antyradzieckiego”. Ten inny patriotyzm, wśród młodych przejawiający się na przykład w modzie na noszenie znaczków w barwach narodowych swojej etnicznej ojczyzny, okazywał się nie tylko znaczkowy, ale i znaczący. To był przede wszystkim znak niezgody z władzą, z coraz bardziej rozklekotanym, starzejącym się reżimem. Pamiętam migawki telewizyjne z 1990 roku na temat buntu w jednym z najsurowszych więzień, o ile dobrze kojarzę, w Dniepropietrowsku. Podburzeni więźniowie przejęli kontrolę nad jednym z budynków i wysunęli cały szereg żądań dotyczących złagodzenia więziennego

reżimu (znów to słowo!): jedzenie, zachowanie strażników, liberalizacja. Migawki te nakręcono z helikoptera krążącego nad przejętym przez więźniów budynkiem. Operator państwowej telewizji niewątpliwie otrzymał polecenie, by bardzo wyraźnie pokazać, pod jakimi sztandarami odbywa się to całe zamieszanie. Na dachu wywieszane były dwie flagi: błękitno-żółta, ukraińska, i czarna z czaszką i kośćmi, powszechny sztandar pozostających poza prawem, wszystkich piratów, rozbójników i ojca Machny. Ani wtedy, ani tym bardziej teraz nie uważam, żeby dnipro-pietrowscy więźniowie mieli jakiś szczególny sentyment do ukraińskiej idei narodowo-wyzwoleńczej. Ale powiesili tę flagę obok własnej, bo wiedzieli, że ona także jest *przeciwko władzy* i gliny wsadzają za nią do paki, a podczas manifestacji starają się ją podrzeć.

Tym razem operator państwowej telewizji naprawdę się przyłożył – obie flagi zostały pokazane z bliska i w sposób nadzwyczaj wymowny. Ot, tylko z dyskredytacją jakoś kiepsko wyszło – przynajmniej w moim przypadku ta sztuczka propagandowa nie bardzo się udała. Przeciwnie, mnie te obrazy wprost uszczęśliwiły. Można je było odczytać jako wielką metaforę naszego ówczesnego życia: więźniowie – to my wszyscy, obywatele ZSRR, więzienie – Związek Radziecki, a flagi nad więzieniem – znak nadziei.

* * *

Gdzieś tak już od 1992 roku moda na błękitno-żółte znaczki zaczęła przemijać. Ledwie Saszko Irwanec napisał w swoim jak zawsze celnym wierszu „Nagle każdy ma chlubną przeszłość / i z klapy państwową flagą szeleści”, a wszystko się skończyło. Czy chodziło o to, że *oni*, gdy przejęli władzę, a wraz z nią majątek,

przechwycili też przy okazji naszą flagę? Ależ skąd – jakie znów *przechwycili*, żadnych scen batalistycznych, żadnej konnicy, żadnych przechwytyłów w pełnym galopie do wtóru surm bojowych. Jeśli już miałbym użyć porównań historyczno-militarnych, było raczej tak, jakby ukradkiem zwinęli ją nocą z naszego obozu (nasi wartownicy jak zawsze byli pijani i niczego nie słyszeli) – bo a nuż się przyda, na dokładkę do wszystkich tych sprywatyzowanych rurociągów, kombinatów i przedsiębiorstw żeglugowych.

Tak oto po raz kolejny sprawdziło się stare spostrzeżenie nieznanego mi cynicznego historyka, że rewolucje (jeśli to oczywiście była rewolucja) wymyślają romantycy, przeprowadzają fanatycy, a wykorzystują łajdacy. Tak, właśnie oni. A patriotyzm to ich ostatnie schronienie, o czym zawsze należy pamiętać.

* * *

W dodatku jeszcze bałagan w pojęciach – gdzie ten patriotyzm umieścić, gdzie jest jego miejsce na pojęciowej mapie świata? Czy to naprawdę coś, co znajduje się po przeciwnej stronie – dajmy na to – kosmopolityzmu? I co to takiego, ta *patria*, i kim w istocie jest nasz *Pater*? Niewątpliwie odsłania się tu w pełnej krasie cały dalszy łańcuch pokus – by porównać patriotyzm do nacjonalizmu, a ten z kolei do nazizmu, rasizmu, seksizmu i czegoś tam jeszcze. Patriotyzm jest szowinistyczny już choćby dlatego, że nazywa się tak, jak się nazywa, bo czemu nie *matriotyzm*? Dlaczego ten Ojciec musi być ważniejszy od Matki? Czym na to zasłużył? Narzędem płciowym?

Oprócz tego – ta młoda europejska tożsamość, którą w ostatnich latach aż wstrząsa od nowych treści i uczuć, ze wszystkimi skutkami kolejnej fermentacji nastrojów i idei. Czymże ona

jest – nowym rodzajem patriotyzmu („jesteśmy Europejczykami, Europa to nasz wspólny dom”) czy przeciwnie – antypatriotyzmu, wyrastającego ponad to, co etniczne, narodowe, rodowe, płciowe, który globalizuje, uniwersalizuje, unifikuje, niweluje? Ale cóż to w rzeczywistości takiego te antypody, ten antypatriotyzm – czy nie jest on właśnie patriotyzmem w jego najszerszym wymiarze? Czy to nie on dyktuje potrzebę oddzielania się i odgraniczania? Mam tu na myśli na przykład te mury, jeszcze mokre od farby w tak samo *ochronnych* barwach – o tam, tuż za zachodnią granicą Ukrainy.

* * *

No i tak znów wracamy do Ukrainy. Co tam się dziś dzieje z patriotyzmem? Jakie kolejne metamorfozy przechodzi, co może oznaczać? Bycie z władzą, ponieważ to ona w swej retoryce najczęściej ucieka się do tego słowa (i nic dziwnego: *ostatnie schronienie*)? Bycie przeciwko władzy, ponieważ sama w sobie jest ona *nieukraińska* i wszystkimi swoimi działaniami rozmywa jedynie i dyskredytuje ów patriotyzm? Bycie za *Ukrainą w Europie*, ponieważ trzeba wybierać mniejsze zło, a niebycie w Europie wydaje się właśnie tym większym? Bycie za *Ukrainą z Rosją*, ponieważ ten cel jest znacznie bardziej realistyczny, czyli lepiej odpowiada potrzebom narodowym? Bycie za *Ukrainą bez europy i rosj*, ponieważ w rzeczywistości jesteśmy samowystarczalni, nasza kultura liczy sobie co najmniej dziesięć tysięcy lat i mamy własną niepowtarzalną Drogę Ariów?

Jakie są inne możliwości?

Bycie za *Ukrainą od Sanu do Donu*, ponieważ *w jedności siła*, czy za *Ukrainą regionów*, ponieważ *siła w rozkwicie różnorodności*? Za Ukrainą z dyktaturą, ponieważ tylko silna ręka może

poradzić sobie z tym rozśpiewanym i pracowitym narodem? Za Ukrainą z rozwiniętym społeczeństwem obywatelskim, ponieważ to jedyna droga do normalności? Za Ukrainą bez Kuczmy? Za Ukrainą bez Żyda i Moskala? Za Ukrainą bez nacjonalistów? Bez Afrykanów? Bez Ukraińców?

Ten ukraiński patriotyzm to dziwna mieszanka wzajemnie sprzecznych technologii i mitologii. Czasem zdaje się, że nie udało się nam do dziś sformułować własnych odpowiedzi na wyzwania tak beznadziejnie przestarzałe, że już nawet niezręcznie nazywać je wyzwaniami.

Ale czy tylko nam?

* * *

Z grubsza rzecz biorąc, patriotyzm jest amoralny. Jego miejsce jest co najwyżej na stadionie piłkarskim – tam, gdzie całkiem wyraźnie i jednoznacznie, na poziomie koloru koszulek i spodenek, widać *naszych* i *ich* i *nasi* oczywiście muszą zwyciężyć, bo przecież są lepsi już choćby dlatego, że *nasi*.

Największy grzech terrorystów z jedenastego września polegał chyba nie na tym, że świadomie pociągnęli za sobą tysiące niegotowych na śmierć ludzi, ale że obudzili w Ameryce demona patriotyzmu. Jednym ze skutków ubocznych tego przebudzenia, obok wojny w Iraku, stał się wideoklip Madonny *American Life*, który tak nagle zaktywizował we mnie rudymmentarny już, można by pomyśleć, organ, którym kocha się ojczyznę.

2003

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Po raz pierwszy zerwałem z Rosją jedenaście lat temu. Całą zimę i pierwszą połowę wiosny 1992 roku spędziłem na pisaniu *Moscoviady* – może nie najlepszej, ale na pewno najbardziej przepełnionej napiętnościami spośród moich powieści. Działo się to w staromodnie wytwornej i burżuazyjnie przytulnej willi Waldberta niedaleko jeziora Starnberg, koło Monachium, z jego mechanicznymi lalkami i wieloma innymi atrakcjami. Wybór geopolityczny został więc dokonany bez szczególnego wahania: Zachód, Zachód i jeszcze raz Zachód. Ponieważ pisaną właśnie powieść sam określałem mianem *powieści grozy*, Rosja, a przede wszystkim Moskwa, musiała w niej przerażać. Całe napięcie powieściowych emocji, jak wydaje mi się dzisiaj, pochodziło ze zderzenia realnego (zachodniego, bawarskiego) świata z wyobrażonym (wschodnim, moskiewskim). Ten drugi, choć całkiem jeszcze w mojej pamięci świeży, już zaznał nieuniknionych autorskich deformacji. Można przypuszczać, że żywiłem się energią tego kontrastu.

Dramatyzmu sytuacji przydawały audycje rosyjskiej redakcji radia Swoboda, które wtedy miało jeszcze bazę w Monachium. Słuchałem ich przeważnie wieczorami, wycieńczony moim i mojego bohatera całodziennym błakaniem się po wyobrażonej i na poły zrujnowanej Moskwie. Wieści z byłego ZSRR pozostawały

ogólnie niepokojące. Szaleńcze skoki inflacji, brak papieru, prądu, zapalek i mąki – dla Ukrainy mogło się to skończyć mniej więcej tak samo jak w latach 1918–1920. Dwudziestego trzeciego lutego jakaś *grupa oficerów Armii Radzieckiej* proklamowała przywrócenie Związku Radzieckiego. Imperium pragnęło znów się zrosnąć, co wcale nie wymagało jakichś nadludzkich, wyęźzonych wysiłków. Chwilami zdawało się, że to kwestia kilku tygodni, albo wręcz dni. Trzeba było z tym coś zrobić – robiłem, co mogłem.

Wtedy właśnie zerwałem z Rosją po raz pierwszy.

Po raz drugi zrobiłem to podczas pierwszej wojny czeczeńskiej, po raz trzeci – podczas drugiej.

Z czasów pierwszej pamiętam wystąpienie jakiegoś najwyższego przedstawiciela państwowych resortów siłowych w programie *Wriemia* (wówczas jeszcze u nas pokazywanym). Mówił, że po zdobyciu Groznego walki przechodzą w kolejne stadium – wojny partyzanckiej. Ale jesteśmy przygotowani na taki przebieg wydarzeń, zapewniał, będziemy wykorzystywać zachodnio-ukraińskie doświadczenia końca lat czterdziestych, nasi ojcowie wypracowali tam różne metody.

Przy słowie *metody* przypomniały mi się opowieści pewnego starusieńkiego moskiewskiego profesora puszkinisty. Pod koniec lat czterdziestych, gdy nie był jeszcze profesorem (ale najwyraźniej był już puszkinistą), trafił do czynnej służby w oddziale egzekucyjnym gdzieś w Karpatach. Wśród wielu innych opowiadał również historię o *bandzie*, która ukryła się w jaskini i zawzięcie się tam broniła, wręcz pluła ogniem, póki w bocznych ścianach nie przewiercono szybów, przez które wpuszczono gaz. Wszyscy *bandyci* bez wyjątku zasnęli na wieki w strasznych mękach. A plan był taki, że przynajmniej część z nich złoży broń i pozwoli wykurzyć się na zewnątrz. Jednak wśród nich nie

znalazł się nikt tego rodzaju, o czym starusieńki profesor wspominał z szacunkiem. Pozbawieni wszelkiej wojennej legalności *bandyci* w mgnieniu oka przeistaczali się w całkiem uczciwych *żołnierzy*. Co prawda martwych.

Nie wiem, po co mi była ta dygresja. Może chodzi mi przede wszystkim o mnie samego. Chciałbym lubić Rosję – w tym właśnie rzecz, ogromnie mnie niepokoją przejawy mojej złośliwości wobec bratniego państwa, które – a co tam – dawno już stało się istotną częścią nas samych. Niestety państwo rosyjskie nie daje mi takiej szansy, co jakiś czas przeprowadzając kolejny atak gazowy i paraliżując w zarodku inną siebie – tę, którą pragnę się zachwycać. Aby mój ideał Rosji stał się bardziej czytelny, opiszę go dokładniej, ale nie uniknę przybliżeń: chodzi mi o możliwość istnienia innej, nieimperialnej Rosji. Czy z tego naprawdę nigdy nic nie wyjdzie?

Słowem: dziś, po nieudanej próbie postimperialnej transformacji w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych (o ile taka próba w ogóle miała miejsce), pozostaje ostrzejsze i bardziej otwarte sformułowanie pytania: czy taka – nieimperialna – alternatywa w ogóle dla Rosji istnieje? Czy Rosja może być nieimperium?

* * *

W sumie nie wiem, dlaczego w moim systemie wartości imperium oznacza zło. Tym bardziej że chodzi o imperium bardzo konkretne – rosyjskie. Nie mogę przecież z ręką na sercu powiedzieć, że imperium brytyjskie, osmańskie czy święte rzymskie wywołują we mnie taki sam przyływ adrenaliny. Habsburskie lepiej w ogóle tu przemilczę, bo wielu moich ukraińskich czytelników po dziś dzień widzi we mnie coś w rodzaju agenta pułkownika Redla.

Najłatwiej wyjaśnić moją idiosynkrazję tradycyjnym bala- stem galicyjsko-zachodniackich uprzedzeń. Z pewnością jest on ważny (choćby na poziomie określania Rosjan mianem *oni*), ale wątpię, by miał znaczenie decydujące. Nieliczne obec- nie i coraz rzadsze przejawy galicyjskiej rusofobii denerwują mnie w nie mniejszym stopniu niż najbardziej nawet agresyw- ne antyukraińskie wycieczki zawodowych bojowników o ru- ską jedność.

Ogólnie rzecz biorąc, wyobrażenie o *dogłębnej* rusofobii charakterystycznej dla mieszkańców Galicji lub – nieco sze- rzej – zachodnich Ukraińców jest jednym z najgłębiej i najsil- niej zakorzenionych rosyjskich mitów oraz rozpaczliwą próbą wytłumaczenia sobie skomplikowanych czy, delikatnie mówiąc, dalekich od ideału stosunków z *młodszymi braćmi* dzięki przy- jęciu z góry tezy o dwóch Ukrainach, z których jedna – więk- sza – jest zasadniczo prorosyjska i przeważnie rosyjskojęzyczna, a druga – mniejsza – Rosji nienawidzi i stale mąci czystą wodę bratniosłowiańskich stosunków. Genetycznie teza ta wywo- dzi się z tych samych gabinetów, w których sto lat wcześniej ukształtowano już pojmowanie Ukrainy jako *politycznej intry- gi kilku niemieckich i austriackich ministrów*. Jak każda prawda o gabinetowym rodowodzie również ta jest przede wszystkim naiwna. W istocie stanowi próbę samoobrony przed rzeczywi- stością: umiejscowienia antyrosyjskiego zła w pewnej części terytorium, odsunięcia go gdzieś dalej, na zachodnie nieostre peryferia, w sferę zgubnych i podstępnych wpływów austro- węgierskich, polskich, niemieckich, a dziś już także i amery-kańskich. Z Amerykanami zresztą mamy obecnie wyraźny kło- pot – są równocześnie potencjalnymi konkurentami, a nawet wrogami w kolejnym podziale tych samych *sfer* oraz najbliższy- mi sojusznikami w walce z terroryzmem.

W rzeczywistości Ukrain jest znacznie więcej niż dwie (zgódźmy się, że przynajmniej dwieście dwadzieścia dwie) i nie do końca wiadomo, którędy przebiegają linie podziałów, to znaczy wiadomo jedynie, że przechodzą wszędzie, jednak w najmniejszym stopniu na poziomie regionów.

* * *

Ale znów: skąd to się bierze, to moje odrzucenie imperium rosyjskiego? Czym tak wobec mnie zawiniło, pozwolę sobie zapytać?

Oto w mojej prywatnej mitologii pojawia się lato 1968 roku, właśnie tak – środek lata, mam osiem lat, zdałem do drugiej klasy i w czasie wakacji znalazłem się w Pradze. Od tamtej pory to miasto ma dla mnie ogromne znaczenie: wrażenie lipcowego rajy na ziemi na zawsze wrosło w moje wizje. W lipcu sześćdziesiątego ósmego nie mogłem jeszcze tego zrozumieć, ale mogłem to rzecz jasna poczuć – apogeum Praskiej Wiosny, pulsowanie wolności, mnóstwo swobodnej młodzieży na ulicach i placach. Chciałem mieć takie same długie włosy i zachowywać się tak samo niezależnie. Po kilku tygodniach – ja byłem już wtedy z powrotem w domu – wszystko to zostało brutalnie stłumione przez wojskową inwazję. Coś w tej rzeczywistości musiało być nie tak.

Rzecz jasna w tym wieku nie usiłowałem zagłębiać się w polityczne przyczyny obserwowanych wydarzeń. Ta inwazja wydawała mi się raczej przejawem pewnego czysto estetycznego konfliktu. Niewymownie piękne miasto pełne swobodnych młodych ludzi okazało się miastem estetycznie niewspółbrzmiałym z systemem, do którego sam należałem. Trzeba było wybierać, po czyjej teraz będę stronie. System puścił w ruch czołgi – argument

estetyczny może nawet bardziej atrakcyjny dla ośmioletniego chłopca niż jakaś tam średniowieczna architektura wśród hipisowskiego karnawału. Nie wiem dlaczego, ale w tym konflikcie nie wybrałem jednak czołgów.

Pozostaje kolejny raz skonstatować, że nasze gusta są nieprzewidywalne, choć równocześnie to one o wszystkim decydują. Ale w takim razie po co piszę te słowa? W zupełności wystarczyłoby małodusznie przyznać, że Rosja i wszystko, co rosyjskie, nie podoba mi się, bo taki już mam gust. I byłaby to straszna nieprawda. Albo co gorsza – straszna prawda.

* * *

Dziecięcym sposobem dzielę kartkę papieru pionowo na dwie części i staram się wypisać po jednej stronie *plusy*, a po drugiej *minusy*. Chodzi o Rosję, to znaczy o to, co o niej myślę. Kiedyś w szkole właśnie w taki sposób analizowaliśmy obraz Odyseusza u Homera – mądry, ale chytry, rezolutny, ale podstępny, konsekwentny, ale bezlitosny, bohater, ale swołocz. Tym razem na stronę pozytywów trafia u mnie „intelektualna i duchowa głębia, otwartość i odwaga” (która zresztą nam, Ukraińcom, na ogół nawet się nie śniła), „cudowne bycie jak-nie-z-tego-świata”, „szczególna anarchiczna zdolność wznoszenia się ponad życie codzienne i światową marność”, „niezaprzeczalna samowystarczalność i intensywność kulturowa”. Po stronie negatywów – „policyjny charakter władzy”, „manipulujące i dezinformujące media”, „cyniczny i technologiczny świat polityki”, „ksenofobia i nietolerancja – rasowa, religijna, narodowa – ogółu”. Nietrudno zauważyć, że wszystkie *plusy* są skorelowane z tym, co indywidualne, z odrębnością jednostki, podczas gdy wszystkie *minusy* – z tym, co społeczne, z systemem jako takim. Innymi słowy, pozostaje

przyznać rację czy to markizowi de Custine, czy komuś innemu, już nie pamiętam dokładnie, że „oni [Rosjanie] budzą zachwyty jako konkretni ludzie, a odrazę – jako organizm społeczny złączony w państwową całość”. Otóż właśnie, ni mniej, ni więcej: zachwyty i odraza, albo-albo, skrajności po rosyjsku.

* * *

Dla Ukrainy pozostawanie w *rosyjskiej strefie świata* skutkuje przede wszystkim kopiowaniem rosyjskich *negatywów*. Genetyczne pokrewieństwo obecnych ukraińskich szczytów władzy państwowej z *rosyjskim ideałem estetycznym* zakłada nie tylko szczery zachwyty filmem *Brat 2* czy salonowo-grypserską estradą, ale też – co niewątpliwie wynika ze specyfiki gustów – uparte dążenie do *ustabilizowania* swojego własnego państwa według rosyjskich wzorów, do osiągnięcia stanu putinowskiej niewzruszoności i braku alternatyw. By wprowadzić ten projekt w życie nie wystarczy taki drobiazg, jak obecność tegoż *ukraińskiego Putina*. Tak więc całkowicie realna pozostaje perspektywa ostatecznego przekazania swojej małomiasteczkowej suwerenności – rzecz jasna w zamian za pewne majątkowe i, rzecz by można, prawne gwarancje – na ręce Putina prawdziwego i jedyne. Czasem można mieć wrażenie, że realizacja takiego projektu jest już całkiem bliska i następnego ranka obudzimy się po prostu w innym kraju. Czasem tak się nie wydaje: to oznacza, że wahadło znowu uciekło w przeciwną stronę. A jednak, obserwując pewne sukcesy właśnie tego *stabilizacyjnego* projektu geopolitycznego, łapię się na podświadomej chęci, by jak najgłośniej cytować Mykołę Chwyłowego: „Precz od Moskwy!”. Przykro mi, że jestem zdolny do używania tak prymitywnego hasła. Chwyłowy wprawdzie musiał później tłumaczyć,

że chodziło mu nie o Moskwę jako taką, ale o Moskwę – *stolicę wszechzwiązkowego mieszczaństwa*, Moskwę burżuazyjną i NEP-owską, tę, która zdradziła robotnicze nauki Marksa i haniebnie się wyrodziła. Ja też, cedząc przez zęby jego podręcznikowe wezwanie, musiałbym precyzować, o jaką właściwie Moskwę mi chodzi. Nie, oczywiście nie o tę nieoficjalną Moskwę, Moskwę bez moskiewskiego meldunku, gdzie na nieznośnie małej powierzchni mieszkalnej zbiera się niekiedy tak wielu wolnych i szczodrych ludzi, że człowiek chodzi między nimi jakby cały obsypany darami i szczęśliwy: jeszcze krok i się zacznie: gitary, Cyganie, niedźwiedzie, niewytlumaczalny świąd duszy z przystawionym do skroni pistoletem, wielka zagadka nieskończone złożonej struktury psychicznej z jej zwycięskim „A masz, to za Sewastopol!” w finale.

* * *

Moje osobiste doświadczenia kontaktu z łacinką, to znaczy Okcydentem, liczą sobie jedenaście lat. Poczynając od tego samego 1992 roku, kiedy, osiadłszy wśród alpejskich przedgórzy w biedermeierowo-jugendstilowej willi Waldberta, pisałem swoją politycznie niepoprawną *Moscoviadę*, poczynając od tych zimowo-wiosennych niespokojnych dni i nocy, usiłuję wymusić na zachodnich kolegach, by przestali postrzegać mnie jako Rosjanina. Najogólniej rzecz biorąc, jest to próba jak najaktywniejszej obrony własnej suwerenności kulturowej. Chociaż – ale mnie poniosło – tak naprawdę chodzi o rzecz bardzo, bardzo prywatną, wewnętrzną i osobistą. „To tak, jakbyś miał na imię Iwan, a wszyscy mówili do ciebie Paweł” – tłumaczę swoją niecierpliwość. „O, doprawdy? – uśmiechają się z niedowierzaniem. – No dobrze, jeśli to dla ciebie takie

ważne, bądź sobie Iwanem. Chociaż i tak jesteś Pawłem!”. Coś w tym rodzaju.

Szczerze mówiąc, w dwunastym roku moich peregrynacji w kierunku zachodnim trochę się już zmęczyłem, ale wciąż uparcie nie przestaję:

– zaprzeczać, że Dostojewski powinien być mi bliższy niż Hesse;

– odrzucać komplementów dotyczących rosyjskiego baletu jako wyrażanych pod niewłaściwym adresem;

– przekonywać, że język, w którym piszę moje powieści i eseje, nie został wymyślony przez prezydenta Krawczuka w grudniu 1991 roku;

– okazywać, że melodia Kalinki-malinki jest mi całkowicie obojętna;

– krzywo się uśmiechać na każde ich „Dabrom poszajsta!”.

Nie przestaję wykonywać jeszcze dziesiątek innych spazmatycznych gestów – chodzi mi, jak już zostało powiedziane, przede wszystkim o moje indywidualno-indywidualistyczne *ja*, we mnie, niech to diabli, widzą kogoś innego, czyli mnie, niech to diabli, w rzeczywistości nie widzą – tak więc jest to właśnie samoobrona, moja rozpaczliwa niechęć do pogodzenia się raz na zawsze z rzeczywistością i tym, że słowa *vodka* nie wyprze już nigdy z ich konsumpcyjno-hedonistycznej słowo *horilka*, a oni wciąż i wciąż witają mnie swoim „Dabrom poszajsta!”, na co ja zgrzytam zębami i marzę o wprowadzeniu na Ukrainie alfabetu łacińskiego...

Ale – jak słusznie pyta mój przyjaciel Andrij Bondar, cytując nawet nie siebie, ale klasyka – co wtedy z cieniutką świeczką litery *ï* i księżycowym sierpem litery *ε*?

Co wtedy z *ï*, co wtedy z *ε*, co wtedy z *Я* – czyli *Ja*?

W moich geo- (kulturowych? politycznych? poetyckich?) konstrukcjach najczęściej wykorzystuję kilka efemeryd pojęciowych. Jedną z nich jest Europa Środkowo-Wschodnia. Ostatnio nie robię nic innego, jak tylko odbijam się od podstępnego pytania: „A co to takiego?”. Świadomie rozmywam jej granice, mistyfikuję i zacieram. „To Nowy Jork – powiadam. – To słup w okolicy karpackiego Rachowa. To terytorium postmodernizmu obdarzonego pamięcią i nadzieją. To terytorium wielu ruin. To ruchome terytorium, które dryfuje na wschód. To moje ostatnie terytorium”.

Niedawno doszedłem do wniosku, że nie są to dla mnie wcale resztki idylli habsbursko-naddunajskiej (co można było zresztą bez zastanowienia wywnioskować z moich dawniejszych tekstów), czyli nie terytorium starych Austro-Węgier, nie cynamonowe kawiarnie, nie wiedeńskie widokówki, nie stare galijskie anegdoty, nie Sacher, nie Masoch, nie Kafka, nie Musil, nie Schulz, nie Roth i nie wszyscy inni.

Nie, oczywiście, to wszystko tam jest obecne, ale gdzieś głęboko na dnie – *to, co na spodzie*.

Natomiast to, co nie jest na spodzie – to znacznie bliższa historycznie przestrzeń komunistyczno-totalitarnego panowania, czyli jednak resztki i jednak imperium, ale inne i innego – zachodnie resztki imperium rosyjsko-radzieckiego w jego najszerszym rozumieniu (nie tylko w obrębie byłego ZSRR, ale we wszystkich – także zewnętrznych – granicach, ze wszystkimi nie tylko koloniami, ale i dominiami, protektoratami, a nawet satelitami). Na tych terenach Austria jest w istocie nieobecna (i dlatego *habsburskie* rozumienie Europy Środkowo-Wschodniej ostatecznie odpada), za to obecne jest było NRD – i nie tylko w związku z antyradzieckim powstaniem robotników w 1953 roku.

Określenie granic *tej* Europy Środkowo-Wschodniej czasem nastęrcza mi poważnych problemów historycznych. Nie wiem, co robić z narowistą Jugosławią Tito, Rumunią Ceaușescu czy Albanią Envera Hodży. Mimo to przypuszczam, że i one daleko nie uciekną: wszystkie te reżimy, wyrwawszy się politycznie poza granice Rosji i bezpośredniego rosyjskiego dyktatu politycznego, pozostały jednak pod silnym wpływem rosyjskiego paradygmatu rządu. Krew z krwi, kość z kości.

Z tego wszystkiego wynika, że moja Europa Środkowo-Wschodnia to były *obóz socjalistyczny, Ostblock*. To te okolice, w których zdecydowana większość ludzi wciąż czuła wyraźne niezadowolenie i oburzenie z powodu wyników podziału świata po drugiej wojnie światowej, w związku z czym ich najbliżsi potomkowie chętnie poparli kolejny, bardziej ich zdaniem sprawiedliwy podział lat 1989–91. Innymi słowy, są to te tereny, na których w ciągu mniej więcej pół wieku narastały pretensje, a stąd i niechęć pod adresem Rosji. Taras Prochaśko bardzo trafnie zdefiniował tę Europę Środkowo-Wschodnią jako najbardziej sprzyjające terytorium dla prowadzenia wojny partyzanczej. I rzeczywiście – jest ona wszędzie tam, gdzie są „chłopcy z lasu”, Armia Krajowa, UPA, ona – to Budapeszt 1956, Praga 1968 i Gdańsk 1980.

Tak, to te tereny, gdzie ludzie będący obecnie koło czterdziestki i starsi swego czasu uczyli się zgodnie ze szkolnym programem życiorysu Lenina, jeździli na absurdalne wycieczki do Moskwy, Leningradu i Wołgogradu, wieźli *tam* na sprzedaż dzinsy i gumę do żucia, a *stamtąd* przywozili alkohol, telewizory i wyroby jubilerskie. Nic dziwnego, że wciąż jeszcze potrafią mówić po rosyjsku i czytać cyrylicę.

Ale nie zawsze chcą się do tego przyznawać.

Chyba nie mam prawa tego wszystkiego tak po prostu zostawić, nie dając nam żadnej szansy. To znaczy – nie mam prawa sprowadzać definicji Europy Środkowo-Wschodniej do „terenów, na których niespecjalnie kocha się Rosję”, do antyrosyjskości, i tym samym powtarzać tego samego grzechu „terytorializowania zła”, za który dopiero co tak krytykowałem rosyjskich ideologów.

A jeśli by tak w tym ślepym zaułku odwrócić wszystko o sto osiemdziesiąt stopni i pomyśleć o miłości?

Jestem przecież pewien, że ona istnieje.

Moja miłość do Rosji jest środkowoeuropejska. Zawiera w sobie pamięć o krzywdach, o każdym ataku gazowym z przeszłości. Ale nie porzuca nadziei. Środkowoeuropejska miłość do Rosji w żadnym razie nie jest uludą, to rzeczywistość, obecna wszędzie tam, gdzie ludzie jeszcze umieją (choćby nie zawsze chcieli) mówić po rosyjsku i czytać cyrylicę. W tym na pewno kryje się niesamowicie interesujący potencjał. Nazwijmy tę rzeczywistość omnipotencjalną.

Ta miłość jest dziwna i dlatego stawia własne warunki. Prawdziwa miłość zawsze jest ultymatywna. Prawdziwa miłość najczęściej jest jak pistolet przystawiony do skroni.

„Czego chciałbym od Europy? – pytał białoruski strateg Andrej Dyńko w połowie lat dziewięćdziesiątych. – Oczywiście, by ten miraż nakarmił mnie, napoił i wydrukował moje eseje i powieści. Ale przecież nie nakarmi, nie napoi i nie wydrukuje. Czego jeszcze chciałbym od Europy? By nie było tam Rosji”.

Tak więc i ja, naśladowując Andreja Dyńkę, zapytam, wtórując jego ostatniemu zdaniu:

Czego chciałbym od Rosji?

Na początek kilku podstawowych rzeczy.

By powstrzymała ludobójstwo i uznała niepodległość Cze-
czenii.

By przestała naciskać na Ukrainę (*i proczich raznych szwe-
dow*) w związku z tym, kogo powinna ona – Ukraina – wy-
bierać/nie wybierać i z kim powinna sympatyzować, a z kim
w żadnym razie nie.

By porzuciła ideę trzymania nas wszystkich na smyczy.

By – znów powtarzając słowa Andreja Dyńki – w końcu od-
rzuciła wszelkie perspektywy ekstensywnego rozwoju, ekspansji
na Zachód i skupiła się na sobie, tak pięknej i głębokiej.

By przeczytała moje powieści w języku oryginału.

By oduczyla się postrzegania mojego kraju wyłącznie jako
ojczyzny słoniny.

By nigdy więcej nie wsadzała za kraty swoich najlepszych
pisarzy.

By stawała się liberalna i indywidualistyczna, by rosyjskie
cechy indywidualne (*plus*) zawsze przeważały nad rosyjskimi
cechami kolektywnymi (*minus*).

Innymi słowy: by w tej skrajnie wybuchowej mieszance de-
spotii i anarchii, mieszance, która nosi nazwę „Rosja”, rosyjska
anarchia zwyciężyła nad rosyjską despotią.

* * *

Moje oczekiwania wobec Rosji są absurdalne i niewykonal-
ne, moja miłość do niej dziwna.

2003

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

1

Pozwolę sobie zacząć – nie ja pierwszy i nie ostatni – od trójkąta miłosnego. Model ten, jak się wydaje, pasuje absolutnie do wszystkiego, bo przecież jest miłość i jest jej druga strona – jak powiedziałby Rosjanin: iznanka, czyli nienawiść. Cała reszta to tylko inne, zawoalowane formy tych dwóch uczuć. Ale przypuśćmy – czemu nie – że nienawiść jest zawoalowaną formą miłości, i odwrotnie, czyli że w rzeczywistości jest to jedna, jakaś miłonawiść, Hassliebe, której najbardziej jaskrawym przejawem jest zazdrość.

Rosjanie są wobec Ukrainy zazdrośni o Polskę. Nie tylko ci, którzy wciąż uważają Ukraińców za jedno z plemion ze wspólnego pnia narodu czy za omyłkowy odłamek utraconej jedności. I również nie tylko ci, dla których tak zwana Ruś Kijowska nadal pozostaje „kołyską trzech bratnich narodów”, a Kijów, choć rodzaju męskiego – matką rosyjskich miast. Nie, nie tylko. Gdyby chodziło tylko o nich, wszystko byłoby w porządku. Ale równie zacięci w swej zazdrości okazywali się niejednokrotnie także rosyjscy „ludzie dialogu”, ci prawi rycerze otwartości, czyli – jak się okazywało nieco później – liberalni imperialiści. „No, po co, na co wam ta polska ekspansja? – wypytywali namiętnie. – Czyżbyście nie rozumieli, o co im tak naprawdę chodzi?”

Szczególnym przypadkiem byli też ci, którzy z nienaturalną ciekawością i nie bez profesjonalnego zaangażowania

indagowali o „wspólne projekty” – ile i na co Polacy dają pieniędzy, jak często nas odwiedzają, czy przy okazji fotografują dworce kolejowe, mosty, tunele i inne zabytki architektury? Ci po prostu wykonywali swoje obowiązki, toteż ich zazdrość była w istocie zazdrością ich *naczalstwa*.

À propos naczalstwa: powiadają, że niedawno w Jałcie nerwy odmówiły posłuszeństwa nawet staremu wyjadaczowi – wystarczyło napomknąć o ukraińskiej inicjatywie zorganizowania wspólnie z Polakami finału europejskiej Ligi Mistrzów. W odpowiedzi stary wyjadacz z taką sportową furią kopnął swego nieostrożnego rozmówcę z Kijowa, że zagraża to nie tylko mistrzostwom Europy, ale i mistrzostwom ukraińskim*.

Gniew starego wygi jest bardzo charakterystyczny. Rosjan denerwuje już sam fakt rywalizacji – bo jakże to, mają być zazdrośni o „jakąś tam Polskę”?! To dość skomplikowana „dialektyka duszy”: z jednej strony trudno nie być zazdrosnym, lecz z drugiej – trudno tą zazdrością nie gardzić. Przecież Polska w oczach Rosjan nie stanowi żadnej konkurencji – choćby dlatego że nie jest mocarstwem – Ameryką czy Chinami. Poza tym zaledwie piętnaście lat temu była całkowicie zależna od Rosji. Polska jest jednym z niewielkich krajów byłego obozu socjalistycznego. Jak mawiał mój znajomy rosyjski poeta – *dyrdymały środkowoeuropejskie*.

Jednakże w rosyjskim myśleniu o polityce zagranicznej znaczenie polskiego czynnika w „kwestii ukraińskiej” gwałtownie urasta od wielkości natrętnej muchy do rozmiarów słonia, i to bojowego. Rosjanie potrzebują tego słonia do weryfikacji

* Chodzi o spotkanie Władimira Putina z Leonidem Kuczumą, podczas którego prezydent Rosji zaproponował stworzenie wspólnej rosyjsko-ukraińskiej Ligi Mistrzów (przyp. tłum.).

jednego z *najbardziej zaniedbanych mitów historycznych* – mitu obcego, zagranicznego, przyniesionego *zza pagórka* „ukraińskiego separatyzmu”. Mitu „ideologii niepodległościowej” – czysto galicyjskiej, czy też szerzej, zachodnioukraińskiej intrygi powołanej do życia przez różnej maści austriacko-europejskich, a zwłaszcza polskich, okupantów.

Strasznie przykro jest pisać o tym wszystkim wciąż od nowa, bo przecież wydawało się, że sprawę tę wyjaśniono raz na zawsze na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, a dziś można by o niej – umownie rzecz ujmując – nareszcie spokojnie zapomnieć i swobodnie zacząć tworzyć jakieś zupełnie nowe i nieoczekiwane geopolitole. Jednakże codzienna praktyka polityczna w stosunkach ukraińsko-rosyjskich oraz ukraińsko-polskich – a zwłaszcza ta nieprzyzwoita, wręcz serwilistyczna siła, z jaką przywódcy ukraińscy odgradzają się od wszystkiego co zachodnie, z łatwością oddając się wszystkiemu co północno-wschodnie – zmusza do tego, by wciąż od nowa wracać do starych tematów. Najwidoczniej – *mea culpa!* – nigdy w należyty sposób niewyjaśnionych i wciąż niewyczerpanych. Czasami chciałoby się krzyknąć: *hydry nie pokonano, wyrosło sto nowych głów!*

2

Czy Polacy są zazdrośni wobec nas o Rosję? Innymi słowy, dlaczego wciąż jeszcze zależy im na Ukrainie? W odróżnieniu od Rosjan kijowsko-ruski mit do niczego nie jest i nigdy nie był im potrzebny – mieli dość własnych mitów legitymizujących swoje państwo i naród. Nawet najbardziej zajadli szowiniści nie pozwalali sobie na uznawanie Ukraińców za plemię należące do „tego samego pnia” – chyba że w najdawniejszych czasach, o których

wiadomo tylko tyle, że kiedyś bywały. Jeśli zaś chodzi o idealistyczne hasło: „Nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy” – kolejnego wcielenia typowo polskiego: „Za naszą i waszą wolność!” – to jego bezpodstawności dowiedli już nawet ludzie tak źle poinformowani jak komisarze europejscy.

Czyżby w takim razie Polakom chodziło tylko o to, że przystając na Ukrainę pod wpływem Rosji, utracą za granicą część własnego – no tak, europejskiego! – dziedzictwa kulturowego? Czyżby po dziś dzień Lwów, Drohobycz i Krzemieniec z całym tym postradzieckim śmietniskiem mimo wszystko wydawały im się warte tej beznadziejnej wojny, która zapowiada się już nawet nie na trzydziestoletnią? Wojny pod nazwą: „Europejski wybór Ukrainy”?

3

Kiedy mówię o beznadziei, w istocie nie chodzi mi o *wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną* – co do niej, to nie wiadomo, jak by się skończyła. W rzeczywistości wojna między tym co rosyjskie a tym co polskie, o którą mi chodzi, toczy się wewnątrz, w świadomości przeciętnego Ukraińca. To wojna stereotypów funkcjonujących w tej świadomości. Nie, nie odwołuję się do żadnych badań socjologicznych – raczej do własnego, wewnętrznego zmysłu socjologicznego, do sumy doznań zebranych w kontaktach, sprzeczkach, obserwacjach, rozczarowaniach, podróżach, mediach, przez skórę, słuchem i niuchem. Nazwałbym to swego rodzaju *próbą fikcyjnej socjologii*, aż ziejącą pustką po cyfrach i danych – zamiast nich używam niejasnego pojęcia „przeciętnej świadomości Ukraińca”.

Można to uznać za zabawę dyletanta. Być może jest to próba wyjaśnienia sobie i innym, z jakiego powodu trzysta tysięcy

ludzi ani razu nie wyszło na ulice, by zaprotestować przeciw temu, że ich, szczerze mówiąc, niezbyt popularny prezydent oddaje Rosji kolejny kawałek rurociągu, niezależności, wolności, godności. W tej „przeciętnej świadomości” musi tkwić coś takiego, co zapewnia bezkarność temu „gwarantowi konstytucji”.

Wracam więc do stereotypów, a ściślej – do tego, jak je sobie wyobrażam. Kolejny raz dzielę kartkę papieru pionową kreską na dwie połowy. Tym razem po jednej stronie mam Polaków, po drugiej – Rosjan. I wychodzi mi, że:

Rosjanie są bezpośredni i szczerzy – Polacy chytry i obłudni;

Rosjanie są wielcy i wspaniali nawet w swoich zbrodniach – Polacy zapobiegliwi i małostkowi nawet w swych wielkich czynach;

Rosjanie, zdolni do współczucia, oddadzą ostatnią koszulę – Polacy prędzej ją zedrą;

Rosjanie są „swoi”, prawosławni – Polacy to katolicy, „jezuici”;

Rosjanie to dobrotliwi pijacy – Polacy wyrachowane skąpiradła;

Rosjanie są „ludscy” – Polacy „pańscy”;

Rosjanie klną, za to szczerze – Polacy udają, że przepraszają;

Rosjanie nie mają zakusów wobec Ukrainy, chcą z nią żyć razem w jednym państwie – Polacy mają zakusy wobec Ukrainy, bo chcą mieć Lwów;

Polska jest za granicą – Rosja tam, gdzie i my, „w Związku”.

Dość, kończę tę nieco masochistyczną rozrywkę, nie zapisawszy do końca nawet jednej kartki. Gołym okiem widać, że stereotypy dotyczące Rosjan są dużo bardziej pozytywne. Ciekawe, na ile prawdziwa socjologia potwierdziłaby tę moją

własną, wewnętrzną? Jak okrutnie przygniatający byłby wynik? Na ile porównywalny ze stosunkiem liczby rosyjskich i polskich filmów w ukraińskiej telewizji, rosyjskiej i polskiej muzyki w ukraińskim radiu? Nie mówiąc już o stosunku rosyjskich i polskich gazet w ukraińskich kioskach – coś takiego jak „Gazeta Wyborcza na Ukrainie” po prostu nie istnieje*.

Pomnóżmy to przez liczbę niezmiennie chamskich i skorpupowanych celników, niegodziwych pracodawców i – Panie Boże, przebacz! – niezbyt sympatycznych starych i hałaśliwych ludzi, którzy ostatnimi czasy tłumnie krążą po Lwowie z aparatami fotograficznymi, wyraźnie naśladując tłumy swych niemieckich rówieśników, powiedzmy, we Wrocławiu.

Dodam też nieszczęsne wizy wprowadzone przez Polskę, co przeciętnego Ukraińca utwierdza jedynie w mniemaniu, że Polacy *w rzeczywistości nas nie lubią i że jesteśmy dla nich interesujący głównie jako tania siła robocza.*

4

Polonofobów – znowu czuję to przez skórę i podskórną – mamy znacznie więcej niż polonofilów. Przekrój socjologiczny tych pierwszych jest nadzwyczaj szeroki – spotykają się tu warstwy, które być może tylko i wyłącznie w tym jednym punkcie – polonofobii – nie stoją na antypodach. Nienawiść do Polaków mogłaby zapewne pojednać weterana UPA i kombatanta z NKWD, gdyby choć raz w życiu przyszło im na myśl porozmawiać ze sobą na ten temat. Pozbawiony wszelkich praw *gastarbeiter*

* Wszystkie najważniejsze gazety rosyjskie mają swoje wydania na Ukrainie, np. „Izwestia na Ukrainie”; są one wpływowe i mają ogromne nakłady (przyp. tłum.).

mógłby znaleźć w tym punkcie wiele wspólnego z nomenklaturowym profesorem historii, a może nawet z którymś z byłych ambasadorów niepodległej Ukrainy w Polsce.

Polonofile natomiast (mówię o tych prawdziwych, a nie z urzędu) to grono dość wąskie – podobne do rosyjskich dekabrystów – albo „agenci z za miedzy”, albo niedobitki demoliberałów. Innymi słowy, są to ludzie, którzy polubili Polskę i Polaków z własnego przekonania i wyboru, najczęściej czysto estetycznego – ktoś za młodu nasłuchiwał się Niemena czy Grechuty, ktoś naczytał się Lema czy Różewicza, ktoś niemal na pamięć zna Tuwimowski *Bal w operze* w przekładzie Mykoły Łukasza, ktoś po prostu zachłysnął się polską kulturą, czy choćby „Kulturą” paryską. Ktoś do dziś przegląda polskie tygodniki ilustrowane prenumerowane przez rodziców w czasach komunizmu, innego wciąż jeszcze bawią karykatury Mrożka publikowane na ich łamach, ktoś inny po raz pierwszy w życiu przeczytał *Zamek* – właśnie po polsku, bo znaleźć Kafkę po rosyjsku (nie mówiąc o ukraińskim) było marzeniem ściętej głowy.

Czy tych ludzi można uznać za wspólnotę? Bez wątpienia tak. Czasem mam wrażenie, że wszyscy znają się osobiście lub przynajmniej – jak przystało na prawdziwych agentów – wysyłają sobie sygnały na odległość. Czy można ich uważać za wspólnotę wpływową, która zdoła zmienić we własnym kraju „stereotypy przeciętnej świadomości”? Nie jestem pewien. Bez tego jednak nie widzę sensu ich, naszego, mojego istnienia.

5

Mój wybór to wybór jednego z nich. Spowodowany mnóstwem widzialnych i niewidzialnych nici, lecz w szczególności tym, że:

– w maju 1989 roku na krakowskich Plantach dostałem w brzuch potężnym strumieniem z milicyjnej armatki wodnej, niestety nie jako uczestnik, ale jako obserwator antyradzieckiej demonstracji, co stało się dla mnie sygnałem do powstania (osobistego, powstania mnie we mnie);

– lecz jeszcze wcześniej, jako uczeń szkoły średniej, wysłuchiwałem surowych napomnień nauczycielki rosyjskiego: „Zabraniam wam tykać tego świństwa – durnych polskich pisemek”, a potem, nieco później, już jako student, słuchałem wykładów z naukowego komunizmu i pokwikiwania profesora: „Michnik! Kuroń! Kuroń! Michnik!”;

– a w 1994 roku poznałem Kuronia, w 1999 zaś – Michnika, i było to niczym materializacja duchów młodości, a tamten profesor za każdym razem kwiczał w swych zaświatach;

– i właśnie w taki sposób, poprzez Polskę, powracał do mnie wciąż od nowa smak, strach, śmiech, szał moich inicjacji;

– bo przecież dawniej, jako uczeń szkoły średniej, dzień i noc słuchałem polskiego radia (którego nie zagłuszali), bo puszczali rocka;

– czyli w Polsce pozwalano na to wszystko, czego u nas zabraniano;

– no, prawie wszystko;

– a z tego wszystkiego sam z siebie wylaniał się i wylania jakiś zakazany wniosek – na przykład taki, że nas w naszym kraju oszukują: i w tamtym, radzieckim, i w tym, który z niewiadomych względów uważa się za nie-radziecki;

– dlatego w maju 1989 roku chodziłem w Krakowie pod pomnik zielonego poety Mickiewicza słuchać głosów dysydentów nagłośnionych i zniekształconych przez megafony;

– a już w czerwcu, czyli po miesiącu, zobaczyłem, jak ten ruch wyzwoleńczy przenosi się do nas przez te same, pożyczone

z Polski megafony, i zrozumiałem, że jesteśmy na dobrej drodze;

– co prawda do dziś nie wiem, czy to myśmy z niej zoczyli, czy też nasza droga okazała się dużo dłuższa od polskiej;

– a wszystko, co się stało w latach dziewięćdziesiątych, w rzeczywistości oddalało nas, a nie zbliżało – choć i my, i Polacy mniej więcej w tym samym czasie i jednakowo katastroficznie pozbywaliśmy się romantyzmu, ale pewnie jakoś inaczej;

– dlatego że Polaków, podobnie jak nas, szczerze mówiąc, ukształtował właśnie romantyzm, a to niezbyt pewna podstawa;

– ale oni, w przeciwieństwie do nas, zawsze zachowali krytyczną masę niesprzedanej i romantycznej inteligencji;

– i mimo to w ciągu tych lat, kiedy się oddalaliśmy, poznałem setki najwspanialszych Polaków (i Polek) – a były to postaci przeważnie szalenie utalentowane, artystyczne, plastyczne, dramatyczne, heretyckie i feeryczne, a najczęściej płomienne;

– a ilość wódki, którą z nimi wypilem, znacznie przewyższa ilość wypitą z Rosjanami, choć z Rosjanami wypilem jej wiele;

– i dlatego Polacy lat dziewięćdziesiątych to dla mnie szczególny stan ludzkości;

– to taka bardzo młoda ludzkość, która się ostatecznie wyzwoliła i na łeb na szyję rzuciła w amfetaminę istnienia, samowypełnienia, wzbogacania życia;

– nie wiem, pewnie tak naprawdę było ich zaledwie 0,000001 procenta, a mój problem polega na tym, że poznałem tylko ich, czyli że nie znam *prawdziwych* Polaków;

– dlatego w październiku 2003 roku na lotnisku we Wrocławiu tak zgrzytałem zębami przez te dwie suki wopistki, które nie wpuszczały mnie właściwie do domu;

– bo przecież przez te wszystkie lata Polska oznaczała dla mnie wolność i gdziekolwiek przekraczałem jej granice, od razu czułem się jak w domu;

– i nawet gdy sami Polacy twierdzili, że ich kraj jest do dupy, to tylko kiwałem głową: „Oj, nie widzieliście wy prawdziwej dupy”;

– bo nikt z moich rodaków nie zaprzeczy, że gdy tylko przekroczyliśmy tę pierwszą granicę i ruszymy wreszcie naprzód przez ich obce, polskie terytorium, każdego z nas ogarnia niesamowite uczucie ulgi;

– bo zawsze dobrze mieć na zachód od siebie jakąś krajną marzeń – jeśli już nie wzorzec do naśladowania, to chociaż przedmiot zazdrości;

– dla Polski będą to Niemcy, dla Niemiec – Francja, i tak dalej, bo dalej nie wiem, co może być lepsze od Francji? Ameryka??;

– ale mnie wystarcza Polska – skąd codziennie nadchodzą rozpaczliwe pytania: „Czy naprawdę już po wszystkim? Czy naprawdę was sprzedali?” – z jakiegoś powodu tylko od nich, Polaków;

– a ja kolejny raz sam sobie zadaję pytanie: „No dlaczego wciąż ich to obchodzi?”.

Dlaczego znowu się wtrącają? Co to, jakieś szczególne poczucie odpowiedzialności za nas wszystkich?

A może jednak wierzą, że się doczekają?

Przełożyła Ola Hnatiuk

Najbardziej skierowane ku przyszłości projekty skazane są na czerpanie z przeszłości. A ponieważ nie jestem historykiem, zazwyczaj umieszczam tę „przeszłość” w całkiem osobistym wymiarze – takim na przykład, jak własne dzieciństwo. Zresztą chyba każdy tekst, który miałby być szczery, warto zaczynać właśnie od tego okresu.

Moje dzieciństwo upłynęło w pobliżu dworca kolejowego zachodnioukraińskiego miasta Iwano-Frankiwska, niedługo przedtem jeszcze Stanisławowa. Topograficzna bliskość torów kolejowych w nieunikniony sposób uwarunkowała moją miłość do pociągów. Zatrzymywało się ich na naszej stacji nie tak znowu wiele – w ciągu doby tylko siedem czy osiem, ale jeden z nich był *międzynarodowy*. Wiadomo było tylko tyle, że jest *pospieszny* i że kursuje od morza do morza. Rzeczywiście, za swoich najlepszych czasów łączył polski Gdańsk z bułgarską Warną. Zwykle nazywano go u nas „warszawskim”, dlatego że na tabliczkach wagonowych znajdowały się napisy „Warszawa–Sofia”, czasem „Warszawa–Bukareszt”, a czasem „Warszawa–Konstanca”. Przemieszczając się na południe, przybywał do nas gdzieś między dziewiątą a dziesiątą wieczorem i po kwadransie postoju ruszał dalej – w kierunku Czerniowiec i granicy rumuńskiej.

Wiadomo było również, że zawsze jeżdżą nim Polacy. Ci Polacy byli *tranzytowi*, nie mieli prawa wychodzić na peron, patrzyli więc na nas przez okna wagonów. Jak się wydaje, działo się tak dlatego, że Iwano-Frankiwnsk z jakichś wielce strategicznych przyczyn był miastem całkowicie zamkniętym dla cudzoziemców, wszelkich cudzoziemców, nawet *naszych*, socjalistycznych. Tak więc patrzyli na nas, a my na nich, i dziś już nie wiem, komu z nas było lepiej, pewnie jednak im, bo przecież dokądś jechali. Domyślam się, że wielu z nich przykuwała do okien nie tylko zwykła podróżnicza ciekawość. W ten czy inny sposób wszyscy oni musieli być jakoś związani z krajem, przez który przejeżdżali. Ich przekazy rodzinne stwierdzały, że kraina ta należała niegdyś do nich, więc spojrzeniami szukali przede wszystkim jakichś śladów.

Te ślady polskości w czasach mojego dzieciństwa były jeszcze całkiem wyraźne. Na przykład w kioskach z gazetami sprzedawano peerelowską prasę – partyjną i nie całkiem partyjną, kobiecą, sportową, dziecięcą, wszystko łącznie z „Przekrojem” i „Szpilekami” (ostatnich, jak mi się wydaje, radziecka władza nie doceniła: nasi rodzice, których swego czasu zmuszono do wykucia naukowego komunizmu, po prostu pokładali się ze śmiechu, oglądając na jednej z karykatur odwrócone w przeciwne strony połówki jednej i tej samej dupy z podpisem „Konflikt nieantagonistyczny”).

Ale sama obecność polskiej prasy oznaczała, że miał ją kto kupować. Zatem istniała tu wówczas znaczna mniejszość posługująca się językiem polskim, czy choćby czytająca w tym języku. Przypuszczam również, że byli to przeważnie ludzie starsi, ostatni z nich musieli wymrzeć gdzieś w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, ponieważ właśnie od tamtego czasu

przestałem widywać polską prasę w naszych kioskach. A może to „Solidarność” była przyczyną jej zniknięcia?

W każdym razie coś musiało się zmienić – najlepiej świadczyły o tym dalsze losy „warszawskiego pociągu”. Bo straszliwie się kurczył w ciągu tych lat – nie w sensie liczby wagonów, a trasy – przestał kursować już od morza do morza. Zapewne po prostu rozpadł się na kilka „wewnętrznych pociągów”. Każdemu krajowi – własny pociąg, tak to należałoby rozumieć. Tak więc mieliśmy do czynienia wyłącznie z jego ukraińskim (radzieckim) odcinkiem. Do Polski przestał jeździć ze względu na stan wojenny, a do Rumunii chyba z powodu Ceaușescu. Kiedy studiowałem, jeździłem nim dość często (szybkość!), ale tylko między Lwowem a Frankiwskiem. Najpewniej nie dochodził już dalej na zachód od Lwowa. Tak jakby prawdziwa żelazna kurtyna przechodziła właśnie wzdłuż zachodniej granicy ZSRR. Może się to wydawać absurdalne, bo przecież na zachodzie ZSRR graniczył nie z agresywnymi imperialistami, uzbrojonymi po zęby militarystami czy żądnymi zemsty rewanżystami, a wyłącznie z bratnimi *socstranami*. Ale mimo to od czasu do czasu coś tam się u nich działo i bracia stawali się w oczach władzy radzieckiej bardziej niebezpieczni od zaprzysiężonych wrogów.

Zachodnia granica Ukrainy w pełni odwzorowuje – co według mnie nie jest aż tak złe – zachodnią granicę ZSRR w jej ukraińskiej części. Kraje, z którymi dziś graniczymy na zachodzie, są tylko cztery – Polska, Słowacja, Węgry i Rumunia. By znaleźć dla nich jakiś wspólny kulturowo-historyczno-geograficzny mianownik, nie trzeba być Milanem Kunderą, wystarczy porównać architekturę tamtejszych stacji kolejowych. Tak więc za zachodnią granicą Ukrainy znajduje się Europa Środkowo-Wschodnia, która dzięki sprytniej partii szachów wygranej

kilkoma odważnymi posunięciami niebawem stanie się po prostu Europą, przynajmniej z nazwy. Zatem chodzi ni mniej ni więcej tylko o groźbę wchłonięcia. Dobrze, jeśli dla kogoś jest to sformułowanie nazbyt dramatyczne i paranoidalne, można uciec się do bardziej pozytywnie nacechowanego określenia: szansa wyrównania. W radzieckiej ideologii podobne procesy nazywano „szlifowaniem krawędzi”.

Ale Europa Środkowo-Wschodnia musi jednak gdzieś pozostać, bo przecież nie można na tym świecie istnieć bez Europy Środkowo-Wschodniej. Może zatem migruje ona (dryfuje?) na Ukrainę, przynajmniej do jej zachodniej części?

Po oszołamiających przemianach politycznych przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia najbliższa perspektywa historyczna wydawała się na tyle optymistyczna, że można było oczekiwać nawet takiego cudu, jak przywrócenie „warszawskiego pociągu” z czasów jego świetności. A nawet na nowych zasadach cywilizacyjnych: absolutna swoboda podróżowania oraz umożliwienie stałych, dynamicznych kontaktów. I – to wyglądało szczególnie atrakcyjnie – Polska i Ukraina miały odegrać w tych procesach swój całkiem harmonijny duet. Tymczasem Ukraina okazała się zbyt duża, zbyt ambiwalentna, zbyt niemrawa i zbyt owładnięta inercją. Innymi słowy, przejście na ogólnoeuropejską szerokość torów okazało się dla niej zadaniem ponad siły (a dla wielu mieszkańców także niespecjalnie pożądanym). Przynajmniej w okresie, którego początek przypada na sierpień 1991 roku. Chociaż oczywiście rzecz nie w szerokości torów – o ile mi wiadomo, w krajach Półwyspu Iberyjskiego jest ona również niestandardowa, co nie przeszkodziło Hiszpanom i Portugalczykom w integracji. Zupełnie inaczej jest z Ukrainą. O jej istocie stanowi głębokie zanurzenie w radzieckim, a następnie postradzieckim

standardzie antropologicznym – będzie się z nim zmagać jeszcze niejedno pokolenie Ukraińców, którzy nie mogą i nie chcą się z nim pogodzić.

Jednakże część odpowiedzialności za „ukraiński brak perspektywy” na długo obciąży zachodnich architektów nowego europejskiego domu, którzy – w odróżnieniu od Polaków czy teraz już także Litwinów, naszych stałych, ale i, co tu kryć, niezbyt wpływowych w tym pragmatycznym świecie adwokatów – nie pozbyli się, jak się wydaje, stereotypu dotyczącego położenia Ukrainy w „rosyjskiej części świata”. Poczynając od 1992 roku, mniej więcej regularnie bywam na Zachodzie i choć doświadczenie moich kontaktów z tak zwanymi oficjalnymi osobistościami jest prawie zerowe, wystarczają mi inne obserwacje. Znakomita większość moich zachodnich kolegów, dowiedziawszy się, skąd jestem, i niewątpliwie pragnąc sprawić mi przyjemność, zaczyna albo cytować rosyjską poezję, albo wychwalać rosyjski balet. Nie mam nic przeciwko temu, tylko że jakoś nie wypada przyjmować tych komplementów skierowanych pod cudzym adresem.

Najwyraźniej jest w tym jakaś żelazna logika – może i rzeczywiście o wiele bardziej praktycznym rozwiązaniem jest zatrzymać pociąg numer 76, dawny „warszawski”, na „radzieckim” torze w Przemyślu, niż zajmować się żmudną zmianą kół, by umożliwić mu dalszą drogę na Zachód.

Bo dziś pociąg ten kursuje jedynie z Czerniowiec do Przemyśla. Tak jakby dawno przestały interesować nas morza – Bałtyckie i Czarne. Pociąg numer 76 wraz z całą swoją historią i specyfiką jest dla mnie aż nazbyt naocznym ucieleśnieniem stosunku Ukraińców do Polaków. Nie kryje się za tym jakaś metafizyka, czy też w szerszym rozumieniu – filozofia. Chodzi o towar, pieniądze i znowu towar, o przepastne kraciaste torby,

o przewożenie papierosów i alkoholu, o przemyskie bazy, hurtownie, wreszcie także o zwykłą możliwość przetrwania. Chodzi o szczególny rodzaj kontaktów między strażą graniczną, obsługą pociągu i jego pasażerami. Wśród tych ostatnich wielu jest takich, którzy codziennie na kilka godzin trafiają do Polski, a potem wracają. Historycznie skomplikowane stosunki ukraińsko-polskie, z akcją „Wisła” i wołyńską tragedią włącznie, są im na tyle obce, że nawet głupio byłoby zadawać im jakieś pytania na ten temat. O wiele bardziej skomplikowane i problematyczne wydają się im stosunki z celnikami po obydwu stronach granicy, a następnie – z hurtownikami, pracodawcami i drobnymi przedsiębiorcami.

Natomiast o przeciętnym stosunku Polaków do Ukraińców przeczytałem gdzieś pod koniec ubiegłego roku. W przedrukowanym z polskiego źródła artykule była mowa o wynikach kolejnego badania socjologicznego na temat „Kogo najbardziej lubimy/nie lubimy?” (sformułowanie własne, ale odpowiadające istocie problemu). I okazało się, że od czasu poprzedniego badania ukraiński wskaźnik nieco się polepszył: podnieśliśmy się w oczach Polaków na czwarty szczebel od dołu. Na ostatnim tradycyjnie przebywają „Cyganie”. Jeśli wziąć pod uwagę, że znajdujący się o szczebel wyżej „Rumuni” w rzeczywistości też są „Cyganami”, to realne miejsce Ukraińców jest jednak nie czwarte, a trzecie od końca. A byłoby drugie, gdyby po jedenaśmym wrześniu 2001 nie wyparli nas stamtąd „Arabowie”.

Szczerze mówiąc, stan naszych stosunków daleki jest od ideału, wydaje się po prostu groźny, ale i jakoś wzajemny. Po stronie ukraińskiej objawia się to całkowitym brakiem jakiejkolwiek refleksji, historyczno-kulturową apatią, po stronie polskiej – niezmiennością negatywnego stereotypu. Powtarzam, chodzi mi o stosunki *przeciętnych ludzi*, choć jeśli wziąć pod uwagę, że owi

przeciętni ludzie w każdym społeczeństwie stanowią więcej niż dziewięć dziesiątych, to trudno ich lekceważyć.

A żeby sytuację przedstawić w jeszcze ciemniejszych barwach, powołałam się na rozkład jazdy. Od piętnastego listopada ubiegłego roku pociąg numer 76 Ukraińskich Kolei relacji Czerniowce–Przemyśl kursuje do Przemyśla już nie codziennie, a tylko co drugi dzień. Nie mam wątpliwości, że ta mało istotna zmiana jest bezpośrednio związana z nie tak znowu mało ważnym procesem zwanym rozszerzeniem Unii na wschód. Czy to już tylko mi się tak wydaje?

Ponieważ nie mam żadnego wpływu na Ukraińskie Koleje ani na PKP, ale jednocześnie bardzo bym pragnął, by między naszymi krajami odbywała się swobodna komunikacja, pozostaje mi jedynie stworzenie alternatywnego pociągu – o innych lokomotywnych, a nawet i nawigacyjnych możliwościach. Pomysł powstał parę lat temu w Czerniowcach: niech to będzie pismo i niech ten pociąg przemieszcza się wirtualnie. I niech pokonuje wszystkie problematyczne granice, nie tylko ukraińsko-polską, choć tekstów ukraińskich i polskich chciałbym widzieć w nim najwięcej.

Pasażerami tego pociągu będą czytelnicy, a jego obsługą – redakcja. Jeśli zaś chodzi o autorów, to pojawiać się będą na stacjach. Znajdujecie na mapie trasy pociągu ciekawą (albo jeszcze nieciekawą) dla was stację, klikacie myszką i widzicie nazwiska, klikacie na którekolwiek z nich – i otwieracie poślanie, ale jeśli brzmi to nazbyt górnołotnie – to po prostu tekst.

Chciałbym na przykład, by w końcu pojawiły się tam w ukraińskim przekładzie przenikliwe reportaże Pawła Smoleńskiego z jego książki *Pochówek dla rezuna*. Polski dziennikarz napisał o sprawach potwornych i gorzkich, związanych z całym kompleksem do dziś ostatecznie nierozwikłanych problemów –

o akcji „Wisła” w najszerszym i najtragiczniejszym jej rozumieniu. Bywa, że pyta mnie: „Kiedy doczekam się, by ktoś z ukraińskiej strony napisał taką samą książkę o Wołyniu?”. A ja nie mogę nic odpowiedzieć, choć wiem, że na początek konieczne byłoby wydanie jego książki na Ukrainie i po ukraińsku. Możliwe, że dla kogoś stałoby się to przykładem, bodźcem, wyzwaniem.

Ogólnie rzecz biorąc, chciałbym widzieć w tym pociągu jak najwięcej tekstów nowej polskiej i ukraińskiej literatury. Tej pisanej dziś, powstającej na naszych oczach. Andrzeja Stasiuka już na Ukrainie znają, tłumaczą i omawiają. Ale jest jeszcze z dziesięć (co najmniej) nazwisk, które już teraz są nam niezwykle potrzebne. Żeby chociaż jakoś utrzymać równowagę w tłumaczeniu i wydawaniu.

W tym pociągu, jak to zwykle bywa w pociągach, będą wagony klasy pierwszej (teksty literackie) i drugiej (krytyka, polityka, reportaż, wywiad). Będzie też wagon sypialny – specjalnie dla klasyków czy, ściślej mówiąc, dla tych autorów, którzy już nie żyją. Wagon pocztowy dla korespondencji i nowinek. Wagon restauracyjny musi aż kipieć życiem, bo tam mają miejsce wszelkie prowokacje i mistyfikacje. Będzie też wagon specjalny dla multimediiów. Wagonu dla aresztantów, mam nadzieję, nie będzie.

Ale najważniejszy dla istnienia pociągu będzie *tambur*.

Słowa tego zapewne nie da się przetłumaczyć na żaden inny język, bowiem jest to coś charakterystycznego tylko dla dawnej kolei radzieckiej. *Tamburem* zwie się specjalne pomieszczenie w końcu wagonu, gdzie wolno palić. Tak więc znaczna część podróży upływa w naszym kraju w *tamburach*. Wychodzi się tam, by porozmawiać o najważniejszych sprawach, poznać się bliżej, poflirtować, wypić z butelki kolejny łyk alkoholu, pokłócić się; czasem wychodzą tam, by się bić. *Tambur* w naszym pociągu

będzie forum dyskusyjnym. Właśnie tam dziwna, ale całkiem realna wspólnota naszych przyszłych pasażerów (wiem, że istnieje!) będzie mogła podyskutować o wszystkim, o czym się tylko da, a przynajmniej o tym, o czym muszą pomówić Ukraińcy, Polacy i inni „Cyganie”. O ulubionych i znienawidzonych tekstach, o stereotypach, o apatii, o barierach w kontaktach, o pretensjach terytorialnych, szukaniu winnego, wzajemnym odpychaniu i przyciąganiu, o Francuzach i Niemcach, jak też i Amerykanach, o akcji „Wisła” i tragedii wołyńskiej, o roku osiemnastym i osiemdziesiątym pierwszym, o terroryzmie i globalizacji, a nawet o cenach będzie tam można pogadać: cena benzyny, cena granicy, cena miłości, nienawiści, życia.

Chciałbym, żeby to ostatnie było wieczne, a granice – otwarte. Jeśli nie uda się nam otworzyć tych oficjalnych, stworzymy własną otwartość. A jeżeli zostaniemy zmuszeni do partyzanckich akcji, to przynajmniej przebijemy jakiś tunel: od Przemysła do Atlantyku. A może nawet i dookoła świata.

Czytam to, co napisałem, i widzę, że trochę mi się zakręciło w głowie. Żeby się nieco uspokoić, warto wrócić do przeszłości, znaleźć się upalnego letniego wieczoru w końcu lat sześćdziesiątych na stacji Iwano-Frankiwszk i poczekać na przybycie „warszawskiego”. W oknach wagonów twarze Polaków, którzy nie mogą tu wysiąść. I znowu patrzymy na siebie – my z peronu, oni – z pociągu i trudno sobie wyobrazić większe oddalenie.

Przełożyła Ola Hnatiuk

Niech to szlag – trzy dni, zaledwie trzy dni w jakiejś porządnej, wylizanej Brugii, a wszystko nabiera takiej ostrości, tak się uwypukla, taka nadwrażliwość na ojczyznę człowieka ogarnia! Na ten rozklekotany, pokryty niezliczonymi warstwami brudu wagon, na jego nieforemnych, kielbasokształtnych pasażerów z takimi samymi dziećmi i na smród z toalety, który nie może nie obudzić w pamięci ogólnonarodowego słowa *kibel*, i na niczym nieusprawiedliwione przystanki oraz nieznośnie długie postoje *przy każdym słupie*, i na tę nienaturalną ślamazarność, z jaką pociąg tak zwany osobowy wytrwale rozciąga odległość stu pięćdziesięciu kilometrów na całe trzy i pół godziny, plus oczywiście spóźnienie.

To był ostatni odcinek mojej drogi do domu – po jednym intercity i dwóch samolotach takie kontrasty przeżywa się szczególnie ostro. Przepaść dzieląca *nas* od *nich* zaczyna wydawać się nie do przebycia, wrażenie, że beznadziejnie utknęliśmy na zabitym dechami końcu świata – niezbywalne, a europejska retoryka najwyższych władz zdaje się z kolei znakomitym przykładem czarnego humoru. Trzeba się wreszcie odprężyć i zacząć czerpać przyjemność z tego, co mamy i co jest niezmiennie, to znaczy również z warstw brudu w wagonie i kielbasowości

ludzi, i smrodu, i ślamazarności. Trzeba kochać tę rzeczywistość – jest wyjątkowa.

Trzeba wreszcie zgodzić się z Jaworskim.

Wołodymyra Jaworskiego zawsze czyta się z zainteresowaniem. Tym razem moją uwagę przyciągnęła publicystyka tej przedziwnej postaci, bohatera lwowskiego undergroundu lat siedemdziesiątych, autora legendarnego cyklu *Pólsenne listy z Imperium Diamentowego i Królestwa Ziemi Północnej*. W dwudziestym szóstym numerze pisma kulturoznawczego „Ji”, które ujrzało świat pod hasłem „Topos porażki”, Wołodymyr Jaworski zamieścił artykuł *O Ukrainie bez oskarżeń*. Dlaczego właśnie ten artykuł przypomniał mi się nagle w wagonie-plackarcie pociągu osobowego numer 606 relacji Lwów–Rachów?

W swojej koncepcji Ukrainy autor wychodzi od pojęć *nieostrości* i *niepowodzenia*. Tak więc konstatuje przede wszystkim to, co oczywiste: klęska polityki wewnętrznej i zagranicznej, gospodarki, nauki, kultury, wszystkiego. „Zupełnie jakbyśmy już nie istnieli – pisze. – Dziwne, ale prawdziwe: działalność pięćdziesięciomilionowej masy Ukraińców jest na ziemi praktycznie niedostrzegalna. Nie znajdzie się chyba na świecie żaden inny naród, który przy tak poważnej masie ludzkiej zyskiwałby tak mizerny oddźwięk”.

Wytłumaczenie tego – bez żadnej przesady – fenomenowi Jaworski upatruje w pozbawionym twórczego pierwiastka charakterze ukraińskiego społeczeństwa. „Odważę się stwierdzić – pisze – że ukraińskiemu społeczeństwu brakuje dynamicznych, to znaczy twórczych, jednostek i że ogólną cechą narodu ukraińskiego jest inercja, czyli brak pierwiastka twórczego”. A z tego bierze się zarówno ograniczenie horyzontów myślowych i zachowań, jak i bierność, wrogość, czy przynajmniej niechęć wobec wszystkiego co nowe i niezwykłe – od

przemian gospodarczych zaczynając, na sztuce współczesnej kończąc. Ukraińcy, zdaniem Jaworskiego, we wszystkim wołać naśladować to, do czego przywykli, trzymać się tego, co ustalone i znane, nieważne, jak bardzo nawet ich własnym zdaniem jest to nieznośne. Jasne, że w wiecznie podlegającym zmianom i ogromnie dynamicznym świecie jest to podejście outsidera. Jasne też, że Ukraińcy czują i uświadamiają sobie to outsiderstwo, ale w efekcie wpadają jedynie w jeszcze głębszy kompleks niższości i masochizm. „Ukraińiec przekonany o własnej niemożności zmienienia czegokolwiek pozostaje głuchy na wszelkie propozycje działania – konstatuje Jaworski. – Tylko interwencja siły zewnętrznej może go poruszyć”.

Wydaje mi się, że mimo pozornej antropologicznej amatorszczyzny tej koncepcji, mimo użycia w niej takich efemeryd jak „większość społeczeństwa”, „mniejszość”, „jednostki twórcze i nietwórcze” Jaworski intuicyjnie dokonuje bardzo wnikliwych obserwacji. Ich potwierdzenie można znaleźć niemal na każdym kroku. Poczynając choćby od tego, jak Ukraińcy wyglądają, jak się, dajmy na to, ubierają. No jasne – *jak wszyscy*. A czego najbardziej pragną? Pozostać niezauważonym. Znaleźć bezpieczną niszę i przesiedzieć w niej całe pasmo istnienia zwane życiem. Stąd bierze się ich nastawienie nie na życie, a na *przeżycie*. Zachowania społeczne? Krańcowa bierność, własne stanowisko ograniczone do niezadowolenia i tępego narzekania. W ocenie własnego sposobu życia i społeczeństwa dominuje nieufność wobec wszystkich i wszystkiego. Wszyscy to swołócze. A najbardziej politycy, obojętnie jacy. I ci, co mają władzę, i ci, co się do niej rwą. Ulubione rozrywki? Koncerty *masowe*, alkohol, jeżdżenie, seriale telewizyjne i pokazy lotnicze.

Proszę wybaczyć cynizm, ale grzechem byłoby nie wykorzystać takiego *materiału ludzkiego*. W pewnym sensie jest on

wprost idealny jako żer dla władzy oligarchii: w miarę posłuszny, w miarę przestraszony, w miarę wykształcony, w miarę niedoinformowany, czy może zdeinformowany. Skutecznie chroniona przez połączone siły funkcjonariuszy i karków *elita narodowa* korzysta jak może ze specyficznego społeczno-psychologicznego rozkładu. Pozostaje jej podzielić między siebie ostatnie kęsy i zakonserwować status quo na długie dziesięciolecia, żeby i dla wnuków, i dla prawnuków zostało. Przy czym nie domyśla się ona raczej, że również ta droga jest outsiderska, ahistoryczna, pozacywilizacyjna, że jest drogą donikąd. Nie domyśla się, bo też jest tutejsza.

Prawie we wszystkim zgadzam się z Jaworskim. Tak samo bliski jest mi nawet jego czysto ukraiński brak pewności siebie: „[...] moich myśli o ukraińskim społeczeństwie nie podaję jako prawdy. Chyba silniej niż ktokolwiek czuję ich chwiejność” – przyznaje.

I tylko z jednym w żadnym razie nie mogę się zgodzić – że wszystko to zostało przez Kogoś pomyślane i jesteśmy, jacy jesteśmy, bo On tak zapragnął i w tym tkwi jakaś nasza szczególna misja, a nawet *tajemny sens*. Domyślałam się, że to nie tak. I proszę Go, by potwierdził moje przypuszczenia.

2002

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Giermanija, konieczno, priekrasnaja strana. Wot jesli by jeszcze w niej Niemcew Nie było!

Z refleksji, które wygłosiła niegdysiejsza mieszkanka naszej wspólnej ojczyzny, Berlin 1994 rok

1

Nie wiem, czy można powiedzieć, że warunki klimatyczne kraju, w którym się urodziłem i w którym mieszkam, zdecydowanie różnią się od klimatu środkowoeuropejskiego. Takie samo, zazwyczaj chłodne w czerwcu i upalne w sierpniu, lato, taka sama zmienna zima z przejściowymi mrozami i długimi odwilżami, taka sama przesiąknięta zapachem deszczu i umierających roślin jesień, taka sama pełna niepewnego oczekiwania nerwowa wiosna. Przypuszczam, że w rodzinach niemieckich weteranów frontu wschodniego (tak z pierwszej, jak i drugiej wojny) do tej pory krążą rozmaite fantasmagoryczno-münchhausenowskie opowieści o najostroższych na świecie ukraińskich zimach – kończących się odmrożonymi kończynami i przeziębionymi genitaliami. Być może chodzi również o coś innego: o zdolność ludzkiej pamięci do przeobrażania rzeczywistości w nadrealność i gromadzenie narracyjnych special effects. Nie przeczę, że klimat

faktycznie mógł się zmienić i od czasów ostatnich działań wojennych na naszych ziemiach pogoda zdążyła wyraźnie złagodnieć. W każdym razie mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością podróżnika, który w ciągu minionego dziesięciolecia niezliczoną ilość razy zapuszczał się na zachód i tyleż razy powracał: nie, nie widzę żadnych różnic klimatycznych między, powiedzmy, Wiedniem a Lwowem czy Berlinem a Kijowem.

Z drugiej strony, ten sam wewnętrzny podróżnik aż we mnie krzyczy na widok realnie istniejącej Granicy. Przebiega ona dokładnie wzdłuż zachodniego pasa granicznego Ukrainy, która co do milimetra odtwarza dawną granicę państwową ZSRR, i w ten sposób dzieli rzeczywistość na Europę i Coś Innego. Tak oto w ciągu ostatniego dziesięciolecia zdobyłem spore doświadczenie, przemierzając ową Granicę w obie strony – tam i z powrotem. Korzystam w tym celu z tradycyjnych właśnie dla tego regionu lądowych środków transportu i kiedyś napiszę osobną książkę o wszystkich moich spotkaniach z celnikami i służbami granicznymi. W tej chwili jednak nie o nich mowa. W tej chwili mowa o przedziwnym fenomenie, który jej, Granicy, towarzyszy. Tak więc bez względu na całkowite podobieństwo warunków pogodowo-klimatycznych po obu jej stronach, przecinając ją w kierunku powrotnym – z zachodu na wschód – każdorazowo obserwuję jedno i to samo: nagle pogorszenie pogody, jakieś gigantyczne oberwanie chmury, gwałtownie ciemniejący krajobraz, niebiosy rozdierane deszczem czy śniegiem, w najlepszym razie pograżenie panoramy w mroku i szarości. Tak jakby za każdym razem ktoś specjalnie dla mnie i moich przypadkowych towarzyszy podróży przygotowywał ogromne atmosferyczne przedstawienie pod tytułem „Ojczyzna wita was!”. Albo może już od progu zaczynał egzaminować z miłości do niej: czy i tym razem wytrzymam?

Nie wątpię, że chodzi tu właśnie o mnie. Choć na ogół bardzo lubię powroty i takimi kataklizmami nie łatwo mnie zstraszyć.

2

Co tak naprawdę oddziela owa fatalna postradziecka Granica z Europą? Inaczej rzecz ujmując: co zmusza rozrastającą się coraz dalej na wschód, świetlaną Unię Europejską do odgradzania się od tych zapuszczonych, wyblakłych terenów nową żelazną kurtyną? Czyżby po raz kolejny szło o oddzielenie światła od ciemności? Tylko dlaczego światło na zachodzie? I skąd ta ciemność na wschodzie? Może chodzi o nasze problemy z energią, o regularne wyłączanie prądu w sezonie jesienno-zimowym, o dokonujące się każdego wieczoru zanurzanie naszych miast, miasteczek i wsi w otchłań nocy?

Tak więc co zostało oddzielone? No, jasne – przede wszystkim inna jakość dróg. Przekraczając Granicę i powracając na *łono ojczyzny*, zaczynam fizycznie odczuwać całe to potworne podłoże pełne bruzd, zorane pęknięciami, tę tysiąckrotnie remontowaną, a mimo to nadal zniszczoną nawierzchnię. Rzuca mną i trzęsie, kierowca nie może przekroczyć sześćdziesięciu na godzinę, a każdy wybój jak najwymowniej wskazuje na oczywisty brak przynależności do grecko-rzymskiej cywilizacji. Nawet jeśli zrezygnować ze zwykłych dróg i zdać się na łaskę kolei, Granicę i tak wyznaczy zmiana szerokości torów: z *europskich* na *rosyjskie*. I co zrobić z tymi torami, z tym bodaj najbardziej niezniszczalnym spadkiem po imperium?

Choć nie. Nie tory, a ściślej nie ich zwiększona szerokość, w pierwszej kolejności świadczą o realnej, nieprzerwanej ciągłości istnienia imperium, ale – powiedzmy – inna muzyka i w ogóle

odmienna kultura masowa. Właśnie ona, Granica, oddziela obszar, na którym rosyjska muzyka pop wzbudza zachwyty, od tego, gdzie się nią gardzi. To po prostu niesamowite – ledwie dwa, trzy kilometry na zachód i okazuje się, że nikt nawet nie słyszał ani o Filipie Kirkorowie, ani o Alle Pugaczowej, ani tym bardziej o Josifie Kobzonie, tym Franku Sinatrze ciągle jeszcze zjednoczonej postradzieckiej przestrzeni muzycznej. I tylko dwa, trzy kilometry na wschód, a wspomniani Filip, Ała i Josif urastają do rangi międzynarodowej legendy, stają się prawie członkami rodziny, znacznie bliższymi i bardziej swojskimi niż wszystkie bez wyjątku narodowe i państwowe ideały i zrywy, z *europęjskim wyborem Ukrainy* włącznie. Nie wątpię, że w tym sensie ZSRR nadal istnieje – jako ogromny i niepodzielny szmat łądu, *jedna szósta świata*, w której lubią słuchać strasznej muzyki rosyjskiej (nie, nie Czajkowskiego i nie Musorgskiego – tych słucha się bardziej na zachód).

A co za tym idzie – związany z tą muzyką sposób życia, cała ta codzienna obrzędowość rządząca się odmiennymi prawami stosunków międzyludzkich, odmienną – bo kolektywną – etyką, odmiennym wyobrażeniem o towarzyskości, a także odmiennymi napojami od święta i na co dzień. Strefa wódki, która zaczyna się zresztą bardziej na zachód, w sąsiedniej i charakterystycznej pod wieloma względami Polsce, właśnie u nas, po tej stronie Granicy, osiąga swe najdoskonalsze wcielenie – przecież oficjalna cena wódki w porównaniu z cenami w Polsce spada tutaj na tyle nisko, że z elementu dekoracyjno-rozrywkowego w jednej chwili przemienia się w chleb nasz powszedni i staje się czymś tak nieuniknionym jak powietrze.

Oczywiście, ta odmienność nie może pozostać bez wpływu na ludzki wygląd. Tak, Granica oddziela również style ubierania się – oto i one, te papachy z króliczego futra, puchate chuściny

na głowach staruszek, te ciężkie rzeczy bez fasonu, przeznaczone na zimowe pory (w ten sposób, jak w lustrze, odbija się wspomniany już mit o najostrzejszych zimach, paradoksalnie przejęty być może właśnie od weteranów Wehrmachtu), oraz masa workowatych dresów i wszelkich imitacji skóry. I nawet niezmiarzone góry *europejskiego second-handu* za bezcen, które wyrosły w ciągu ostatnich pięciu lat na naszych tak samo niezliczonych bazarach, na razie nie są w stanie znacząco wpłynąć na bardziej prozachodnie zmiany w granicach ludzkiego krajobrazu.

Albowiem ten krajobraz jest przede wszystkim zdeterminowany czymś znacznie istotniejszym niż system polityczny ostatniego czy przedostatniego stulecia albo nawet egzotyczna cyrylica, miła oku prawdziwie wyrafinowanego Europejczyka, który – by wykazać wyjątkowość swego własnego języka – musi zadowolić się co najwyżej skromnymi możliwościami diakrytyki i sprowadzać całą swą historyczno-kulturową niepowtarzalność do jakiegoś tam β . Ale nie, nie piękno cyrylicy w jej ukraińskiej wersji, *nie księżycowy sierp litery ϵ i nie cieniutka świeczuszka litery \imath* , określają odmiennność tego, co za Granicą.

Nie, w tej odmienności chodzi o coś głębszego i bardziej zasadniczego – może o bizantyjską mentalność, zgodnie z którą *prawda jest ważniejsza niż prawo*, a o ile w tym samym czasie *każdy wyznaje własną prawdę*, o tyle jakakolwiek inicjowana przez Zachód próba wprowadzenia za Granicą swoich *prawnych zasad* skazana jest na wygwizdanie i sabotaż. Najbardziej dalekowzroczni psychologowie społeczni dawno już postawili diagnozę, że jedyną możliwą formą sprawowania władzy nad takim zbizantynizowanym społeczeństwem jest tylko absolutny despotyzm, skoro nie zadziała tu żaden z demokratycznych modeli, gdyż nieuchronnie musiałby przejść jakieś potworne posttotalitarne metamorfozy czy – lepiej rzec – metastazy.

Nie chcę się jednak z tym godzić – szczerze mówiąc, krótkowzroczność jest mi o wiele miłsza niż dalekowzroczone przewidywania, nie chcę przecież oddawać swojego ostatniego terytorium żadnemu despotyzmowi.

Zgadzam się całkowicie z opinią, że u podstaw podziału świata leży również odmienność ludzkich twarzy. I to właśnie jest zagadką: dlaczego zawsze i wszędzie je rozpoznaję, te twarze ludzi z mojej strony Granicy? Dlaczego – niezależnie od miejsca spotkania – czy to w Operze Wiedeńskiej, czy w weneckiej noclegowni, niezależnie od entourage'u i ubioru wokół? Mimo całej genetycznej różnorodności i typologicznego rozmycia – dlaczego?

3

Coraz więcej tych twarzy (ukraińskich? postradzieckich? ukraińskich radzieckich?) pojawia się na Zachodzie. Przy każdym kolejnym wyjeździe zauważam, że znowu ich przybyło. W języku biurowym nazywa się to *wyjazdem na peemżet*. Zamiłowanie do skrótowców – ta nieodłączna socjolingwistyczna cecha człowieka radzieckiego – dobrze zakonserwowała się również u człowieka postradzieckiego. Moim zdaniem potwierdza to podejrzenie, że tak naprawdę *homo postsovieticus* jest odmianą *homo sovieticus*, jedną z jego historycznych postaci. Mógłbym posunąć się jeszcze dalej i poszerzyć ten domysł na cały system: ZSRR tak naprawdę nadal istnieje – choć pozbawiony zewnętrznych atrybutów, absolutnie niewzruszenie przetrwał wewnętrznie, w środku – nadal zajmuje swoją najprzestronniejszą jedną szóstą półkul mózgowych – na poziomie kory mózgowej, w komórkach nerwowych, które, nawiasem mówiąc, naprawdę się regenerują, mimo ogólnie przyjętego

twierdzenia, jakoby były całkowicie nieodnawialne. Tak więc – te się odnawiają.

Powróćmy jednak do wspomnianego *wyjazdu na peemżet*. Ten skrót, zrodzony niewątpliwie w labiryncie wewnątrz radziecko-postradzieckich policyjnych *wydziałów wiz i rejestracji* (WWIRÓW), zawiera w sobie pierwsze litery aż trzech rosyjskich słów: *postojannoje miasto żitelstwa*. Rzecz jasna, jest to echo charakterystycznego już dla carskiej Rosji przywiązania chłopów do ziemi, a ponadto – biurokratyczno-policyjnego wyobrażenia o tym, że jakiegokolwiek niekontrolowane odgórnie przemieszczanie się ludności jest niedopuszczalne, a przynajmniej niepożądane. Mówiąc po ludzku, *wyjazd na peemżet* powinien nazywać się, dajmy na to, *wyjazdem* za zawsze. Czyli informację o tym, że NN *wyjeżdża na peemżet do erefenu*, trzeba rozumieć tak: NN dostał pozwolenie na stały pobyt w Niemczech i ma teraz w dupie całą tę Ukrainę, i jak najszybciej porzuca ją w diabły, byleby tylko wydostać się poza Granicę, stać się *normalnym człowiekiem* i – w miarę możliwości – nigdy więcej nie wrócić.

W szlachetniejszych minionych czasach (a czasy minione z jakiegoś powodu zawsze są szlachetniejsze od współczesnych!), kiedy szło o ideologiczne wojny z panującym systemem, *wyjazd na peemżet* nazywał się *emigracją*. Ci, którzy odważyli się emigrować, byli dziwakami: jacyś dysydency profesory, pisarze, artyści i reżyserzy teatralni, wypuszczeni pod naciskiem Amnesty International więźniowie polityczni. Musiała to być odwaga podobna do tej, o której pisał Camus – odwaga dezertera podczas wojny. System dość umiejętnie wykorzystywał szantaż moralny i manipulował stereotypem odszczepieńca i zdrajcy – każdego emigranta publicznie i głośno piętnowano oraz ogólnie szkalowano. Trzeba było silnej woli, aby wytrzymać całe to piętnowanie i szkalowanie. Emigranci reprezentowali

przeważnie dość upartą i przekonaną co do swoich racji odmianę *homo antisovieticus*. Ich wybór był, bez wątpienia, dosłownie wyborem granicznym – wymagał odmiennego sposobu myślenia i odczuwania.

Typ dzisiejszych ludzi *peemżetu* jest całkowicie inny. Dąży nie ku odmienności, a w stronę typowości. Najczęściej jest tym absolutnym *homo sovieticus*, który nie zdołał odnaleźć się na gruzach pozornie rozwalonego systemu, a efemeryczne i bez tego zagadnienie „ojczyzny” ostatecznie utraciło dla niego sens; kompletnie zdezorientowany, rzucił się tam, gdzie w sklepach wszystkiego więcej. Pozwoliłbym sobie na nazwanie tych ludzi *ludźmi Woolworthu*. Uciekam się do tego określenia całkowicie umownie, zamiast Woolworthu mógłby być jakiś Aldi czy coś innego. Sens pozostaje ten sam: są to ludzie, którzy wyrwali się zza *Granicy* w podświadomej tęsknocie za utraconym tam, za Granicą, socjalizmem. Supermarkety sieci Woolworth są jak najbardziej socjalistycznym modelem wyrównanego dobrobytu – niewielki wybór i niezbyt wysoka jakość proponowanych towarów, ale jednocześnie – i to jest decydujące – niewygórowane ceny i, można powiedzieć, wielce egalitarna oferta.

Socjalizm jest wtedy, gdy dbają o ciebie odgórnie. To system opieki (w slangu ludzi *peemżet* – *sociał*), dzięki któremu można nie najgorzej żyć w nowym miejscu zamieszkania, w takiej nabitej dyskontami błogosławieństwa Germaszce. Przywykłym od pokoleń do deficytu towarów *ludziom peemżetu* faktycznie niczego innego do szczęścia nie trzeba; cel osiągnięty, raj na ziemi zdobyty i – jak przyjęło się w ich środowisku żartować – *żyżń udatasia*.

Przypomina mi się fragment programu jednego z niemieckich kanałów telewizyjnych, który widziałem dziesięć lat temu, podczas pierwszego w życiu wyjazdu za Granicę. W kadrze

widać było, według słów komentatora, *uchodząc z Ukrainy* – młody mężczyzna przed trzydziestką robił rozpaczliwe miny i drżąco-płaczliwym głosem informował, że uciekł stamtąd, gdzie po rozpadzie ZSRR zapanowała totalna katastrofa grożąca wojną domową; wszystko to mówił po rosyjsku, a głos niewidocznego w kadrze tłumacza – z niewiadomych mi przyczyn – znacznie wyolbrzymiał opisywane przez bohatera reportażu apokaliptyczne potworności; w wyobraźni widza musiał powstać najprawdziwszy krajobraz po bitwie z niepochowanymi i rozszarpywanymi przez zdziczałe psy ludzkimi szczątkami na pierwszym planie. Na zakończenie młody człowiek poinformował, że już uczy się niemieckiego i że jest bardzo wdzięczny *niemieckiemu rządowi* itd., bo tam, skąd uciekł – *kein Lebensmittel*. Najwyraźniej było to jedno z pierwszych niemieckich słów, jakich się nauczył – *Lebensmittel*; zdążył powtórzyć je z dziesięć razy. Było to jak zaklęcie (*hier viel Lebensmittel, dort kein Lebensmittel*), najwyższa forma zaklinania – modlitwa, to była *Woolworth*-mantra – no tak, jasne, przecież chodziło o religię, osobliwą religię radzieckich obywateli i o ich naczelne bóstwo, którego imię, na przykład, *Lebensmittel*.

4

Świat można podzielić *umownie* na kraje, z których się ucieka, i na takie, do których się ucieka. Niemcy niewątpliwie należą do tych drugich, co samo w sobie winno napawać ich mieszkańców dumą. Oczywiście niedokładność zaproponowanego przeze mnie podziału jest wręcz rażąca, bo co zrobić z taką na przykład Polską, do której masowo uciekają szukający zarobku ukraińscy czy rumuńscy robotnicy i z której jednocześnie uciekają polscy budowlańcy? Nie, świat nie poddaje się powierzchownym

schematom, nie można wtłoczyć go w ramy tego, co nazwalibyśmy *umownym* – i Bogu dzięki!

Zostawmy jednak w spokoju Polskę z jej zdecydowanym dążeniem do Unii Europejskiej oraz wyższych standardów. Mieszkam w kraju, który *umownie* możemy zaliczyć do pierwszego typu. Stąd się ucieka. I na trochę, i na zawsze.

Ukraińcy emigrują i są wszelkie podstawy ku temu, by sądzić, że jest to emigracja masowa. Nie istnieją żadne oficjalne statystyki, bo w dziewięciu przypadkach na dziesięć emigracja ta jest nielegalna. Zgodnie z nieoficjalną, w samej tylko Portugalii jest około trzystu tysięcy Ukraińców, podobnie w Grecji, a we Włoszech około miliona. Ukraińcy emigrują i poddają się mimikrze – w obliczu groźby kontroli policyjnej, obław i deportacji. Bez względu na wysokie ryzyko trafienia do więzienia, burdelu czy innej niewoli, Ukraińcy i tak emigrują.

Mija już któryś rok, gdy zadaję sobie wciąż te same pytania: co ma robić pisarz w kraju, z którego wszyscy uciekają? Zostać, nie zważając na nic, czy też raczej nie zauważając niczego? A może też uciec, dumnie nazywając tę ucieczkę „wygnaniem”? Która porażka będzie mniejsza? Która z porażek jest zwycięstwem?

Kilka dni temu trafiłem na przekład świeżo opublikowanego w brytyjskim czasopiśmie *The Economist* artykułu – państwo, w którym mieszkam, zostało tam chyba po raz pierwszy w ciągu dziesięcioletniej historii jego niepodległości nazwane żalonym. Nie, niczego nie chcę wyrywać z kontekstu – dziennikarz *The Economist* miał raczej dobre intencje, nie chodziło mu o obrażanie czy wpędzanie w kompleksy; napisał, że Zachód „...chciałby widzieć w Ukrainie mniej obdartego i żalnego sąsiada Unii Europejskiej, po wstąpieniu do tego zachodniego klubu sąsiadujących z Ukrainą państw, takich jak Polska i Węgry”.

Słowo jednak padło: żaloszny. I nic nie mogę na to poradzić. Może jedynie szukać odpowiedniej anegdoty. Oto jedna z nich:

Mój przyjaciel, młodszy ode mnie o jakieś dwanaście lat, mieszka w Pradze. Jest potomkiem ukraińskich petlurowskich emigrantów z 1920 roku, należy więc do trzeciego pokolenia emigracji – nawet jego ojciec, nie mówiąc o nim samym, urodził się w Czechosłowacji. Jak wszyscy potomkowie *emigrantów politycznych*, mój przyjaciel przeżywa dość skomplikowaną ewolucję tożsamości – za kogo ma się uważać? Okazuje się, że wciąż jest to istotne – nawet w dzisiejszym niedoglobalizowanym świecie. Z jednej strony wabią go pokusy asymilacji – by stać się *normalnym Czechem*, wyjść poza granice dziedziczno-rodzinnego getta. Z drugiej zaś – pokusa, by pozostać wiernym temu właśnie dziedzictwu z jego gettem, pokusa zachowania swej ukraińskości. W dodatku mój przyjaciel jest poetą, więc wybór tożsamości nie jest dla niego sprawą całkowicie obojętną: chodzi przecież o język, w którym wyznaje światu miłość.

Mój przyjaciel bardzo lubi dziewczyny (możemy sobie podać ręce) i wyjątkowo często się zakochuje. Prawie każda z jego nowych sympatii pyta przy pierwszym spotkaniu, dlaczego nosi takie dziwne imię. Żadna nie domyśla się, jak bardzo jego imię jest znaczące: właśnie tak nazywał się największy dziewiętnastowieczny ukraiński poeta, uznany przez późniejszych patriotycznych intelektualistów za *duchowego ojca narodu*. Od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych mój przyjaciel przestał swoim nowym sympatiom uczciwie odpowiadać na ich niewinne pytanie. Ma po temu swoje powody.

I dlatego żadna z nowych przyjaciółek mojego praskiego druha nie ma pojęcia o jego ukraińskim pochodzeniu, a niezwykłość jego imienia w ich przeświadczeniu spada na karb egzotyki

i dziwactwa. Pewnego razu dziewczyna, która już od tygodnia wydawała mu się kimś najbliższym na świecie, bardzo spóźniła się na spotkanie. Spóźnienie usprawiedliwiła tym, że ledwie wyszła z domu, kiedy obok niej przejechało auto i ochlapało ją od stóp do głów. Dziewczyna musiała wrócić do domu i się przebrać, bo nie mogła pokazać się ludziom w tak okropnym stanie! „Wyobraź sobie – by wzmocnić efekt, szukała właściwego porównania – byłam brudna jak jakaś Ukrainka!”. Dla mojego obdarowanego wielkim imieniem przyjaciela stało się to osobistą katastrofą. Zaraz potem przestał się z dziewczyną spotykać.

Podoba mi się – pewnie jak milionom innych ludzi – Praga, ta kwintesencja wszystkich możliwych misteriów i chimer, splot tajemnic, miłości, alchemia wielkich i drobnych gestów; jest to zresztą jedno z tych nielicznych na mapie Teatru Świata miejsc, gdzie to, co realne i surrealne, fizyczne i metafizyczne, tworzy jakąś aż nazbyt nierozzerwalną całość.

Okazuje się jednak, że istnieje jeszcze inna Praga. Czasem się na nią natykam, kiedy w nocy wpadam w praskich zakamarkach na jakichś źle ubranych i pijanych ludzi. To Praga Ukraińców, którzy przyjechali na zarobek, miasto, do którego legalnie i nielegalnie ściągnęły dziesiątki (setki?) tysięcy moich rodaków. Miasto, w którym za marne grosze przypada im najcięższa i najbrudniejsza robota. Miasto, w którym piją i konają, śpią w norach i melinach, miasto, w którym przyłapuje się ich na kradzieżach w supermarketach. Miasto, w którym się ich nie lubi, a każdego z nich, jak parszywego psa, może bez trudu sprzątnąć kapo z „mafii pośredniczącej”. To przeważnie podziemne miasto. Gdzieś tam, pod nogami turystów z całego świata, po dziesięć, dwanaście godzin dziennie obywatele Ukrainy czyszczą w piwnicach stuletnie brudy. Wspomniana praska dziewczyna miała rację: wypchnięci poza granice człowieczeństwa naprawdę są

brudni. Nic w tym nowego – oto kolejny napływ proletariuszy, i winić za to można chyba wyłącznie dziki kapitalizm.

Inna rzecz, że dla mnie – jednego z tych, którzy wciąż jeszcze starają się pisać tam, skąd się ucieka – stało się to kolejnym krachem zadawnionej niczym choroba iluzji.

5

Prawo do iluzji najpewniej należy do fundamentalnych praw ludzkich. Obiektywnie – i tu budzi się we mnie domorosły metafizyk – iluzja znajduje się gdzieś w tych sferach, które mieszczą się tuż obok nadziei.

Moja osobista iluzja, niejednokrotnie już rozwiewająca się i poniewierana, ciągle jednak z jakiegoś powodu jest dla mnie aktualna i wiąże się przede wszystkim ze spojrzeniem na zachód, tam, w stronę zmierzchu; ponad Granicę. „Europa – to...” – za każdym razem staram się nazwać zamroczenie, jakie we mnie narasta pod wpływem iluzji – i rzecz jasna, popełniam wciąż te same błędy.

Mija równo dziesięć lat od czasu, gdy po raz pierwszy znalazłem się w swoim „Europa to...”. Tak więc moja iluzja była o dziesięć lat większa i młodsza, wskutek czego same z siebie pisały się linijki, które dziś czytam z mieszanym uczuciem wstydu i zadowolenia. Jak choćby:

„Europejczyka stworzyło dziedzictwo. Przychodzisz na świat w otoczeniu wież i ogrodów liczących wiele stuleci. Nie jesteś w stanie niczym tu zaszkodzić – nawet gdybyś bardzo tego chciał. Choć ta architektura to podpatrzony krajobraz, jej twórcy są nam znani. To zwycięstwo nad *vanitas vanitatum*; owe wyznaczniki stałości i stopniowości znamionują pewne wartości absolutne, do których należy człowiek, jego osobowość, odrębna,

jedyna i niepowtarzalna”*. Oto, jakie hymny i peany na cześć Europy wyśpiewywałem dziesięć lat temu! Czy istnieje dla mnie jakieś usprawiedliwienie?

W pierwszej kolejności zauroczony byłem krajobrazem. Dziesięć lat temu po raz pierwszy w życiu znalazłem się na Zachodzie i w żaden sposób nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jest to zupełnie inna planeta. Sporo o niej czytałem, snułem domysły i marzyłem, pielęgnowałem ją w sobie, całkowicie iluzoryczną, a wszystkie moje iluzje okazały się rzeczywistością – oto w czym przyczyna! Mijał drugi miesiąc naszej ukraińskiej niepodległości, był styczeń i nie było śniegu, *młode państwo* to-nęło w brudzie i mroku, elektryczność wyłączali od szóstej do dziewiątej wieczór, świece i zapalki gwałtownie drożały, pieniądze traciły na wartości w postępie geometryczno-homeryckim i trzeba się było ich jak najszybciej pozbywać, czyli bodaj przepijać, ale na wódkę z jakiegoś powodu wprowadzono talony, ogromnie długie kolejki, chłód nieogrzewanych pomieszczeń, problemy z dostarczaniem wody, no i oczywiście – ten sukinsyn w telewizji miał rację! – *kein Lebensmittel*.

I oto po dwugodzinnym locie ty, prostak i niedojda, lądujesz w świecie, gdzie wszystko jest inne: stara willa, park na zboczach, zwierciadła i żyrandole, secesyjne piece, meble z drewna czereśniowego, nienagannie funkcjonujące mechanizmy, doskonałość zamków i wyłączników, skupiona cisza, gorąca woda, grzane wino i najważniejsze – za oknem widok na Alpy. A dalej – oszałamiająca perspektywa podróży i przygód, swoboda przemieszczania się, koleje, autostrady, górskie przełęcze, tysiącletnie mury, drzewa, wieże – wszystko, co tylko zdoła się

* *Wstęp do geografii*, tłum. Ola Hnatiuk, [w:] *Erz-herz-perz. Eseje*, Warszawa-Izabelin, Tyrsa, „Świat Literacki”, 1996, s. 68.

pomieścić w moim sentymentalnym: „Europa to...”. I jak tu nie przejąć się ideami typu: „Europejczyka stworzyły góry i lasy” i „był winien zdążyć ku dyskretności, różnorodności i formalnej doskonałości”*?

To było jak miłość, powiem na swoje usprawiedliwienie. Ale gdzie tam „jak” – to była miłość!

Tylko kto mi powie, dlaczego dziś, równo dziesięć lat później, kiedy zupełnie przypadkiem znowu dostałem zaproszenie do tego samego parku na zboczu, dlaczego wszystko tak wyblakło, tak poszarzało w moich oczach? Skąd ten idiotyzm pustkowi i gruzowisk przedmieścia? Skąd ta sowietyzacja przestrzeni i psujące się zegarki? Dlaczego Niemcy coraz bardziej i bardziej przypominają Germazkę? Dlaczego w ciągu dziesięciu lat aż tak przesunęły się na wschód? A nawet nie, nie na wschód: przecież tracąc zachodni blichtr, nie nabrały wschodniego ciepła. Wobec tego: gdzie się znalazły? Czy to moja iluzja postarzała się i skurczyła? Czy ukraiński krajobraz przez te dziesięć lat zrobił aż taki postęp, że niemiecki już mnie nie oczarowuje? Nie chce się wierzyć.

Myślę, że w całym tym rozmywaniu i szarzeniu niemalą zasługę odgrywają ludzie Woolworthu. Tak dzieje się zawsze, kiedy w grę wchodzi jedynie branie.

6

Niedawno rozeszła się wieść, że w jednym z kalifornijskich więzień powiesił się ukraiński imigrant Mykoła Sołtys. W sierpniu zeszłego roku ten, o ile pamiętam, trzydziestoletni mężczyzna wywołał przerażenie całej Ameryki – wskutek załamania

* Ibid. s. 67.

nerwowego czy z jakichś tam innych parapsychologicznych powodów zadźgał nożem sześć osób naraz, wszystkie z tej samej imigranckiej społeczności, czyli wyłącznie *swoich*. Co więcej, pośród tej szóstki była również jego ciężarna żona i trzyletni syn. Chyba nawet wszyscy zabici byli jakoś z nim spokrewnieni.

Najsprawniejsza w świecie amerykańska policja przez dziesięć dni nie była w stanie go pojmać – ukraińsko-rosyjska społeczność miasta Sacramento na wszelkie sposoby unikała współpracy, a jej zupełnie zamknięty, wyizolowany charakter w połączeniu z całkowitą nieznamościami angielskiego uniemożliwiał jakiegokolwiek próby ujęcia ściganego poprzez tych, z którymi się kontaktował. Mykołę Sołtysa natychmiast wpisano na listę dziesięciu najniebezpieczniejszych *przestępców świata* (czy też *wrogów Ameryki*, choć właściwie co za różnica?) z samym Osmą bin Ladenem na czele, a jego portret z tradycyjnym WANTED rozwieszono na wszystkich amerykańskich skrzyżowaniach.

W końcu udało się go schwytać – dobrze znani z hollywoodzkich wcieleni superdetektywi mimo wszystko wysłędzili go w domu jego własnej matki. Nie stawiał oporu.

Miesiąc później miała się zacząć rozprawa. Wykręcił się jednak z tego procesu – odbierając sobie życie.

Czego chciał? Czego potrzebował od Ameryki? Świata? Życia?

Dlaczego człowiek porzuca swoją ojczyznę?

Przypadek Sołtysa jest osobliwy, a mój przyjaciel zdecydowanie przesadza, nazywając całą dzisiejszą postradziecką emigrację – czy to w Ameryce, czy w Europie – „emigracją sołtysów”. Przyjaciel jest pisarzem, więc trudno mu odmówić prawa do przesady.

Moje odczucia są zresztą podobne: mentalne niedookreślenie, obcość wobec całego świata, głęboko skrywane trauma-

tyczne doświadczenia. Któregoś dnia do twojej ręki trafia nóż i już nie jesteś w stanie się zatrzymać.

7

Autobus, którym jechałem ze Lwowa do Monachium drugiego listopada 2001 roku, wiózł prawie siedemdziesięciu pasażerów – był wypełniony po brzegi. Autobus, którym wracałem z Monachium do Lwowa trzydziestego stycznia 2002 roku, wiózł siedmiu pasażerów, dokładnie dziesięć razy mniej. Możliwe, że był to przypadek, ale może jednak tendencja. Najprawdopodobniej to drugie: tam się jedzie, ale już nie wraca.

Nikt nie ma prawa zabronić innym dążenia do lepszego życia, nawet pisarz. Emigracja, czyli *wyjazd na peemżet*, bez wątplenia jest poszukiwaniem lepszego życia. Jeśli tak, to dlaczego ci ludzie tak mnie drażnią? Skąd to prawie podświadome pragnienie – nie wpuszczać ich *na peemżet*, tu, do mojego „Europa to...”? Do wszystkich tych parków na zboczach, do arkad i wież, do tysiącletnich drzew i murów, a najważniejsze – do pasm alpejskich na zaokiennym horyzoncie? Przecież wszystko to zaledwie moja subiektywna iluzja, mocno nadszarpnięta i rozwiewająca się nieraz, która tkwi we mnie sama z siebie, bo naprawdę Europa to tylko taki socjalistyczny Woolworth, z którego każdemu wolno brać, nic w zamian nie dając.

Tak, pewnie chodzi właśnie o to – drażni mnie nie to, że oni szukają lepszego życia, ale to, że owo lepsze życie mieści się dla nich w granicach Woolworthu. Drażni mnie to, że od tego świata oczekują tak żałośnie mało: zasiłku. Że od życia chcą tylko używanego audi czy BMW. Że od Niemiec potrzebują Germaszki.

Siedzę wśród nich w autobusie, niczym jakiś absurdalny szpieg, który wbrew woli zmuszony jest przysłuchiwać się ich

rozmowom i budzi podejrzenia już choćby swoją odosobnioną niekomunikatywnością. Jakiś taki nie nasz. Może nasłany przez polskich celników? Interpol? Abwehrę?

Autobus to zjawisko eksterytorialne, zachowują się więc jak w domu. Nie chcę powiedzieć nic złego: wciąż jeszcze są kolektywem, dzielą się więc jedzeniem, wódką, papierosami, oglądają najnowsze rosyjskie filmy sensacyjne, w których dzielni moskiewscy bandyci siekają na ulicach Chicago znieprawionych *ukraińskich nacjonalistów* i *całą tę czarnoskórą hołotę*. Potem znowu jedzą, piją, dzielą się myślami, znowu jedzą, a w końcu zaczynają się wymieniać radami, na przykład jak owinąć wokół palca niemieckich funkcjonariuszy, w ich języku – w miarę zbliżania się do przejścia w Zgorzelcu – coraz częściej słysząc echo pokracznych germanizmów (*wonhajm*, mówią, *ferziszierung*, i, oczywiście, *financamp*), choć od razu można się dowiedzieć, że tak w ogóle to uczyć się *faszystowskiego języka* nie trzeba – *i tak będziemy mieszkać w rosyjskiej dzielnicy*. Potem nastaje czas światopoglądowych uogólnień, jak na przykład o tym, że *Niemcom się tak dobrze wiedzie, bo dobrze pracują; choć z drugiej strony – jakby u nas tak płacili, to też byśmy tak pracowali*. Odkrycia sypią się jedno za drugim – o tym, że *u Niemców to naprawdę mają kulturę* i o tym, że *Niemcy są tępawi i nie mają poczucia humoru*. Co robić – radziecki człowiek zawsze był i nadal jest i ksenofobem, i internacjonalistą jednocześnie.

Teraz pora na dowcipy, w większości dotyczące kobiecego organu płciowego. Nie wydają mi się śmieszne – z pewnością dlatego że i ja jestem tępawy i mam kiepskie poczucie humoru. Nic to, myślę, nic, wytrzymam, jeszcze siedem, osiem godzin i uwolnię się od was na całe trzy miesiące!

(Tu się co prawda myślę: w trakcie całego mojego pobytu będę napotykał te nie wiadomo jak rozpoznawalne twarze i na

każdym kroku będę słyszał tyle rosyjskiego, że ten *faszystowski* naprawdę wyda mi się zbędny).

Wszystko toczy się zgodnie ze swoim porządkiem: bardziej doświadczeni *ludzie peemżet* z poczuciem wyższości wykładają nowicjuszom zasady gry w Germaszkę, przestraszeni emerycy (a ci co, umierać tam jadą?) skłonni są uwierzyć w każdą bzdurę, zafrasowani nielegalni robotnicy (ich szlak wiedzie przez Monachium do Włoch) kolejny raz przeliczają ukryte w najintymniejszych miejscach zielone papierki i od czasu do czasu ranią moje uszy nazwami, które znaczą dla mnie coś zupełnie, zupełnie innego, a nawet diametralnie przeciwnego: Florencja, Rawenna, Neapol...

W końcu zatrzymują nas przed ostatnią granicą. Dalej – prawdziwa Europa, Europa-1, czyli wszystko najlepsze z tego, co ma do zaoferowania – strefa traktatu z Schengen już niemal pozbawiona granic, urzeczywistnione dziwactwo, prawo do swobody przemieszczania się.

Nasze paszporty zbierają Polacy, a oddadzą Niemcy. Wysadzają nas z autobusu i trzymają na *wyznaczonym miejscu* ponad godzinę. Niektórzy emerycy z niepokojem spoglądają w stronę niemieckich funkcjonariuszy – nie tyle na nich samych, co na ich owczarki. Coś to komuś przypomina. Umysł ludzki charakteryzuje zdolność do skojarzeń.

Potem pojawia się wielka ruda policjantka ze stertą naszych paszportów w rękach. Staje przed drzwiami autobusu i nakazuje kierowcy, by wywoływał nas pojedynczo, zgodnie z kolejnością paszportów. Nasze nazwiska pobrmiewają ukraińskim, rosyjskim, a czasem żydowskim pochodzeniem. Do autobusu wchodzimy pojedynczo – posłusznie wołając „ja!” na dźwięk własnego nazwiska i otrzymując z twardych rąk wielkiej i czujnej Brunhildy swoją osobistą przepustkę do świata Woolworthu.

Brama Germańska otwiera się z przeciągłym skrzypieniem,
grają surmy, wypełniony po brzegi autobus rusza.

Jednego tylko nie mogę zrozumieć – co oni potem zrobią
z tymi wszystkimi Niemcami?

2002

Przełożyła Renata Rusnak

WHAT LANGUAGE ARE YOU FROM?

UKRAIŃSKI PISARZ
WŚRÓD POKUS TYMCZASOWOŚCI*

1

Pomysł tego wystąpienia przyszedł mi do głowy w związku z dwiema głównymi tezami, na których spróbuję się oprzeć na tyle konsekwentnie, na ile tylko pozwoli mi mój skrajnie niespójny system poglądów. Zresztą wcale nie *system* i wcale nie *poglądów* – a takie sobie coś, szereg chaotycznych wizji, które właśnie tu i teraz z jakiegoś powodu wydają mi się niepozba-
wione pewnych podstaw. Pozostaje mi przy tym co najwyżej odwołanie się do państwa pobłażliwości. I, jeśli może to posłużyć za pewne usprawiedliwienie, to bardzo proszę pamiętać, że wszystkie moje dalsze rozważania są w taki czy inny sposób zapożyczone, przeważnie podsłuchane. Lubię słuchać rozmów osób znacznie bardziej ode mnie odczytanych i coś z nich dla siebie wyławiać – można dzięki temu oszczędzić na czytaniu i przemyśliwaniu źródeł, to znaczy przede wszystkim na czasie. A czas dla mnie był i wciąż jest jednym z głównych bohaterów istnienia.

* Fragmenty wykładu wygłoszonego na Uniwersytecie Cambridge podczas dorocznej konferencji Brytyjskiego Stowarzyszenia Studiów Sławistycznych i Wschodnioeuropejskich (BASEES) 7 kwietnia 2002 roku.

Tak więc pierwsza z moich tez jest następująca: istnienie języka, a stąd też i języków, jest raczej tymczasowe. Nie warto zbyt długo rozwodzić się tu nad tym, że języki, podobnie jak istoty ludzkie, ich nosiciele, rodzą się i umierają – ze wszystkimi, w jednych przypadkach mocniej, w innych słabiej zarysowanymi, stadiami pośrednimi: narodziny, rozkwit, rozpad i wszystko co za tym idzie. W ostatecznym rozrachunku istnienie języka jako środka – nazwijmy go *środkiem komunikacji* – jest najwyraźniej tak samo tymczasowe, co pozwala jednemu z moich kolegów, ukraińskiemu pisarzowi, już dziś stwierdzać, że istnienie języka jest rudymenarne. Ale ja nie posuwałbym się aż tak daleko; proponuję pozostanie w kręgu problemów związanych nie z językiem jako takim, ale z jego konkretnymi przejawami – językami.

Cóż, zacząłem mówić o ich tymczasowości. Teksty literackie w dowolnym języku rodzą się przede wszystkim jako bunt przeciw tymczasowości. Nawet sami piszący nie zawsze uświadamiają sobie ten wewnętrzny impuls. Ale to jest właśnie tak i tylko tak: każde ze zjawisk twórczości literackiej jest przejawem walki języka o jego własne istnienie, jego – najczęściej rozpaczliwą – samoobroną. Tak więc teksty literackie stanowią dla każdego języka możliwość maksymalnego wydłużenia własnego istnienia. W tym związku pisarze są swego rodzaju narzędziami, poprzez które przemawia rozpacz tymczasowości, ale jeśli taka opinia wydaje się Państwu nazbyt metafizyczna, to nazwijmy ich po prostu wykonawcami lub – lepiej – agentami.

Można by tu długo i w skupieniu dobierać drugą część metafory, opisową – agentami czego? Ktoś nader patetyczny powie, że wieczności. Ale cóż my możemy wiedzieć o wieczności, oprócz tego, że wieje od niej nieludzkim chłodem? Ktoś znacznie bardziej powściągliwy w uczuciach i słowach powie, że są

agentami ciągłości. Ale nie można chyba wyobrazić sobie rozwoju języka i wraz z nim literatury jako jakiejś starannie i elegancko rozciągniętej w czasie konsekwencji. Ktoś jeszcze inny może powiedzieć – agentami trwania. Ale to będzie tylko gorzki żart: o jakiej trwałości może być mowa, gdy materiał budowlany dla całej, za pozwoleniem, budowli jest najbardziej efemeryczny z możliwych – to tylko słowa, słowa, słowa?

Ja nazwałbym pisarzy agentami uniwersalnego pogotowia reanimacyjnego. Ich praca ma w sobie wiele oznak manipulacji, sztuczności, nerwowego zewnętrznego wspomaganie, panicznej walki o każdy wdech i wydech. Dzięki im tylko właściwemu sposobowi realizowania się – wyłącznie przez konkretne słowa konkretnego języka – dają mu oni – czy nie mimowolnie, chciałbym zapytać? – szansę na nieco dłuższe istnienie. A w szczególnej mierze dotyczy to języków, które przez dziesięciolecia, jeśli nie stulecia, balansują między istnieniem a zniknięciem. Jak na przykład język ukraiński.

Druga z moich tez jest następująca: pisarz ma do czynienia z marnością nad marnościami. W niej właśnie musi czuć się jak ryba w wodzie, w tej migotliwej tymczasowej konkretności, w jej – konkretności – koniunkturze. Im więcej uwagi pisarz poświęca tymczasowości, wszystkim jej najdrobniejszym szczegółom, cieniom i aluzjom, ulotnym nieostrościami, subiektywnym olśnieniom, chwiejnym zespołom architektonicznym, ruchomym krajobrazom, cyrkom objazdowym, planom miast, rozkładom jazdy i kartkom pocztowym, pokojom hotelowym, markom papierosów, rodzajom alkoholu, zapachom, smakom i posmakom, jak też tysiącom innych przejawów pamięci czysto fizjologicznej, słowem, im więcej uwagi poświęca pisarz *magdalenkom*, tym większe ma szanse na pokonanie własnych granic w tymczasowości. Właśnie tak –

chodzi tu bowiem nie o wieczność, co do której umówiliśmy się, że lepiej by było, gdyby nie istniała – ale o pokonywanie granic tymczasowości.

W związku z taką jego naturą, a dokładniej mówiąc – zależnością, pisarza można rozpatrywać jako gatunek człowieka chyba najbardziej narażony na pokuszenie. Tym, którzy wykształcili w sobie zdolność wznoszenia się ponad pokusy, pisanie nie jest już potrzebne – milczą (a jeśli piszą, to diabelnie źle), i nie o nich tu mowa. Pisanie jest skoncentrowaną pokusą wszystkiego innego: władzy, poznania, opanowania, seksu, parareeczywistości. To znaczy: wszystkie wymienione i niewymienione demony właśnie w pisaniu koordynują i koncentrują swoje wysiłki. Dlatego pisanie jako takie jest nadpokusą.

Dziś chciałbym głośno porozmyślać nad tym, jak ta nadpokusa przejawia się w wypadku pisarza ukraińskiego, to znaczy takiego, który pisze po ukraińsku. Tak więc spróbuję przede wszystkim powiedzieć coś o pokusie pisania po ukraińsku. Nie tak dawno obchodziła ona dwusetne urodziny – okres z gatunku tych, które przyjęło się nazywać *nikczemnie małymi*.

2

Rok 1798 – rok rozkosznego, dogniwającego baroku i usilnego, postoświeceniowego klasycyzmu, dał przyszej Ukrainie początek literatury pod postacią nieuzgodnionego z autorem, czyli pirackiego, wydania pierwszych trzech części *Eneidy* – utworu ogromnie pomysłowego i zabawnego. Jego radosna natura polega przede wszystkim na połączeniu przeciwieństw, to znaczy na zestawieniu i bardzo dowcipnym pastiszowaniu dwóch odległych światów – heroiczno-antycznego eposu Wergiliusza i komiczno-parodystycznego, ostentacyjnie świeckiego, kozacko-

-żakowskiego wierszowania. Historycy literatury dawno zgodzili się co do trawestacyjnego i burleskowego charakteru tego pierwszego ukraińskiego poematu.

Autorem *Eneidy* był przedstawiciel ówczesnej klasy średniej, prowincjonalny urzędnik i oficer rezerwy Iwan Kotlarewski, typ dostatecznie wyrafinowany, by do woli pokpić sobie ze swojej epoki. Kto zrozumie prawdziwy sens tych kpin, poczuje smak intelektualnego rewanzu. To był śmiech kultury ostatecznie skolonizowanej z kultury imperialnej, z własnego kolonizatora. I z siebie samej też – dzięki czemu odnajdujemy w *Eneidzie* zupełnie wyraźną jak na ówczesny klasycystyczny kontekst etyczną i estetyczną ambiwalencję.

Osoba Kotlarewskiego wymaga nieco więcej uwagi. Dwieście lat temu ten przesadnie wesoły, dwudziestodziewięcioletni wędrowny wychowawca szlacheckich dzieci, znawca kuchni, alkoholu i map nie tylko geograficznych, nieoczekiwanie dla siebie samego został autorem pierwszej na świecie ukraińskiej książki. Dalsze czterdzieści lat życia spędził na wielu ważnych i niespecjalnie ważnych sprawach – usiłował się ożenić, służył w wojsku, walczył z Napoleonem, kończył *Eneidę*, z czasem uwierzywszy, że to poważna gra i nieodwracalna misja; potem stanął na czele teatru, klecił dlań *pierwsze narodowe* wodewile, majstrował rozmaite *ody do księżąt*, zbierał przepisy kulinarne, przez ostatnie dwa dziesięciolecia, po uszy zanurzony w mistykę i zafascynowany symboliką parachrześcijańską, tłumaczył Ewangelię czy raczej różne francuskie *komentarze do Ewangelii*. Jeśli przyjąć, że geniusz to coś pośredniego między nieporozumieniem a przypadkiem, to tutaj właśnie mamy z nim do czynienia – z geniuszem.

Oczywiście można prawdziwego początku literatury szukać gdzie dusza zapagnie. Konstruuując mit o Pierwszej Księdze,

Księżde-Kosmosie, narodowej Księżde Bytu, można przywoływać Welesa i Nestora, Monomacha i Bojana, albo, dajmy na to, Ilariona czy, czemu nie, irlandzkiego mnicha Riangabara, obrońcę średniowiecznego Kijowa przed Mongołami, można przywoływać niezliczone inne słowa, *posłania, treny i opisy podróży*, można przenosić ten początek wciąż dalej i dalej w głąb, do jakichś na przykład sumero-akado-indoaryjskich korzeni i prazródół, można też zresztą samemu bez końca tworzyć dowcipne falsyfikaty – do wszystkiego znajdzie się niezbędna porcja paraleli, podobieństw, olśnień i konstruktów porównawczo-etymologicznych.

Ale mnie podoba się właśnie ten początek, według Kotlarewskiego. Podoba mi się to, że literatura ukraińska zaczęła się jakby żartem – jako czysta zabawa dla kręgu najbliższych przyjaciół i poniedziałkowych gości, którzy zbierali się w połtawskim domu Kotlarewskiego na wyjątkowo wystawnych obiadach (niejedno wyliczenie potraw i napojów – patrz w tejsze *Eneidzie*). Najwyraźniej gdzieś między smakowaniem nalewek, pykaniem cygar a grą w tradycyjnego bostona czy wista było miejsce na głośną lekturę wciąż nowych i nowych fragmentów. *Eneida* powstawała zgodnie z zasadą „to be continued” – od przyjęcia do przyjęcia, od jednej publicznej okazji do następnej. To był projekt rozciągnięty w czasie – Kotlarewski tworzył go w ciągu dwudziestu sześciu długich lat, czyli niewiele krócej niż Goethe swojego *Fausta* – jeśli takie porównanie nie wyda się nazbyt bluźniercze.

Podoba mi się fakt, że autora tej wierszowanej prowokacji lubiano w towarzystwie, że jego wulgaryzmy zapoczątkowały wśród wyższych warstw społecznych wieloletnią modę na wszystko, co ukraińskie, że od możliwych tego świata zawsze dostawał wystarczającą synekurę i dzięki temu nie musiał

pojmować swojej twórczości jako *ofiary*. Podoba mi się niewymuszony charakter jego pisarstwa. Czyli jego wolność.

Podoba mi się poza tym to, że, tak jak na przykład Mozart, Kotłarewski był masonem i należał do loży „Umiłowanie prawdy”, która była z kolei częścią związku „Astrea”. Jego tajne stanowisko w loży nosiło nazwę „słowoplot” – znowu chodziło więc o splatanie słów w jakąś odmienną tkaninę, nadzwyczajną w porównaniu z wszystkimi oficjalnie dotychczas istniejącymi. System tajemnych znaków, wymiana pierścieni, ezoteryczne seanse karciane i wieczory kultowo-taneczne – wszystkie te atrybuty bardzo pasują do jego błyskotliwie powierzchownej duszy. À propos, nie mogę się doczekać szkolnych rozprawek na temat „Literatura ukraińska jako skutek światowego spisku masonów”.

Wreszcie, podoba mi się fakt, że ta literatura zaczęła się od pirackiego bestsellera. Że liczne nakłady *Eneidy* zawsze szybko się rozchodziły – co sprawiło, że autor, gdy dopisywał kolejne części poematu, zwłaszcza rozdział o wędrownicy Eneasza do piekła, naraził petersburskiego wydawcę-pirata na wieczyste męki. Na marginesach historii – przynajmniej tej – znajdują się poza tym dwaj władcy – rosyjski car Aleksander i francuski cesarz Napoleon. Pierwszy obdarował Kotłarewskiego pierścieniem z diamentem, rangą majora i emeryturą. Drugi, opuszczając Moskwę, zabrał ze sobą egzemplarz *Eneidy* – być może jako talizman albo zapisany ezoterycznymi literami święty tekst. Wszystko to nie może nie fascynować: dobrze, że początek literatury pisanej w języku, który do dziś zwykło się uważać za ukraiński, był właśnie taki – wesoły, ironiczny i piracki.

Dwieście lat po zuchwałym wyzwaniu Kotlarewskiego pokusa pisania po ukraińsku pozostaje tak samo słodka. Podziękowanie należy się tu przede wszystkim Imperium Rosyjskiemu we wszystkich jego historycznych wcieleniach, włącznie ze Związkiem Radzieckim. Historia literatury ukraińskiej w granicach tegoż imperium to historia zakazów i ograniczeń. W żadnym razie nie zamierzam przesadzać, ale zaryzykuję stwierdzenie, że jest to historia cenzury i drugiego obiegu. Widmo *ukraińskiego separatyzmu* i *dążeń niepodległościowych* nieuchronnie pojawiało się tam, gdzie atmosfera życia społecznego i bez tego pęczniała od niekończących się podejrzeń i donosów. Zakazy z okólników rosyjskich ministrów policji, współczesnych Maeterlinckowi i Rimbaudowi oddziela od totalitarnych czystek czerwonych czekistów, współczesnych Rollandowi i Gide'owi, w środowisku pisarzy wczesnych lat trzydziestych nie tylko półwieczna warstwa czasu, ale i cała pozaczasowa otchłań wyczerpującego, dramatycznego oporu jednostki wobec systemu. Oczywiście zwyciężał system. W tym sensie, że język, pozbawiony samowystarczalnego, swobodnego istnienia, nie mógł realizować się w autonomicznym wolnym tekście literackim. Czyli, wychodząc z moich dzisiejszych założeń, język nie był w stanie pokonywać granic własnej tymczasowości – cały, bez reszty do niej należał i w niej dbał usilnie jedynie o własne przetrwanie, o nic więcej.

Formą przetrwania języka jest poezja. Ostatni z *wielkich ukraińskich poetów* (zawieram w tym pojęciu bardzo szczególne, tradycyjnie mesjanistyczne konotacje), Wasyl Stus, został zamęczony w kolonii karnej w nie tak znów odległym 1985 roku, w czasach nie tak znów twardego i okrutnego pod względem metod rządzenia sekretarza generalnego Gorbaczowa.

Ale paradoksalnie właśnie dzięki wszystkim tym profilaktycznym działaniom imperium język ukraiński nie zdołał zmęczyć się i zestarzeć. To znaczy dziś, podobnie jak dwieście lat temu, balansując na dziwnie niepewnej granicy między odrodzeniem a zwyrodnieniem, ma wciąż tak samo atrakcyjne dla pisarza cechy: nieukończony proces formowania, niezapełnienie, ambiwalencję, plastyczność, a nade wszystko – omnipotencję, czy – jak mawia mój kolega Taras Prochaśko – *totopotencję*, *wszystkomożność*.

Pozwala mi to przypuszczać, że język ten jest oszałamiająco młody. Najogólniej rzecz biorąc, pozostaje ze wszystkich stron otwarty i jeśli pozwolą mi państwo zdradzić tajemnicę: właśnie pisarze mogą dziś tworzyć to, co będzie za ten język uważane jutro.

4

Inna istotna dla pisarza przewaga języka ukraińskiego, którą zawdzięczamy imperium i kolonialno-postkolonialnemu statusowi, polega na jego ukryciu przed światem. Nie, nie zamknięciu, ale właśnie ukryciu. Co przez to rozumiem?

Przeważająca większość moich kolegów z Zachodu zaczyna od przekonania, że ten język albo w ogóle nie istnieje, albo – w najlepszym razie – jest czymś w rodzaju nieco odmienionej z powodu koniunktury politycznej ostatniego dziesięciolecia wersji języka rosyjskiego. O krok dalej poszła na przykład *Microsoft Encarta Encyclopedia*, z której dowiadujemy się, że „Ukrainian is the official language of Ukraine. It also is spoken in parts of nearby countries, such as Poland and the Czech Republic. It is very similar to Russian. Ukrainian uses the Cyrillic alphabet”.

Wyobrażam sobie, że jestem swobodnym poszukiwaczem informacji z jakiegoś Cambridge, UK, który z nieznanых powodów pragnie za pośrednictwem Microsoftu dowiedzieć się czegoś o *Ukrainian*. Zgodnie z wizją redaktorów tej – co prawda, to prawda – dość wygodnej dla użytkownika encyklopedii, ukraiński jest jedynie *very similar to Russian*. Mój swobodny poszukiwacz informacji nie spoczywa jednak na laurach: klika na *Russian*, by dzięki tej definicji lepiej zrozumieć, czym jest *Ukrainian*. I czyta, że „Russian is the official language of Russia. It also is spoken in a number of nearby countries. Written in the Cyrillic alphabet, which was developed from Greek, Russian is known for its many long words”. Wspaniale, powiada poszukiwacz informacji (czyli – w domyśle – prawdy). Język ukraiński jest bardzo podobny do rosyjskiego. Rosyjski jest znany z tego, że ma wiele długich słów. Ergo – ukraiński też ma wiele długich słów?

Może i tak – nigdy specjalnie nie obliczałem przeciętnej długości ukraińskich słów. Chodzi mi tu o coś innego.

Ukrycie języka ukraińskiego przed światem oznacza pozostawienie go w głębokim cieniu języka rosyjskiego, czegoś znacznie większego, ważniejszego, bardziej znanego i aktywnego, a stąd też ze znacznie większą intensywnością obecnego w światowej świadomości zbiorowej.

Ale dlaczego to ukrycie, czyli niewątpliwa przeszkoda na drodze do światowego poznania i uznania języka ukraińskiego, stanowi dla mnie równocześnie jego przewagę?

Odpowiedziałbym na to pytanie znacznie dokładniej, gdybym posłużył się takimi efemerydami pojęciowymi, jak *potencjał niespodzianki*, *przełom informacyjny* czy *rewolucja kulturalna*. Sytuacja ukrycia może skutkować wzrostem jakości, na przykład literackiej. Ujawni się ona z wybuchową nieuchronnością w chwili,

gdy opuścimy nasz zakamarek. I już całkiem w wersji taoistycznej: świat pozna nas dopiero wtedy, gdy sami do tego dojrzejemy, to znaczy spełnimy się, czyli skończymy, czyli umrzemy.

Ale nie chcę zatrzymywać państwa uwagi na czystych spekulacjach. W rzeczywistości wszystko to zawikłało się w dość bolesny węzeł.

5

Nie tak dawno oglądałem na wideo film zrealizowany przez niemiecką telewizję dla kanału ARTE. Film opowiadał o „jeszcze nieznannej Europie” – zachodnioukraińskim mieście Lwowie, otaczających je pogórzach, karpackich czarownikach, wyznaczonym jeszcze przez cesarsko-królewskich geografów „środku Europy” i innych atrakcjach tego świata, w którym żyję, z którego czasem uciekam i do którego niezmiennie powracam po każdej swojej ucieczce. Film wyszedł całkiem – to właściwe słowo – *sympatyczny* – zapewne tego właśnie trzeba przejeżdżonym kanarami i majorkami turystom z *Europy numer jeden*: dużo architektury, drzew, malowniczych ruin i cmentarzy, zabytkowe tramwaje, zielony kolor nadziei, żywe scenki uliczne, kawiarnie, bazyry. Złapałem się na tym, że gdybym nie mieszkał tu od urodzenia, na pewno zapragnąłbym tu przyjechać.

A jednak było w filmie coś takiego, od czego krzywy uśmiech od czasu do czasu deformował moją ogólnie życzliwą minę, to znaczy była w nim jakaś mina. No jasne, znowu te stare kobiety w chustach! Przepelniały miasto – upór, z jakim kamera wciąż i wciąż wyławiała je z tłumu, mógł zdawać się wprost maniakałny. Stare ukraińskie babuleńki – schludne i bezzębne, ubogo i byle jak odziane, z wyblakłymi oczami, czasem żebrzące, a przede wszystkim – umierające.

Poczułem wewnętrzny bunt, bo dla mnie Lwów jest miastem, które kojarzy się i na pewno zawsze już będzie kojarzyć się z młodością. I jestem pewien, że w żadnym razie starych kobiecych twarzy nie ma w nim więcej niż na przykład młodych kobiecych nóg. Lwów jest ogromnie erotyczny, jest wprost naelektryzowany flirtami, tańcami, spojrzeniami. Jak można było tego nie dostrzec?

Ale w tej samej chwili uspokoiła mnie nie tak znów oryginalna myśl o tym, że każdy z nas w nowym dla siebie kraju widzi przede wszystkim to, co spodziewa się zobaczyć. Gdy po raz pierwszy trafiłem do Ameryki, ujrzałem drapacze chmur. Niemieccy operatorzy, jadąc do nas, wiedzieli, że to biedny kraj z wymierającą ludnością, gdzie stare kobiety a) mają na życie dwadzieścia pięć marek miesięcznie i b) noszą na głowach chustki. Dlatego ich kamery jak zahipnotyzowane obracały się w stronę oczekiwanych widoków.

6

Jednak ogólnie rzecz biorąc, problemy ukraińskiego pisarza w jego stosunkach ze światem biorą się nawet nie z tych częściowych stereotypów. Najczęściej wynikają z tego, że zachodni koledzy – albo i szerzej, tak zwany *ogół czytelników* – niespecjalnie wierzą w samo istnienie jego języka (oto ono, to komfortowe ukrycie w rosyjskim cieniu, wyłazi bokiem!).

W najlepszym razie określą dla siebie ten język jako pewną odmianę rosyjskiego, o czym była już tutaj mowa. Zgodnie z innym, nie mniej rozpowszechnionym wyobrażeniem – jest to sztucznie stworzone i narzucane, zwłaszcza przez ostatnie dziesięciolecie jakiejś takiej państwowej niepodległości, językowe symulakrum, może nawet zdolne do oficjalnego istnienia na

poziomie dokumentów urzędowych. Ale prawdziwa literatura nie może być narzucana – cała jej istota tkwi w swobodnym oddechu i niewymuszeniu, Iwan Kotlarewski świadkiem.

I tu właśnie zaczyna się najbardziej chyba intrygujący dramat współczesnego ukraińskiego pisarza: konieczność udowodnienia całemu światu, a przede wszystkim sobie samemu, że język, w którym pisze, nie jest bynajmniej wymysłem dzisiejszych urzędników ani senną halucynacją teoretycznych separatystów. Przypomina to konieczność nieustannego głośnego powtarzania w bardzo eleganckim, znakomitym i hałaśliwym towarzystwie, które nie wiezieć czemu, wciąż nie chce cię zobaczyć: jestem tu. Przy czym dość trudno dać się usłyszeć tak, by jednocześnie głos nie wpadł w falset.

7

Z tego wszystkiego wynika przynajmniej jeden pocieszający wniosek: prowincja, która pokonuje własne granice, nie może nie kusić. Ukraińska prowincja kusi podwójnie, bo jest prowincją prowincji – tej, którą nazywają ukraińską metropolią. Wiadomo wszak, że najciekawsze rzeczy dzieją się na marginesach, na skrajach i obrzeżach, na dokuczliwych szwach, na ukrainach.

8

Ale z centrów na wszystko patrzy się nieco inaczej.

Przypomina mi się epizod, który zdarzył się podczas jednego z niezliczonych w minionym dziesięcioleciu seminariów – nazwijmy je umownie „Wschód–Zachód”. Seminarium odbywało się w *umownie przejściowej* wschodnio-zachodniej strefie, to znaczy w Wiedniu, i chodziło jak zwykle o pokusę, a dokładniej

o to, jak autorzy z Europy Wschodniej mogą osiągnąć sukces wydawniczy na Zachodzie. Tak więc ze Wschodu zaproszono pisarzy (jak już ustaliliśmy – agentów reanimacji), a z Zachodu – po prostu agentów i menedżerów. Pierwsi z reguły tylko słuchali, a drudzy formułowali zalecenia. Więcej uwagi poświęcić wątkom romansowym, powiadali. I mniej ozdobników – starajcie się zmieścić w stu stronach maszynopisu.

Pewna pani z Francji poradziła wschodnioeuropejskim kolegom, by przede wszystkim zmienili imiona i nazwiska. „Z takimi imionami nawet nie macie co marzyć o zdobyciu popularności – zapewniała. – Nie można ich nawet przeczytać, a co dopiero wymówić. Te nieokrzeseane spółgłoski, absurdalne sz, cz i spółka, te znaki diakrytyczne i tak dalej; wszystko to bez wątpienia zniechęca waszego potencjalnego czytelnika już od samej okładki. Wasze nazwiska powinny być lekkie i łatwe do zapamiętania... jak na przykład Kundera.

Po drugie – ciągnęła pani – wszyscy naprawdę powinniście opanować któryś ze światowych języków, najlepiej francuski, przy czym na tyle, by wszystkie swoje następne utwory pisać w nim właśnie. Zmiana języka peryferyjnego na światowy to jak wyjście z getta w całkiem inną, niewspółmierną z poprzednią przestrzeń. Zgodzicie się, że dzięki temu przed wami staną otworem zupełnie inne, wcześniej niewyobrażalne perspektywy” (tu po raz drugi wspomniała tego samego Kunderę – zupełnie jakby była jego agentką, zresztą pewnie właśnie nią była).

Istnieje jeszcze „po trzecie”, poderwał się z miejsca jeden z autorów, mieszkaniec czy to zlikwidowanego, czy przeciwnie – powstałego w czasie drugiej wojny światowej wschodnioeuropejskiego państwa. Zmiana imienia i języka to stanowczo za mało, by osiągnąć prawdziwy sukces, zdenerwował się nie wiedzieć czemu. Trzeba jeszcze przestać być samym sobą.

Pani z Francji chyba nie zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

Ale w istocie – co? Przestać być samym sobą? To rzeczywiście jedno z rozwiązań. Tylko czy uda się w takim przypadku zachować sens posłania – gdy zauroczony marnością i tymczasowością, z tymczasowych słów jedyne dla ciebie możliwego tymczasowego języka usiłujesz sformułować swój beznadziejny argument o czymś bardziej trwałym?

9

Moje nazwisko jest niezwykle długie i trudne do przeczytania, mało tego, każdy z europejskich języków zapisuje je w inny sposób. Nie władam żadnym ze światowych języków na tyle dobrze, by swobodnie nim operować czy napisać przynajmniej historię miłosną na sto stron maszynopisu. Nie mogę przestać być sobą, nieważne jak bardzo chciałbym być inny – błyskotliwy, lekkomyślny, kosmopolityczny.

Żyję w kraju, który nigdzie mnie od siebie nie puści – wczepił się w poły mojego płaszcza spazmatycznym skurczem, gotów rozedrzeć mnie na strzępy ze swojej wielkiej miłości. Muszę odpowiadać wzajemnością – kochać to szczególne wódczane ciepło, to widmowe światło, tych ludzi, którzy nie chcą wierzyć ani jednemu z moich słów, i tych, którzy w nosie mają wszystkie moje słowa, być świadkiem, jak słowa w ogóle przestają cokolwiek znaczyć, zanurzać się coraz głębiej w pesymizmie, kochać ten stan śpiączki, to wrażenie nieprzebytego trzęsawiska, kochać swoje ostatnie terytorium, na którym póki co nie dają się upolować. Tak więc póki on, mój kraj rodzinny, nie wpił mi się triumfalnie w gardło, tak czy inaczej jestem skazany na wypowiedzanie moich tymczasowych słów. Cała ta miłość, szczerze

mówiąc, to forma nienawiści. A nienawiść – to forma miłości. Ale u nas nikogo to nie dziwi: to sprawy od siebie nieodległe.

Kryję się w języku jak w azylu politycznym. Niezbyt przypomina on wieżę, a jeszcze mniej – z kości słoniowej, to raczej niedokończony, chwiejny szalas, więc nie będzie mnie chronić, a przeciwnie. Wszystko, czego mogę użyć w jego obronie, to jego własne środki, a moje zadanie polega na odszukiwaniu ich w nim samym i przedłużaniu po odrobinie ich przyszłości. Sądzę, że mając siebie nawzajem, jeszcze trochę pożyjemy.

Pozostaje mi zostać sobą i myśleć o tym, by pisać dobrze. To nie ma żadnego uzasadnienia – jakaś tam wieczność i tak pewnie nic nie zauważy. Chodzi, jak zawsze i wszędzie, o jedno i to samo: o adekwatność twoich wysiłków do twoich pokus.

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

CZĘŚĆ III

NIECO DALEJ NIŻ
POZWAŁA JĘZYK

Szczerze mówiąc, z biegiem lat większą przyjemność sprawia mi nie czytanie, a słuchanie. Zapewne z czasem moje oczy stają się coraz bardziej zmęczone, a uszy – coraz wrażliwsze. Nie wykluczone też, że książki nie przynoszą mi już niespodzianek, a muzyka owszem. Dlatego jeśli mam wybór, zachodzę raczej nie do księgarni, ale do sklepu z płytami kompaktowymi. I kiedy na Friedrichstrasse kolejny raz ulegam pokusom ciągnącym mnie do Dussmanna, to wcale nie znajdziecie mnie koło półek z książkami. Czasem mawiam nawet, że tak naprawdę od dziecka chciałem być muzykiem, ale ponieważ nie nauczyłem się w końcu gry na żadnym instrumencie poza językiem, musiałem zostać pisarzem.

Rzecz jasna nie zawsze tak było – już choćby dlatego że nie zawsze byłem pisarzem. Jak każdemu z nas mnie także swego czasu wpadały w ręce książki, które dosłownie połykałem. Albo takie, które budziły we mnie przyspieszony puls i temu podobne, z erekcją włącznie. Kiedy miałem chyba dwanaście lat, ukradkiem przyniosłem do domu ukradkiem pożyczony z rodzinnej biblioteki mojego przyjaciela *Dekameron* Boccaccia. Było to grube, ilustrowane tomisko – o takich książkach mówi się zazwyczaj, że są „pięknie wydane”. Epitet „piękny” jest tu właściwy jak rzadko kiedy – jeśli wziąć pod uwagę przedstawione na

ilustracjach w tej książce kobiety. Ukradkiem – po raz trzeci użyję tego słowa – czytałem ją w czasie wakacji i oblewałem się potem od upału. Pod koniec sierpnia wyjechałem dokądś na kilka dni, a gdy wróciłem, okazało się, że zostałem zdemaskowany. Zdawało mi się, że znalazłem dla Boccaccia idealną kryjówkę: w wersalce, w skrzyni na pościel, tam, gdzie latami gromadziły się wszelkie rupiecie, w tym stosy starych fotografii. Nie mogłem przewidzieć, że pod koniec sierpnia (zmiana pór roku?) mój ojciec, nie wiedząc czemu, zapragnie te rupiecie uporządkować. Czuję się tak, jakby przyłapał mnie na masturbacji. Choć przecież *Dekameron* należy niewątpliwie do *szczytowych osiągnięć literatury światowej*, co poświadczała już jego okładka. Zatem mój ojciec w zasadzie powinien był cieszyć się z syna, który czyta tak *szczytową* literaturę. Ale cała istota mojego grzechu polegała na chowaniu, to znaczy, ściślej mówiąc, ukrywaniu – i nie tyle samej książki, ile własnego dojrzewania.

Dekameron Boccaccia pojawia się raz w *Przygodach dobrego wojaka Szwejka* – tam, gdzie wiecznie pijany feldkurat Otto Katz żąda, by Szwejk, jego ordynans, podał mu do łóżka Biblię. Szwejk podsuwa mu pierwszy lepszy okazały tom i zaspokojony feldkurat zasypia z *Dekameronem* w rękach. Obaj z ojcem uwielbialiśmy Szwejka – każdy z nas przeczytał go ze trzydzięści razy i nasze dialogi z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych przypominały ping-ponga na cytaty. „Szybko skończyć gotowanie i marsz na Sokal!” – mówił do mnie ojciec. „Panie, macie rację, ale jestem pijany w sztok” – odpowiadałem. I obaj zanosiliśmy się od śmiechu – a tam, wprost zrywaliśmy boki. Byliśmy z ojcem wielkimi przyjaciółmi, bo podobały nam się te same książki.

Teraz mam tyle lat, ile miał mój ojciec, kiedy obaj dzień i noc nie robiliśmy nic oprócz cytowania Szwejka. Ale właściwie nie

o tym chciałem mówić. Jakąś godzinę temu zaszedłem do kolejnej biblioteki kolejnych nowych znajomych (te regały, te półki z niezliczonymi cieńszymi i grubszymi grzbietami są niezbędną cechą tego, co nieoficjalnie nazywa się berlińskim mieszkaniem) i wśród setek tomów od razu znalazłem powieść, którą nazywam „najważniejszą książką całego mojego życia” (czasem naprawdę tak ją nazywam). Nie wiedziałem, że po niemiecku nosi ona tytuł *Schau heimwärts, Engel!*. Napisał ją Amerykanin Thomas Wolfe, po raz pierwszy przeczytałem ją, gdy miałem chyba szesnaście lat, i od tamtej pory zawsze mam ją pod ręką. Nie do końca umiem wyjaśnić dlaczego. Może właśnie ta książka ukształtowała moje postrzeganie świata. Chociaż nikt z nas tak naprawdę nie wie, co to takiego. Postrzeganie świata? Rozumienie świata? Przeżywanie świata?

Ale w tamtych dniach, kiedy mój ojciec umierał w szpitalu, a ja siedziałem u niego w domu przy telefonie, wiedząc, że to już koniec i nikt nikogo nie uratuje, jedyne, co mi pozostawało – to trzynasty raz czytać fragmenty tej dziwnej powieści Thomasa Wolfe’a. Takie rzeczy dzieją się z nami zupełnie instynktownie – to jak wyciąganie ręki po coś ukrytego w mroku.

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Niemieckiego zaczęto nas uczyć wcześniej niż rosyjskiego. To znaczy rosyjski jako *język kontaktów między narodami ZSRR* zaczynał się od drugiej klasy, a niemiecki mieliśmy już od pierwszej. Co prawda przez ten początkowy rok nie uczono nas ani czytać, ani pisać – chodziło wyłącznie o wymowę, i to nawet nie tyle słów, ile konkretnych dźwięków. Pamiętam, jak nasza nauczycielka zmuszała nas po pięćdziesiąt razy z rzędu do ćwiczenia jakiegoś tam „ich” (wargi rozciągają się prawie jak w uśmiechu, czubek języka sięga w stronę dolnej wargi, ale nie może jej dotknąć) albo, powiedzmy, „glüchen”, albo „blüchen”. Ano tak, z umlautami było najgorzej. Kiedy ma się siedem lat, nie do końca można zrozumieć, po co ktoś wymyśla takie tortury fonetyczne. Może tak naprawdę nie jest to wynalazek Niemców, tylko naszej pani? Może taki język w ogóle nie istnieje? I w rzeczywistości chodzi tylko o gimnastykę naszych warg, języka i podniebienia? Ale dlaczego w takim razie pani tak często zmusza nas, byśmy powtarzali „Göthe, Göthe, Göthe”? Chórem i pojedynczo, dzień w dzień jedno i to samo – „Göthe, Göthe, Göthe”.

O tym, jaką rolę pełnił on w tej grze, dowiedzieliśmy się nieco później, kiedy zaczęliśmy zgłębiać tajniki niemieckiego pisma i ze wszystkich stron otoczyły nas jego portrety. Jeden i ten sam starusieńki dziadunio, udekorowany gwiazdą orderu na

piersi, z przenikliwą uszczypliwością spoglądał na nas ze ścian sali od niemieckiego, ze stron podręczników i okładek zeszytów. To musi być jakiś bardzo ważny Niemiec, skoro wszędzie go tak pełno, domyślaliśmy się. Niewiele później przyszło nam się uczyć na pamięć jego *Heidenröslein*, a z umieszczonej obok tego wiersza krótkiej, półstronicowej biografii (do dziś nie wiem, jak autorom podręcznika udało się tak ją skondensować!) wynikało, że dziełem życia owego Göthe jest tragedia *Faust*.

* * *

Pod koniec lata zaczynał się czas zielników. W rzeczywistości powinniśmy byli zbierać liście przez całe wakacje, tak by we wrześniu wyglądały na dostatecznie wysuszone. To była letnia praca domowa z botaniki. Jednak, jak wszyscy normalni uczniowie, odkładałem to zadanie na ostatnie dni sierpnia. Niewykluczone, że przypadało to zawsze na jego, Goethego, urodziny – mój ojciec leśnik wytrząsał wtedy na stół przede mną pełną torbę rozmaitej wonnej zieleni. To było jak zły botaniczny żart: zasypać mnie po uszy tymi nieprzeliczonymi liśćmi, z którymi tak czy siak nie zdążę dać już sobie rady. Być może w taki sposób żartował sobie ze mnie sam Erlkönig, o którym na próbach chłopięcego chóru śpiewałem groźną balladę. W tej sytuacji także obecność ojca-wybawcy byłaby całkiem nieprzypadkowa: „Mein Sohn, was birgst du so bang dein Gesicht?”

Mój ojciec był pierwszym na świecie człowiekiem, który pokazał mi miłorząb. To był dla mnie wstrząs – wyobrazić sobie, że drzewo może pamiętać dinozaury i że pochodzi z Chin. Ale przede wszystkim to słowo, słowo samo w sobie – *ginkgo*! Kilkanaście lat później znaleźliśmy z pewną dziewczyną takie samo drzewo we Lwowie, na zaniedbanej działce za ogrodem

botanicznym, dokładnie rzecz biorąc, gdzieś na granicy z nieogrodem, to znaczy lasem. Potem zawsze spotykaliśmy się pod tym właśnie drzewem – aż do ostatecznego rozstania. Na Wetera się nie nadawałem, ale po kolejnych dziesięciu latach, nie wiedzieć czemu, napisało mi się kilka wierszy o „drzewie, pod które ona już nie przychodzi” i o „gałązce zapomnianego miłośrębu”. Sens tego wszystkiego ujawnił się dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy któryś z niemieckich przyjaciół, przeczytawszy te wiersze w przekładzie, pochwalił mnie za reminiscencję z Goethego. Udałem, że rozumiem, co ma na myśli, po czym dwa razy przeczytałem *Fausta* – w ukraińskim przekładzie Mykoły Łukasza i rosyjskim Borysa Pasternaka, ale żadnej reminiscencji nie zlokalizowałem. Wtedy właśnie przyszła kartka od serbołużyckiej poetki Róży Domascyny (jedyna w swoim rodzaju!) – z rozdwojonym jasnozielonym liściem na wierzchu i dwunastoma wersami Goethego na odwrocie. W tamtej chwili zdało mi się, że on mnie obserwuje, nie bez sceptycznego uśmiechu na wąskich, rasowych wargach. Ze wstydem odwróciłem wzrok od jego przenikliwie uszczypliwego spojrzenia.

Nie, nie zamierzam mieszać go w moje własne życie i zrzucać nań odpowiedzialności za moje braki. Chodzi mi o to, że poezja raz wypuszczona przez kogoś z poetów w ten świat, nigdy już z niego nie znika. To tylko my nie zawsze umiemy ją rozpoznać, ponieważ raz wypowiedziana, przestaje być tylko słowami, a realizuje się w przedmiotach, gestach, sytuacjach i tak zwanych zbiegach okoliczności. To jak opisane przez tego samego Goethego metamorfozy roślin: wzrastanie, rozrastanie się, przerastanie.

Chodzi mi o to, że w nas wszystkich pobrzmiwa echo poezji, choć zazwyczaj nie mamy o tym pojęcia. Wystarczy tylko wyobrazić sobie tę dziwną radziecką szkołę pod koniec odwilży

i lat sześćdziesiątych, tych siedmioletnich małych Ukraińców, to krańcowe natężenie ich mimiki („róbcie tak, jakbyście chcieli wypuszczać z ust kółka dymu” – nie całkiem sensownie radzi nauczycielka) i wargi składające się tak, by wychodziło z nich właśnie to, czego się oczekuje – niesłowiański dziwny dźwięk w środku wielkiego obcego nazwiska: „Göthe, Göthe, Göthe...”.

2004

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Kraj, w którym pisane mi było przyjść na świat, ma wszelkie podstawy do tego, by uważać się za poezjocentryczny. Tak się historycznie złożyło, że poezja stanowiła jedną z niewielu szans narodowego, czy przynajmniej językowego przetrwania, zwłaszcza w katastrofalnym dla Ukrainy XIX wieku. W istocie wiek ten stał się wiekiem poetów, dokładniej jednego Poety (samego *Ojca Narodu*), w ślad za którym ruszyła cała armia kontynuatorów. Słowa „armia” używam tu nieprzypadkowo. Mniej więcej wtedy właśnie, to znaczy od drugiej połowy XIX wieku, poeta i poezja w ukraińskiej tradycji zyskują szczególne znaczenie społeczne, pisanie wierszy bywa porównywane do walki o wolność, słowo – do broni, to, co indywidualne i intymne, zostaje zepchnięte gdzieś na ostatni plan, zgodnie z wymogami dyscypliny wojskowej. Poeta postrzegany jest już nie tylko jako rzecznik, ale jako narodowy Mesjasz, poezja natomiast – jako najświętsza misja obywatelska. Zauważę na marginesie, że pod tym względem w żadnym razie nie należymy do wyjątków. Zwłaszcza w tej części świata, która później zyska nazwę Europy Wschodniej.

Zgodnie z ogólną logiką schemat ten powinien być zachować aktualność przynajmniej do sierpnia 1991 roku, to znaczy do chwili uzyskania przez Ukrainę państwowości. W rzeczywistości zaś przestał być aktualny znacznie wcześniej. W którym mniej

więcej roku? Być może w 1933, kiedy setki ukraińskich poetów, mieszkańców stołecznego Charkowa, *nie zauważyło* spuchniętych z głodu, umierających na bruku ulic czy w parkowych krzakach chłopów? Czy może w 1985, kiedy ostatni z ukraińskich *wielkich poetów*, nominowany do Nagrody Nobla Wasyl Stus, zmarł w radzieckim obozie karnym na Uralu? Podobnych hipotez można zaproponować mnóstwo – każda znacząca data ukraińskiej historii ostatnich dziesięcioleci ma szansę okazać się dziś takim „przewrotem kopernikańskim”.

Ale co to ma wspólnego ze mną?

* * *

Miałem chyba szesnaście lat, kiedy nieoczekiwanie zrozumiałem, że chcę zapisywać swoje stany wewnętrzne w inny niż zwyczajna mowa sposób, czyli językiem poezji. Teraz trudno mi w całej pełni zrekonstruować efekt tego starannie ukrywanego osobistego olśnienia. Jednak po dziś dzień pamiętam, że wypełniała mnie przede wszystkim radość – było tak, jakbym po prostu odnalazł siebie. Poza tym swoboda zapierała dech w piersiach – mogłem pisać *wszystko*, bo i tak nie zamierzałem tego nie tylko publikować, ani nawet pokazywać komukolwiek na świecie. Pisałem w małym notesie schowanym w bezpiecznym miejscu, więc było tak, jakbym zdobył drugie życie – tajemne i najważniejsze. Poezja stała się dla mnie zamkniętym przed innymi schronieniem, w którym toczyło się to najważniejsze, tajemne życie. Rosyjskie słowo „ubieżyyszczę” jest tu jak rzadko kiedy adekwatne – właśnie tak, od „uciekać”, to była najprawdziwsza ucieczka – na wolność. Ukraińskie słowo „schowok” też w jakimś stopniu pasuje, zwłaszcza w sensie owej swobody zmaterjalizowanej w *schowanym* notesie.

Od momentu tego wspaniałego odkrycia (dodam, że miało ono miejsce w lecie, w środku upalnego dnia na nadmorskiej plaży, nie obeszło się i bez dziewczyny) minęły ze dwa albo i trzy lata, zanim po raz pierwszy przeczytałem niektóre ze swoich wierszy komuś innemu, to znaczy na głos. Głos zresztą nie chciał mnie słuchać, drżał, a dłonie wilgotniały. Cnota została utracona. Takie otwarcie na zewnątrz w tym przypadku oznaczało wewnętrzną zgodę na wszystkie dalsze, znacznie poważniejsze skutki – na publikacje i nakłady, czyli mnożenie i zwielokrotnianie, na to, by ukryte stawało się jawne. Dlatego właśnie uważam, że cnota została utracona właśnie wtedy.

Dzięki temu pojawiła się jednak pewność, że *mi to wychodzi*. Że *to* działa na innych. Że *to* im się nie tylko podoba – ale też trąca w nich jakąś głębszą, ukrytą strunę, jakieś ich *schowki*.

Jedna z najpiękniejszych przygód mojego życia nosi nazwę Bu-Ba-Bu, albo też burleska-bałagan-bufonada. Było nas trzech, byliśmy wędrownymi poetami, którzy czytali wiersze na jarmarkach i rynkach. Zaczęło się to w 1985 roku, a skończyło gdzieś pewnie w 1995, wraz z wydaniem wspólnego tomu wybranych tekstów. Będziemy więc uważać, że trwało to równo dekadę. W rzeczywistości występowaliśmy w teatrach i klubach, w większych i mniejszych salach, czasem przychodziło nas słuchać dwanaście osób, a czasem osiemset-dziewięćset. W tym drugim przypadku wykorzystywaliśmy fajerwerki i efekty pirotechniczne, a także muzykę rockową, orkiestry symfoniczne i trupy baletowe. Nie, to nie było *zbiorowe* pisanie wierszy: chodziło tylko o to, że tworzyliśmy z nich pewien wspólny performance, budowaliśmy określoną sceniczną całość. Na początku tej *epoki bubabizmu*, to znaczy w latach osiemdziesiątych, trudno było jeszcze publikować takie wiersze z powodu konserwatywności wydawców oraz cenzury, ale już można było je publicznie

odczytywać – postanowiliśmy więc skorzystać z tej podpowiedzi od rzeczywistości i zaczęliśmy pracować nad głosami, tembami, intonacjami i dykcjami. Ale co znaczy „pracować”? Nie, w rzeczywistości każdy z nas zaczął po swojemu dopasowywać swoje wiersze do takiego stanu, w jakim naprawdę chciałoby się ich słuchać. Wiersze miały *brzmieć*. To miała być poezja *słuchana*, chodziło przede wszystkim o to, żeby nikomu nie pozwolić zasnąć. Zasadniczo często się to zdarza – ludzie przychodzą na wieczór literacki i po kwadransie siedzenia w wygodnym fotelu zaczynają przysypiać. Chcieliśmy nie dać im takiej szansy.

Moja ówczesna *koncepcja wiersza* (nigdy racjonalnie nie sformułowana, ale dość konsekwentnie realizowana, zapewne dzięki intuicji) zakładała fonetyczną efektywność, rockandrollową ostrość struktury rytmicznej, bogactwo, dokładność i – co najważniejsze – nowość i niespodziewaność rymu, drastyczną i rzadko używaną leksykę, w której archaizmy sąsiadowałyby ze slangiem, a euforyczny patos z krańcową obscenicznością. Tak oto postrzegałem wówczas ten *związek wszystkiego ze wszystkim*, który, jak powiadają, powinna ukazywać poezja. To miał być ON, karnawał wcielony wyłącznie w dźwięki słów i ludzki głos – jeśli w ogóle coś takiego można sobie wyobrazić. Lub, powiedzmy, inne porównanie: wiersz jako numer cyrkowy (pewnego razu nawet czytałem w cyrku – trochę sam, a trochę z muzykami grupy *Mertwyj piweń*). To porównanie – z numerem cyrkowym – szczególnie przypadło mi do gustu przez swój maksymalizm: dokładność poety ma dorównywać dokładności linskoczką (no, albo akrobaty na trapezie), dla którego mikronowa pomyłka w jedynym właściwym algorytmie wykonania numeru oznacza upadek i śmierć. Tak samo poeta – musi umieć dobrać w wierszu jedyne możliwe słowa, intonacje, struktury rytmiczne. Wiele lat później odnalazłem coś podobnego u Lawrence’a

Ferlinghettiego w jego *Constantly Risking Absurdity*, ale sędzę, że żaden z nas nie był ani pierwszy, ani ostatni.

Wszystko to nie mogło nie zrodzić kultu języka. Żyłem z nim jak z kochanką. Tak przynajmniej mówią świadkowie tamtych czasów – że to był erotyzm, prawdziwy erotyzm z okresową zmianą pozycji, w trakcie którego instrument i grający na nim wykonawca najczęściej jak to możliwe zamieniają się miejscami i rolami. Nazywało się to: traktować język jak najdoskonalszy instrument. A równocześnie samemu być najdoskonalszym instrumentem języka.

To nie mogło trwać długo. Pisałem już, że koniec tej *epoki* można dostrzec gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych. W ciągu tej drugiej pięciolatki nie napisałem już żadnego wiersza. W grudniu 1990 roku skończyłem ostatni wers ostatniego cyklu *Indie* i zrozumiałem, że mój żart (pozostawanie poetą po trzydziestce jest co najmniej zabawne) sam sobie ze mnie zażartował. Poezja opuściła mnie raz na zawsze, osiągnąłem techniczną doskonałość, mogę wszystko, ale nie chcę udawać, że wiersze nadal mi się piszą, w ogóle nie chcę niczego udawać. Zanurkowałem więc z głową w ocean innej wolności, której imię brzmiało naonczas *proza*.

* * *

Trzeba było przeżyć całe kolejne życie, wplątać się w permanentne podróże, zobaczyć wreszcie świat po tamtej stronie żelaznej kurtyny, poznać jego pokusy, polubić tuzin jego krajów, tuzin miast, kobiet, mężczyzn, wygrzebać się z kilku kompletnie wyniszczających kryzysów i katastrof, wpaść w kilka nowych, trzeba było porzucić myśl, że wiem, jaka powinna być poezja i co to w ogóle takiego, trzeba było się zmieniać, stawać innym, nie

tracąc poprzedniego siebie. Aż do chwili, gdy pewnego dnia *to* nie zaczęło ze mnie wylazić. Opierałem się do ostatka, wierny znanej maksymie (chyba Rilkego) – by nie pisać tak długo, jak tylko da się nie pisać. Tego dnia, gdy na monitorze mojego komputera po raz pierwszy pojawił się wers „Znów, kurwa, radio, telewizja, prasa”, padł ostatni szaniec oporu.

I tak oto po dziewięciu latach przerwy zacząłem pisać coś, co nosi tytuł *Piosenki dla martwego koguta* – chaotyczne i przeważnie *niedbałe* monologi człowieka, który przeskoczył w drugą połowę życia ze wszelkimi skutkami tego, że jest to właśnie *druga* połowa. Ale to tylko powierzchnia treści – wierszy nie da się wszak opowiedzieć, nawet jeśli w nich samych są niby zawarte jakieś historie. Nie, moje zdziwienie dotyczy czegoś innego – odnalezionej radości pisania.

Nie wiedziałem, że poezja – to taka lekkość. Że jej język może być tak ubogi – a im uboższy, tym lepiej. Że wiersz wolny – to właśnie *wolny* wiersz, że chodzi w nim wcale nie o formę, choć i o nią nie może nie chodzić.

Poezja to gestykulacja, wymachiwanie rękami, wzruszanie ramionami i wytężanie języka. Poezja to skutek jego niewystarczalności, skończoności i ograniczeń, poezja to środek umożliwiający pójście krok dalej, niż język może nas zaprowadzić.

Ale w żadnym razie nie ufajcie moim definicjom do końca. Istota poezji polega na tym, że pozostaje ona poza definicjami.

Po prostu tak bywa: pewnego razu nadchodzi potrzeba jasności i wyrazistości i człowiek znajduje w sobie samym kolejną możliwość przetrwania (no tak, ja znowu o tym) i nowej kontynuacji.

Dziś bardzo trudno w to uwierzyć, ale pół życia temu pisarz Hermann Hesse, czy może Harry Haller, czyli Hans Giebers, czyli Hermann Heilner, a dokładniej – po prostu H.H. był moim ulubionym pisarzem. Zamykam oczy, odliczam do, powiedzmy, dwudziestu dwóch – i oto pewien zakręcony student trafia do księgarni-antykwiariatu w mieście Lwowie, gdzie spośród wielu pożądaných i w istocie nieosiągalnych okładek szczególnie wabi go jedna z nielicznych ukraińskojęzycznych pozycji – powieść zatytułowana *Gra szklanych paciorków*, wydana w serii „Perły literatury światowej” i wystawiona do tak zwanej wolnej wymiany.

Była to szczególna forma obrotu produkcją drukowaną wymyślona przez ówczesnych organizatorów handlu książkami w związku z nieustającym deficytem dobrych książek (albo, jak je wtedy nazywano, *książek szczególnie poszukiwanych*). Dzięki temu za pośrednictwem mądrych bukinistów zawsze można było wymienić (przeważnie za dopłatą) jakiś rosyjski *Poradnik pszczelarza* na przygody komisarza Maigreta, a pamiętniki marszałka Żukowa, czy może nawet Koniewa – na enerdowski album z reprodukcjami Piero della Franceski.

Z *Grą szklanych paciorków* miałem fart – interes się udał, uczeni bukiniści przyjęli mój ekwiwalent, co okazało się całkowicie

wystarczające do pełni szczęścia. Był to jeden z tych przypadków, gdy przesuwanie się po księdze w głąb jej grubości powoduje zarówno ogromną radość, jak i dość wyraźny żal. Ten drugi – ponieważ zostaje coraz mniej nieprzeczytanych kartek i niebawem wszystko będzie musiało się skończyć. Wcześniej zdążyłem już wejść w skórę *Wilka stepowego*, a nawet spędzić wieczór nad nielegalnym maszynopisem *Siddharty* przetłumaczonej przez nieznanego rzemieślnika gdzieś pod koniec lat dwudziestych. À propos przekładów: ukraińska *Gra szklanych paciorków* zyskiwała magiczny wręcz blask również dzięki temu, że tłumaczem był sam Jewhen Popowycz, a wierszowane dzieła Mistrza Gry Josefa Knechta przełożyła sama Lina Kostenko. Była tam jeszcze przedmowa Zatonskiego i komentarze Awerincewa – i wszystko niezwykle wysokiej klasy. Wszystko ze wszystkim szczęśliwie się łączyło i współlistniało, mój bezcenny H.H. zdawał mi się jednym z najświętszych tekstów.

Niewątpliwie był to kult. Odważyć się zaryzykować stwierdzenie, że gdyby Hermann Hesse nie istniał w rzeczywistości, musiałbym go wymyślić. Ale na szczęście nie trzeba było – naprawdę istniał. Ktoś, kto połączył w sobie ogromnie ważne dla mnie światy.

Była to przede wszystkim jego, Hessego, *południowo-niemieckość* – szczególna skłonność krajobrazu duchowego do gór, winnic, kamienistych ścieżek, miododajnych lip i romańskogotyckich wież. To nie militarно-pruskie, ale inne Niemcy – te, które romantycznie patrzą na Południe i wierzą w Italię. W zasadzie to już nawet trochę są Włochy, bo ta kraina leży w paśmie przenikania się wpływów germańskich i romańskich, jest bardzo alpejska, a równocześnie bardzo winniczna. Jest to właśnie terytorium, gdzie wówczas znajdowała się *moja Europa*. Kiedy dziesięć lat później byłem tam po raz pierwszy, przyszło mi do

głowy, że wszystko, czego sobie życzymy, o czym myślimy i czego się spodziewamy, z pewnością nam się przydarzy. Niestety zawsze z opóźnieniem – w którymś z następnych wcieleń.

Nie obeszło się tu bez romantyzmu – i to jest „po drugie”. Powiedzieć, że Hermann Hesse jest kontynuatorem niemieckich romantyków, to za mało i zbyt ospale. Czasem chciałoby się powiedzieć więcej: Hermann Hesse to rzucony do epoki felietonu Jean Paul, Brentano, Chamisso, Novalis, to moje osobiste Ho – E.T.A. Hoffmann, obdarowany możliwością słuchania muzyki z płyt gramofonowych.

Tak więc po trzecie (ale i po pierwsze) muzyka: chorały gregoriańskie, ricercary na violę i lutnię, tokaty i fugi, barokowe concerti grossi – całe to na poły zetłałe, na poły archiwalne bogactwo, skomponowane w większości przez anonimowych mniichów i wciąż na nowo słuchane przy akompaniamencie szmeru winylu i taniego wytrawnego rkaciteli, przepraszam, reńskiego rieslinga. Miło było znaleźć raz w jego tekście, że ostatnia na świecie muzyka warta słuchania to Beethoven, a wszystko, co późniejsze, wydaje się zwyczajnie zbędne.

Chociaż nie, później był jazz. Jeden z jego alter ego, ów Harry Haller, już gdzieś na progu starości – nie bez wpływu podejrzanego i wiecznie upalonego saksofonisty – odkrył dla siebie jazz, a potem także niektóre inne rozkosze przebudzonego ciała i rozszerzonej świadomości. To z kolei pozwoliło mu (Hessemu? Hallerowi? mnie?) zajrzeć poza granice iluzji zwanej rzeczywistością materialną, do wnętrza teatru magicznego – i okazało się, iż jest tam tak dobrze, że pojmowanie prawdziwej prozy jako nieograniczonej i halucynacyjnej wolności słowa pozostało do dziś. I to jest po czwarte, ale rzecz jasna nie po ostatnie.

Przecież oprócz eksperymentów ze świadomością, duszą, psychologią i psychiatrią, oprócz zanurzenia w archetypy

i próby snów było jeszcze długie pielgrzymowanie na Wschód – przez Indie do Chin, to znaczy w głąb siebie samego, bo to nie całkiem geograficzne Indie i Chiny. Realnie rzecz biorąc, znaczenie miała tu nie tyle geo-, ile biografia: spotkanie z tymi właśnie ludźmi, czytanie tych właśnie książek, słuchanie tej właśnie muzyki – w tym właśnie czasie.

Czas był nad podziw sprzyjający dla takich wewnętrznych pielgrzymek: system społeczny żądał *aktywności obywatelskiej*, czyli, inaczej mówiąc, ideologicznego konformizmu i wojowniczego karierowiczostwa. Hermann Hesse proponował nader kuszącą alternatywę – konsekwentny pacyfizm, indywidualizm i dystans. Dla mnie, zawsze skłonnego do mieszania przyczyn i skutków, każde słowo jego pism pobrzmiewało echem hipisowskich dążeń w stronę Szambali i Katmandu, a czasem też czymś znacznie bardziej konkretnym – kapelą rockową Steppenwolf, której nagrań nigdy jednak nie udało mi się odnaleźć.

Nazwałbym go nauczycielem zbawczego eskapizmu. Szczepnie mówiąc, był to kiepski nauczyciel – w tym sensie, że podobnie jak wszyscy samoucy unikał zdefiniowanych raz na zawsze systemów i jeśli już kogoś za sobą prowadził, to wyłącznie przez manowce. To znaczy przeciwnie – właśnie dlatego był wspianiałym nauczycielem. Przecież droga przez manowce jest jedyną możliwością dla tego, kto chce być wolnym outsiderem. Tu nie chodzi o to, by dojechać jako pierwszy, tu najwyraźniej nie chodzi nawet o to, by w ogóle dojechać.

Nie mogę uniknąć pokusy nazwania go pisarzem pokoleniowym. Czytanie Hessego dla wielu spośród tych, których znam jak siebie samego, zbiegło się w czasie ze wszystkimi możliwymi inicjacjami. Towarzyszył niejednemu z nas w młodzieńczych wędrówkach i był czymś w rodzaju niewidzialnego drogowskazu – jak słusznie zauważył na podstawie doświadczeń innego

już pokolenia Tymko Hawryliw – „pomimo słodkawej pastelowości swego blasku”. Taka religia nie mogła być ani wieczna, ani nawet długotrwała. Gdy pisarz opuszcza podręczny stolik, jest to pożegnanie nie tylko z jego światem, ale też z własnym wyczerpanym wcieleniem: zrzucanie skóry, wieczna zdrada.

Ale oto zdarzyło się, że równo pół życia później, otwierając oczy, zobaczyłem siebie rozpakowującego książki. To była moja biblioteka, którą przewiozłem w nowe miejsce i którą staram się teraz rozmieścić w nieznanym jej przestrzeni. Nie wiem, jak jej tu będzie, ale przewiduję pewną nieprzewidywalność. Wpada mi w ręce ten sam Hesse, *Gra szklanych paciorków*, perła literatury światowej zdobyta dwie dekady wcześniej w zamian za tomik wierszy Jewgienija Jewtuszenki *Utriennij narod*. Zaczynam wertować kartki, wdychać zapach papieru, który w istocie jest skondensowanym zapachem wczesnych lat siedemdziesiątych, i nieoczekiwanie łapię się na prawie nieprzeparłej chęci, by znowu uciec w Hessego, zamieszkać w jego aśramie, odnaleźć tam wreszcie swoje ostatnie, swoje pierwsze, swoje pierwsze i ostatnie terytorium – i żeby tyle mnie widzieli.

Nie szukam na oślep. Chcę wiedzieć, jak się to wszystko skończy. Ostatnie zdanie jego powieści brzmi oszałamiająco: „Lasu nie opuścił już nigdy”.

Dobrze, że jest taki las. Dobrze, że zawsze jest gotów do siebie wpuścić.

2002

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

W ostatnich dniach lutego (dobrze, że w tym roku było ich o jeden więcej!) najpierw trafiłem w lustro własnej powieści, a potem zbliżyłem się do jednej z największych tajemnic świata.

Tak więc najpierw wywożę człowieka wysoko w góry, by w towarzystwie innych nieznanym mu osób uczcił pamięć dawno zmarłego, ale wcale nie mniej przez to żywego poety – ma się o nim rozmawiać, słuchać jego wierszy, czytać coś na temat od siebie i o sobie. W tym celu wszyscy zostają umieszczeni w zamku, a dokładniej w „zamku”, bo tak naprawdę jest to hotel, ale w tej części świata górskie hotele są zazwyczaj stylizowane na zamki: monumentalna budowla z wieżą, przybudówkami i przestronnym prostokątem wewnętrznego dziedzińca. Hotel nazywa się „Zamek Elmau”, góry – Alpy, część świata – Bawaria. A poeta, którego należy uczcić – Gottfried Benn.

Tak, ten sam – najbardziej długowieczny z ekspresjonistów (w przeciwieństwie do swoich skłonnych do samobójstw poetów-rówieśników Benn zmarł dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku, przeżywszy równo siedemdziesiąt lat), choć, rzecz jasna, nie w tym tkwi przyczyna nieśląbnącego nim zainteresowania. Jak zaświadczyła zeszłoroczna ankieta berlińskiego czasopisma „Literaturen”, większość niemieckich pisarzy młodszych generacji właśnie jego uważa za

najważniejszego poetę minionego stulecia. To nie musi być opinia pozytywna – Benn do dziś nie tylko przyciąga, ale i odpycha, nie tylko zachwyca, ale i drażni. To ostatnie jest w dużym stopniu spowodowane jego zawodem. Sądzę, że wyjątkowe dla nowoczesnej liryki połączenie cynizmu i sentymentalizmu osiągnął Benn przede wszystkim dzięki codziennej i wieloletniej praktyce medycznej, do tego nader specyficznej: patoanatomia, choroby skórno-weneryczne. Doktor Benn dosłownie obronił swoją pozycję zawodową w lazaretach pierwszej wojny światowej, a podczas drugiej tak samo rozcinał trupy, obserwując rozpad i rozkład. Zatem jedynym możliwym dla niego kultem był kult Piękną Spazmatycznego. Za czasów narodowego socjalizmu oficjalnie zabroniono mu pisać (właśnie tak, *pisać*, nie mówiąc już o druku) – jego wiersze uznano za brudne zakusy na ideały wyższej rasy. Piękno, podobnie jak rasa, musiało być zdrowe, pozbawione spazmów.

Tyle na razie o Bennie. Teraz o miejscu, w którym go czciliśmy.

Zamek Elmau wymyślił i założył charyzmatyczny teolog protestancki, który nazywał się nadzwyczaj niewymyślnie, wprost nijako: Johannes Müller. Nie przeszkodziło mu to w zawładnięciu nieprzeciętnymi duszami wielu jemu współczesnych. Droga Müllera prowadziła przez etykę Spinozy i coraz bardziej stanowcze negowanie wszelkich instytucjonalnych struktur Kościoła, do źródeł czystej religijności – funkcjonującej poza intelektem i jego spekulacjami, wyłącznie na podstawie wewnętrznej wolności i zmysłowego przeżywania świata. Jedną z jego utopii stał się zamek – „wolna przestrzeń życia osobistego”, „miejsce odpoczynku dla zdrowych, ale obciążonych codziennym bytowaniem jednostek”, swego rodzaju „sanatorium dla znużonych”, gdzie praktykowano by swobodną wymianę

myśli, serwowano dobre, urozmaicone jedzenie, urządzano górskie przechadzki, kąpiele lecznicze, koncerty i – co wcale nie błahe – tańce, a wszystko to na tle wzorcowych i okazowych alpejskich krajobrazów. Jego projekt wydał się przekonujący: hrabina Elsa Waldersee wsparła finansowo tę utopię i w latach 1914–1916 (Benn w tym okresie amputował już kończyny ciężko rannych i zaszywał jamy brzuszne zabitych) zamek Elmau został zbudowany.

Johannes Müller był wrogo nastawiony do polityki, z zasady nie czytywał gazet i nie słuchał radia, a dyskusje na jej temat były na terenie zamku zabronione. W związku z tym jego wyobrażenia na temat ówczesnego społeczeństwa były dość niezwykłe. Dojście Hitlera do władzy w 1933 roku powitał artykułem o konieczności „narodowej rewolucji Niemców”, równocześnie podkreślając, że jej głównym motorem powinna być najbardziej oświecona warstwa narodu, czyli niemieckie żydostwo. Reżim nie mógł się nim nie zainteresować – już w 1939 roku zabroniono mu wygłaszania odczytów i opuszczania zamku. Do zamknięcia go w obozie jednak nie doszło – najwyraźniej władze Rzeszy nie bardzo wiedziały, jak z nim postępować: publiczne wystąpienia ostro potępiające antysemityzm kapryśnie łączył ze skrajnie nacjonalistyczną retoryką pangermańską. To właśnie z tego powodu postawiono go po zakończeniu wojny w stan oskarżenia. Zmarł w 1949 roku, nie doczekawszy zakończenia procesu.

Zamek przeszedł wówczas na własność jego potomków i z biegiem lat przemienił się w zwykły hotel, ale z wyczuwalnym antropozoficznym akcentem (wschodnie masaże, sesje medytacji, symbolika solarna, koncerty muzyki klasycznej, jazzowej i newage'owej oraz konferencje literackie, na przykład poświęcone Bennowi).

Ale to wszystko była przedmowa, a teraz o mojej przygodzie.

Wyobraźcie sobie ten statek, ten rozjaśniony ogniami wysokogórski „Titanic”*, tę odrobinę dekadencją, przesiąkniętą sanatoryjno-kurortowymi zapachami atmosferę, tych starusieńkich niemieckich panów i panie, ich dzieci i wnuki, te teatralne stroje obsługi, sauny, łaźienki i płaszcze kąpielowe, symbole solarne, migocząca maza, domyślne swastyki. Wyobraźcie sobie, że moje okna wychodzą na wewnętrzny dziedziniec – wieczorem lubię obserwować okna przeciwległego skrzydła. Znajduje się tam ogromna sala z żyrandolami, w której dziś wieczór trwają tańce – jak pragnął wielki Müller. Tańce te pozostają dla mnie nieme, do tego są niemieckie, a ja jestem tu cudzoziemcem, nie słyszę podkładu muzycznego (fortepian? pianola?), ale widzę, jak niezliczone milczące niemieckie pary w strojach wieczorowych długo i nieprzerwanie wirują w jakimś chyba walcu. W pewnej chwili wszystkiego robi się tak wiele – wirowania, śniegu, ogni, liryki Benna, kapeluszy z piórkiem, antropozofii, dwóch wojen światowych i dwóch podczas nich porażek, patoanatomii, Holocaustu, rozkładu i rozpadu, aryjskich początków i alpejskich źródeł – że czuję zbliżanie się jakiejś ogromnie ważnej odpowiedzi.

Nie znajduję jej, ale wystarcza mi samo zbliżanie.

2004

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

* Rok po napisaniu tego tekstu przypadkowo dowiedziałem się, że zamek Elmau niemal doszczętnie spłonął. Teraz trwają prace przy jego odbudowie. Muszę ostrożniej dobierać porównania i metafory.

Śnią mi się działania bojowe. Zeszłej nocy usiłowałem uciec, skacząc z kamienia na kamień (krajobraz był górski i południowy), od dwóch oficerów, którzy przypominali białogwardzistów. Mieli pistolety, a ich kule zwyczajnie nie miały się gdzie podziać – z wyjątkiem trafienia w moją czaszkę. Obudziłem się na moment przed uderzeniem jednej z nich w moją potylicę.

To niewątpliwie skutki lektury.

Książki, które ostatnio czytam, są kontynuacją moich znajomości. Przyjaciele przynoszą je i mówią: „Czytaj”. Czasem nawet zmuszają: „Powinieneś to przeczytać!”. Tym razem przyjacielem była Natasza Goerke, polska pisarka z Hamburga, czyli według hamburskiego rachunku – pisarka. Między nami wytworzył się szczególny poziom zaufania po tym, jak przypadkowo wyszło na jaw, że urodziliśmy się nie tylko w tym samym roku, ale i dniu.

Natasza Goerke podarowała mi książkę, która zeszłej jesieni otrzymała nominację do Nike – najważniejszej polskiej nagrody literackiej – i weszła do finałowej siódemki. Oczywiście była to najlepsza z nominowanych książek. Oczywiście żadnej nagrody nie dostała. Tak często bywa z najlepszymi książkami.

Ta książka to dokument i nie podejmuję się osądzać, czego jest w nim więcej – reportażu czy raportu. Jej autor,

trzydziestotrzyletni dziennikarz Wojciech Tochman, pisze o Bośni i Hercegowinie w kilka lat *po tym*. To – oznacza ludobójstwo, serbsko-muzułmańsko-chorwacką rzeź (cóż za łagodne słowo!) z lat 1992–95. W centrum tej okrutnej książki znajdują się opisy ekshumacji, rozpoczętych zgodnie z decyzją najwyższych europejskich instancji pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Czyli wtedy, gdy ciała zamordowanych rozłożyły się już w gołej ziemi na tyle, by odsłonić kości. Słowem, w tej książce chodzi o swego rodzaju *inną archeologię*: odnajdowanie miejsc masowych pochówków, odkopywanie ludzkich szczątków, składanie ich w całość, identyfikowanie, ponowne pogrzeby. Chodzi o tysiące plastikowych worków z na razie niezidentyfikowanymi „szczątkami ludzkimi” – według roboczej terminologii ekspertów międzynarodowych, *body bags*. Chodzi o strach świadków (katów? ofiar? wszakże nie ma czegoś takiego jak po prostu *świadkowie!*) – którzy do dziś przychodzą na miejsce zbrodni tylko nocą i ukradkiem zostawiają ekspertom umówiony znak, na przykład pudełko po papierosach: tu kopać. Chodzi o rzecz w istocie nieuleczalną i niezmywalną – o ślady jednej z tych wojen, podczas których tak zwani *żołnierze* porządnie zajmują się przeważnie dwoma sposobami *obrony ojczyzny* – zabijaniem chłopców i gwałceniem dziewczynek.

Książka nosi tytuł *Jakbyś kamień jadła*. To wymaga komentarza. W jednej ze scen czterdziestodwuletnia muzułmańska kobieta co noc widzi ducha zakatowanego na wojnie męża. Już nawet nie chce go oglądać, ale on i tak przychodzi. Rano syn mówi jej, że znów całą noc zgrzytała zębami. „Jakbyś kamień jadła” – dodaje.

To zgrzytanie naprawdę ma jakieś podziemne, pochodzące nie z tego świata źródło: zbezczeszczone ludzkie szkielety na dnie każdej niemal jaskini, dziury, studni. Nieco ponad sto

stron nie tyle prostego, ile *bardzo* prostego tekstu. Krótkie i nadzwyczaj wyraziste, a równocześnie jakby prawie niedokończone rozdziały. Dokument, który niejako sam z siebie, bez wysiłku ze strony autora, przechodzi w metaforę, a ta w metafizykę. Zwyczajnie zdania opisowe. Choćby takie:

„Body bags leżą teraz na ziemi w ciemnym baraku. Czekają na kogoś, kto się do ich przyzna. Białe plastikowe torby z zamkiem błyskawicznym – coś jak pokrowiec na męski garnitur, tylko że długi na dwa metry”.

Albo: „W Potoczarach kobietom i dzieciom kazano iść na prawo, mężczyznom na lewo. O tym, czy chłopiec jest jeszcze dzieckiem, decydował sznurek, który powieszono na wysokości 150 centymetrów. Który chłopak był wyższy – tego odbierano matce”.

Albo: „Ci mężczyźni w Republice Serbskiej, z którymi uda się pogadać, opowiadają: w czasie wojny byliśmy kucharzami. I ci z Serbii, którzy przychodzili tutaj im pomóc, też jedynie gotowali. Wszyscy ciągle to powtarzają, także między sobą, chyba już w to uwierzyli”.

Albo: „Zabierali pieniądze, biżuterię, telewizory, garnki. Ze stodoł traktory, maszyny, narzędzia. U nas była bogata wieś. Drugi dzień przyszedł, trzeci, czwarty. Siedziałyśmy głodne w domach. Brudne, bez wody. Upał nie do zniesienia. Na ciałach naszych mężów pasły się muchy”.

Chcę wreszcie odłożyć to gdzieś na bok – i książkę, i wszystko, co w sobie mieści. Chcę powtórzyć za Olgą Tokarczuk, której słowa umieszczono na okładce: „Jestem zła na siebie, że to czytam, ale nie mogę przestać. Wolałabym przejrzeć jakieś kolorowe magazyny, pójść z psami na spacer. Jednak czytam”.

Po co mi ten śmiercionośny upał pełen much? Po co ten smak kamienia w ustach? Po co on tam jechał, ten Polak, i siedział

dwa lata, i czemu oni wiecznie się w coś wtrącają, czemu pchają w to nos? Niby że co, że mają jakieś dziwne poczucie odpowiedzialności za wszystkich?

Niewątpliwie po stokroć miał rację Mykoła Riabczuk, kiedy w odpowiedzi na jeden z moich wcześniejszych tekstów pisał o naszej wspólnej odpowiedzialności. Ma zresztą rację nie po stokroć, a po tysiąckroć, twierdząc, że naprawdę zasługujemy na to, by być tam, gdzie jesteśmy. Sądzę, że nie bez znaczenia jest tu fakt, iż u nas nikt nigdy nie napisał prawdy o Bośni. U nas tę prawdę przeważnie starano się przemilczeć. Jasne, z tradycyjnego ukraińskiego punktu widzenia do Bośni jest po prostu bardzo daleko – po cóż więc o niej mówić? Ale i o Wołyniu 1943 roku mówiono u nas mało i tylko dla porządku – nie dało się uciec przed rocznicą, która na szczęście jest już za nami. Tak więc nie tylko nie mamy własnego Tochmana. My do dziś nie zdołaliśmy wydać u siebie książki innego bezlitosnego polskiego reportera, Pawła Smoleńskiego, z jego dotkliwą prawdą o akcji „Wisła”. Milczę o obydwu czeczeńskich książkach Rosjanki Politkowskiej*. Podsumowując, brak podobnych dokumentów literackich nader wyraźnie świadczy o naszym poziomie obywatelskiego zniewolenia i zahamowań.

Chciałoby się jednak na wyroku nie kończyć.

W jednej z końcowych scen książki Tochmana opisano wymianę jeńców między serbskimi i muzułmańskimi wojskami. Widać, że pojmanych muzułmanów trzymano w znacznie gorszych warunkach, dosłownie w obozach koncentracyjnych. „Co z nimi zrobiliście? – pyta dowódca muzułmańskiego oddziału swoich serbskich odpowiedników. – Ile oni ważą? Po trzydzieści

* Sytuacja trochę się poprawia: Drugą wojnę czeczeńską Politkowskiej wydano na Ukrainie w 2004 r., książkę Smoleńskiego w 2006 r.

kilogramów? Ja wam daję waszych, każdy po sto kilo wagi. Za jednego trzech nam powinniście dawać!”. To żart, i wszyscy się śmieją. Jeńcy chyba też.

Ja też chcę się śmiać. Może nawet by mi się to udało, gdyby nie kamień, straszliwy kamień w ustach.

2004

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

CZĘŚĆ IV

TE CZASY
JUŻ NIE WRÓCĄ

Bertien van Manen, holenderska fotografka, przysłała mi swój najnowszy album. Nigdy się nie spotkaliśmy i nawet nie wiem, ile ma lat, ale bardzo chciała, żebym napisał do tego albumu coś w rodzaju przedmowy. Całą wiosnę spędziłem z jej wybranymi pracami, które przekazała na dwóch płytach CD. Pisanie wstępu do tego albumu stało się szukaniem odpowiedzi na jedno proste pytanie: dlaczego się fotografujemy?

Czasem zdaje mi się, że odpowiedź jest równie prosta: dlatego że człowiek ma tylko jedno, do tego przemijające, życie.

Na przykład dwa lata służby w wojsku były straszliwą kradzieżą najlepszych czasów młodości. Pozostawało tylko cieszyć się, że to jednak wojsko radzieckie, a nie carskie, gdzie trwałoby to nie dwa lata, ale całych dwadzieścia pięć.

Ale z drugiej strony dla większości z nas to przeklęte wojsko stanowiło w istocie jedyne ważne wydarzenie życiowe. Mając dwadzieścia lat, człowiek wracał na tak zwaną wolność, szedł do pracy, na przykład siadał na traktorze w jakimś, dajmy na to, kolchozie, mając lat dwadzieścia jeden, żenił się, dwadzieścia dwa – zostawał ojcem pierwszego dziecka i – koniec, kropka, dalej tylko praca, wódka, szybko nadchodząca starość, dzieci, żona, rutyna, rodzina. Często spotykałem ten typ – tak w wieku

lat czterdziestu, jak i pięćdziesięciu wciąż opowiadali o służbie w wojsku, o tym, co się z nimi wtedy działo. Bo o czym jeszcze mogli opowiadać?

Na jednym ze zdjęć, zrobionym wiosną 1984 roku w lesie pod Hajsynem, widzę ich sześciu (siódmy to ja sam). Mołdawianin Walera Karp, prosty i wytrzymały wieśniak winiarz. Uzurow (jak on miał na imię – Raszid?), przedstawiciel nieznanego mi wcześniej małego narodu Dunganów, niski, zwinny i sprytny. Obok niego jeszcze jeden Azjata – Tola Sadykow, Ujgur, zawsze seksualnie rozmarzony. Dalej Rosjanin Kostiuszyn, niewyraźny i tępowy osiłek. Za nim Czeczen Szydijew, też chyba Raszid, choć może Abduraszid – buntownik absolutny nawet w warunkach wojskowej niewoli. W końcu Litwin Dapkus, też ze wsi, kierowca cysterny o mózgu siedmiolatka. Stoimy na pokrywie silosa raketowego, pod nami strategiczna otchłań radzieckiej groźby wojskowej, mamy nagie torsy, jesteśmy po zęby uzbrojeni AKM-ami i świeżymi kwiatami. Właśnie tak staliśmy tamtego dnia, w tamtym lesie, tamtej wiosny.

Ale gdzie teraz jesteście, moi towarzysze niedoli? Wszyscy powinniście mieć dziś trochę ponad czterdziestkę – wiek wystarczający nie tylko do tego, by czuć zmęczenie życiem. I rzeczywiście – dlaczego by nie przypuścić, że połowy z was nie ma już wśród żywych? Że mały Dungan Uzurow już dobre dziesięć lat temu został zabity koło chińsko-kazachskiej granicy podczas kolejnej bójki kurierów narkotykowych? Że wiecznie wycofany Kostiuszyn już dawno skonał na białą gorączkę w psychiatryku swego rodzinnego miasta Tuły? Że czeczeński bojownik Szydijew wyleciał w powietrze na postawionej przez rosyjski specnaz minie albo wysadził się sam – w połowie lat dziewięćdziesiątych, na początku dwutysięcznych czy, powiedzmy, przedwczoraj?

I wszystko, co nas, dziś żywych i umarłych, na zawsze połączyło – to ta głupawa fotografia z wojska zrobiona *ku pamięci*.

Pamięć jest wartością absolutną. Fotografia to równocześnie i środek, i cel – zatrzymany, skondensowany czas, którego, jak wiadomo, nie da się zatrzymać. Fotografia to w istocie echo krzyku duszy, za Faustem. Czasem, kiedy fotograf prosi nas, byśmy powiedzieli „cheese”, wydaje mi się, że mówię „Jesus”.

Bertien van Manen objechała niezliczone kraje, by sfotografować fotografie. Musiała wchodzić do mieszkań i dusz, a także do mieszkań dusz i dusz mieszkań. Było to badanie fotografii we wnętrzu – jeśli przez „wnętrze” rozumieć trochę więcej niż tylko „pomieszczenie” – jeśli na przykład pamiętać o wnętrzu człowieka.

To jej przekraczanie prywatności dostarcza bardzo ważnego – przede wszystkim w swej naiwności – wniosku: tak naprawdę nigdzie nie znikamy. Wystarczy tylko zebrać się w sobie i dobrze ustawić przed aparatem – w mundurze, sukni ślubnej, baletowej paczce, kapeluszu myśliwskim, okularach przeciwsłonecznych, na tle wiosennego lasu, na plaży, na tańcach, na korridzie, z pierwszy i ostatni raz zawiązanym krawatem, z bratem, siostrą, mamą, macochą, z kochankiem i mężem, z puzonem i kontrabasem, z ulubioną zabawką, z ulubionym psem, z dyktatorem, też ulubionym, przed pierwszą komunią, przed ostatnim rykiem surmy, przed wejściem do krematorium...

Zostaliśmy uprzedzeni: „Patrzcie tu, zaraz wyleci ptaszek!” – i tak z pewnością będzie, ptaszek zawsze wylatuje ze swojej klatki, a my pozostajemy uśmiechnięci (cheese!) i wieczni (Jesus!).

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Z chwilą przejścia na czas zimowy nasze wieczory znacząco się wydłużają – przybywa im cała godzina mroku. W ślad za tym spostrzeżeniem człowiek nagle uświadamia sobie przemijanie czasu i mimowolnie zamyśla się nad uludą skończoności i innymi marami nocy. Mniej więcej o tej porze, na tym nie całkiem wyraźnym przełomie późnej jesieni i wczesnej zimy, kolejny rok z rzędu docierają też do nas wieści dotyczące jednego i wciąż tego samego tematu (czyżby od dziś miał już być wieczny?): naszych biją.

Stało się to czymś w rodzaju sportu sezonowego. Mówiąc ściślej, to polowanie, a polowanie jest właśnie sportem. Niewidoczne w ciemności watahy siedmiu-dziesięciu osób bez jakichkolwiek racjonalnych przyczyn napadają na samotnego przechodnia. Nie zdąża on nawet wypowiedzieć w myślach swojego po ludzku uzasadnionego „Ale za co?“, a już pada na asfalt. Dalej wszystko zależy od jego szczęścia, a także umiejętności osłaniania głowy, brzucha i organów płciowych. Zdarte ubranie i odebrany portfel wcale nie są tutaj celem samym w sobie, w żadnym razie nie chodzi o jakąś zwykłą grabież. Jak każdy rodzaj sportu, także ten powstał z czystego ducha współzawodnictwa i walki. Niewykluczone, że gdzieś wewnątrz tych polujących środowisk prowadzona jest jakaś bezwzględna punktacja.

Niewykluczone, że walczą ze sobą różne drużyny i każdy szczęśliwie strącony na asfalt przechodzący obiekt daje kolejny punkt. Nie wiem dlaczego, ale gdzieś mniej więcej po Nowym Roku ta fala opada. Tak, oczywiście, podobna historia może się przydarzyć każdemu, w ciągu całego roku. Ale najważniejsze to przetrwać właśnie ten okres katastrofalnego zaniku dziennego światła – listopad i grudzień.

Od dawna lubię te miesiące za ich bezgranicznie długie wieczory. Gdzieś od wczesnych lat osiemdziesiątych, kiedy po przejściu wszystkich niezbędnych inicjacji zostałem dopuszczony do najulubieńszego obrzędu ukraińsko-radzieckiej bohemy, zacząłem znajdować w tym mrocznieniu świata własną szczególną radość. Obrzęd, który mam na myśli, nosił nazwę *prowadzania kozy* i muszę choć w kilku słowach opisać jego przebieg.

Tak więc potrzebna jest kawiarnia, restauracja, bar – coś, na co w naszych okolicach mówi się knajpa, potrzebne jest też nieprzesadnie liczne, ale dostatecznie przyjemne towarzystwo, krzykliwe bufetowe, gaszenie niedopałków na spodeczku (bo skąd miałyby się wziąć popielniczki, skoro palenie zabronione?!), spojrzenie za okno – ciemna noc, spojrzenie na zegarek – ledwie szósta. Potrzebny jest stan rosnącej duchowej euforii wywołanej równocześnie przez dwa bardzo silne czynniki – alkohol i rozmowę. Co do pierwszego – wszystko jasne, a drugi to sztuka dla sztuki, czyli sztuka czystej wody.

Takich knajp albo, powiedzmy, *pracowni twórczych* w ciągu wieczora ma być co najmniej cztery-pięć (spojrzenie za okno, spojrzenie na zegarek – ledwie ósma, dziewiąta, dziesiąta, jedenaście, życie jest piękne i długie). I cała istota prowadzania kozy tkwi w przemieszczaniu się między nimi. Przy czym ta wirtualna koza za każdym razem zostaje przywiązana gdzieś przed wejściem do kolejnego lokalu i tam cierpliwie czeka na dalszą

podróż. Po drodze ktoś zawsze zostaje z tyłu i znika, pochłonięty przez noc, ktoś inny znów dołącza. Dla rozwinięcia wątku niezbędne jest pojawienie się w towarzystwie kogoś niesympatycznego albo niepożądanego. Na przykład kogoś znacznie bardziej pijanego od pozostałych, w wyniku czego wątek rozmowy zaczyna się rwać, a sama rozmowa schodzi na psy. Albo kogoś o niepięknej reputacji („z tym to ostrożnie – powiadają, że to agent, ma w teczce włączony dyktafon!”). Jednak, pomimo obecności nastroszenie-uszatego „tego”, pomimo wyraźnie słyszalnego szelestu służbowej taśmy magnetofonowej w jego teczce, rozmowa trwa i *show must go on*, jak oznajmi nieco później wielki autor *Cygańskiej rapsodii* Freddie Mercury. Polityka, poezja, metafizyka. Ukraina, estetyka, śmierć, seks.

To ostatnie w nieunikniony sposób powodowało na pewnym etapie pojawienie się przynajmniej jednej damy, niekoniecznie urodziwej, choć na tym etapie to już – zgódźmy się – tak bywa. Na nowo rosło dzięki temu ożywienie i napięcie, zaczynały się nieco uparte jelenie potyczki z zadzieraniem głów i potrząsaniem pięknymi, rozłożystymi rogami. Wszystko to i tak niczego nie zmieniało, bo dama tak samo nieoczekiwanie znikająca, znikają jakieżś kolejne typy, znikają uliczne latarnie, znikająca odwiązana przez kogoś koza, pozostawali najwytrwalsi.

Mogło to trwać i do rana, chociaż ja najbardziej lubiłem, żeby kończyło się tak o pierwszej-drugiej. Oto pozostało was już tylko dwóch – ty i twój kum. Gdzieś na rozstajach wasza ostatnia rozmowa pod ostatni papieros – jakaś kompletna psychodelika. Rozszerzenie świadomości wyznacza nieobjętość duszy i pożegnalnych uścisków.

Potem już tylko – jedno jedyne na całą gigantyczną noc – prawo moralne we mnie i niebo gwiazdziste nade mną, a jakie

wersy spadają wprost z tego nieba, jakież mądre i sensowne monologi na dowolny temat udaje się wygłaszać! Jaka celność w doborze słów, jakie trafianie w dziesiątkę i w jabłuszko! Do jutra wszystko to gdzieś uleci, ale o jutrze ani słowa. Jest tylko przepełnione radością tu i teraz. Chciałoby się witać z obcymi facetami, ścisnąć im dłonie, częstować papierosami, nie wiedzieć czemu dawać swój numer telefonu...

Te noce już nie wrócą. Trudno powiedzieć, kiedy się to zaczęło, ale jakoś tak się już stało w ciągu ostatnich kilku lat, że zamiast listopada i grudnia nadchodzi swego rodzaju MMM – mała miejscowa martyrologia. Naszych biją – przeważnie podczas ich nocnych powrotów, kiedy „prawo moralne i niebo gwiazdziste”. Dowiaduję się, że temu złamali żebro, tamtemu szczękę, jeszcze inny ma wstrząs mózgu, a ktoś tam – jak to się mówi? – „obrażenia cielesne w stopniu średnim”. Społeczeństwo przechodzi transformację i – dzięki wysiłkom swego najmłodszego pokolenia – pozbywa się na wieki przeklętej bohemy. Jeszcze trochę, a prowadzenie kozy stanie się kompletnie rozpaczliwym rytuałem ostatniej garstki indywidualistów czy może inwalidów.

Pozostają próżne rozważania na temat „A gdyby tak pistolet?”. Ale ja nie chcę nawet o tym myśleć. Zwyczajnie wyciągam z bezpiecznego ukrycia moją berettę compact i ruszam na kolejne nocne polowanie.

2002

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Słowa umieszczone w tytule wypisane były ogromnymi literami na jednym z wiaduktów gdzieś między Berlinem i Brandenburgiem, było je widać z daleka, a potem pod nimi przejechaliśmy. Autor napisu musiał bardzo mocno kochać. Jestem pewien, że chodziło o Ukrainkę, i jeszcze do niej wrócimy.

Droga albo dokładniej mówiąc podróż, ze wszystkimi jej znakami, przypadkowymi aluzjami, perspektywami i olśnieniami, to jedna z moich pasji. Po prostu wyglądam przez okno i pochłaniam, nie, odwrotnie, droga pochłania mnie – to przypomina trans: miejsce wykorzystuje mnie, jak chce, o czym już kiedyś pisałem. To takie melancholijne laboratorium – właśnie w drodze łowią przypuszczenia na temat świata, które potem mogą powrócić w postaci zapisanych słów. Dlatego w drodze lubię być sam i nie lubię nieznamomych rozmówców.

Tym razem miałem nadzieję, że między Warszawą Centralną a Berlinem Zoo będę miał całe sześć godzin takiej samotności. Ale on zaczął mówić od razu – o tym, że w przedziale duszno, że od okna ciągnie, że on też (niech to szlag!) do Berlina, o czymkolwiek. Potem opowiedział, że jedzie już od szóstej rano, bo tak w ogóle to jest z jakiegoś Białegostoku, a do Berlina tylko na parę godzin, chociaż tam właśnie mieszka, ale już wieczorem leci do Paryża, bo tam będą jakieś cholerne targi.

Miał koło trzydziestu lat i tak właśnie wyglądał – na typowego, jak się to u nas nazywa, prywaciarza – duży, ciężki i łysy. Zdarzają się uosobienia stereotypów.

Nie mogłem już milczeć po jego pytaniu, skąd i dokąd jadę. Taka otwartość zobowiązywała do wzajemności.

O, u mnie w firmie też pracują chłopcy z Ukrainy, poinformowałem. Personel techniczny. Aha, powiedziałem. Świetni fachowcy i porządni ludzie, ciągnął – tak jakby to była sensacja. Są z... pomyślał chwilę i w końcu przypomniał sobie, że z Zaporozża. Fachowcy wysokiej klasy, pochwalił jeszcze raz. Aha, no tak, odpowiedziałem.

U was naprawdę żyje się tak biednie jak na Białorusi? spytał po chwili przerwy. Wynikało z tego, że na Białorusi już był. Zacząłem niechętnie tłumaczyć, na czym polegają podobieństwa, a na czym różnice. Z moich wyjaśnień wynikało, że na Białorusi jest gorzej (mówiąc między nami, wciąż mam taką nadzieję – to zawsze brzmi pocieszająco). Opowiedział, że jego mamusia ma na Białorusi fabrykę pluszowych zabawek. Wyprodukowane na Białorusi zabawki są potem sprzedawane w Polsce. Misie tam różne, kotki, jaguary. Sam pomagał mamusi wozić gotowy towar. Ale bez pistoletu niebezpiecznie tam jeździć. Teraz wszędzie jest niebezpiecznie bez pistoletu, podsumował dziarsko.

Przez następną godzinę z jego inicjatywy zagłębialiśmy się w labirynty bieżącej sytuacji społeczno-politycznej w krajach byłego ZSRR, tak ogromnie pozostawionych z tyłu przez jego rodzimą Polskę. Obiecałem mu decydujące wybory prezydenckie na Ukrainie jesienią tego roku. Taki bogaty kraj nie powinien żyć tak biednie, odpowiedział rozsądnie.

Po czym poszedł do wagonu restauracyjnego, a ja zdecydowałem się udawać, że zasnąłem. Potem był postój w Poznaniu,

czyli połowa drogi. Udawałem, że czytam, ale chciał wiedzieć co. Odkładałem gazetę na bok i patrzyłem przez okno. Miejsce wykorzystywało mnie, jak chciało, o czym już pisałem.

Bliżej niemieckiej granicy oznajmił, że powinien się wreszcie sam wybrać na Ukrainę. Na przykład do wspomnianego Zaporozża. Nie pytałem po co, ale sam powiedział – żeby znaleźć kilka nowych dziewczyn do firmy. Teraz jest ich u mnie osiem, opowiadał, cztery Polki, dwie Białorusinki i dwie Ukrainki. Ale firma się rozwija, teraz możemy już dać pracę nie ośmiu, a piętnastu dziewczynom. A co one u ciebie robią? zainteresowałem się po raz pierwszy.

I wtedy – jak piszą w bulwarowych powieściach – wszystko wyszło na jaw. Malowniczo rozwinął przede mną wszystkie zalety swojej firmy, inaczej mówiąc – internetowej strony pornograficznej. Klient może przejrzeć zdjęcia, zapoznać się z *techniczno-fizjologiczną charakterystyką* proponowanego towaru, dokonać wyboru, spotkać z upatrzoną dziewczyną na czacie, a za dodatkową opłatą nawet zobaczyć za pośrednictwem kamery internetowej, wszystko na żywo, autentycznie, patrzy na nią i wyraża swoje życzenia, trzeba tylko z góry uzgadniać czas trwania takiego seansu, bo dziewczyn jest mało, a klientów mnóstwo.

I co daje taki seks z monitorem? spytałem. Zaspokojenie seksualne, odpowiedział. Jednym wystarcza sama rozmowa, inni proszą, żeby dziewczyna się rozebrała, jeszcze inni – żeby tańczyła albo masturbowała się. Przy czym tak naprawdę dziewczyny są nietknięte nawet palcem, to nie jakaś tam prostytutka, tylko zupełnie uczciwa praca, czasem, jeśli będą miały szczęście, może się w nich ktoś zakochać i ożenić, zwłaszcza różni tam Amerykanie, przylatują tu aż ze swojego Las Vegas, byle tylko ożenić się z kimś z Europy Wschodniej.

Same zalety, przytaknąłem. A powiedz, pytał triumfalnie, czy na Ukrainie one mogą zarobić dwieście euro miesięcznie? Raczej nie, odpowiadałem. Na ogół nie mogą. A u mnie mają od dwustu do trzystu euro dziennie, zapewnił. Ale języki trzeba znać, przynajmniej angielski. Dziewczyny ze Wschodu słabo znają języki, chociaż Ukrainki opanowują angielski szybciej niż Białorusinki.

Nie mówił nic o Polkach, choć miał ich aż cztery. Pewnie jeśli chodzi o angielski, są poza konkursem. A mnie przyszło na myśl, że ciężar przekleństwa wiszącego nad każdym krajem można mierzyć tempem opuszczania go przez dziewczyny.

I dopiero teraz przypomniał mi się ten napis, ogromne litery na jednym z wiaduktów gdzieś między Berlinem i Brandenburgiem – nocny krzyk niemieckiej duszy, który to już raz znieściska ogarniętej wschodnioeuropejską miłością.

2004

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Wczesnym wieczorem piątego lipca po raz pierwszy znalazłem się na alpejskiej połoninie Morgeten, 1655 metrów nad poziomem morza, godzinę marszu od wododziału mórz Północnego i Śródziemnego, czyli w kolejnym Środku Europy. Niebo i zbocza otaczających gór powlekała szarawa mgła, zza której nieprzerwanie podzwaniały setki ledwie widocznych krów. Zbierało się na deszcz i ochłodzenie, ze wszystkich stron nadciągała burza. Odetchnąłem mieszaniną zapachów starego drewna, dymu, gliny, trawy, gnoju, mleka, czegoś tam jeszcze – i pogodziłem się z myślą, że spędzę tu dziewięć najbliższych dni.

Przygoda zaczęła się pod koniec zeszłego roku, kiedy zadzwonił do mnie Chrigu Haueter: „Jestem szwajcarskim wieśniakiem, wysoko w Alpach robię ser i właśnie przeczytałem pana *Ostatnie terytorium*”. Okazało się, że to trochę za wiele informacji, jak na jedno zdanie, nawet współrzędnie złożone. Zdołałem jedynie mruknąć w odpowiedzi coś w rodzaju „Bardzo mi miło”, nie całkiem zresztą do tego „miło” przekonany. A Chrigu ciągnął: „Chciałbym przywieść panu trochę sera – w prezencie”. To już wyglądało na jakiś (całkiem zresztą chłopski) żart. „I jak my to zorganizujemy?” – starałem się, by zabrzmiało to możliwie sceptycznie. „Przywiozę go panu do domu”. Po chwili milczenia dodał: „Jeśli znajdzie pan dla mnie godzinę”.

Siódmego stycznia, akurat na Boże Narodzenie, naprawdę się zjawił – w towarzystwie żony Anny i kilkorga przyjaciół. Czuli się niepewnie: jechali do nas wynajętym na Zakarpaciu busikiem i podróż przez zaśnieżone góry zajęła znacznie więcej czasu, niż się spodziewali. Od razu przypadliśmy sobie do gustu i przeszliśmy na ty, nawet nie zdążywszy wypić nalewki z wódką. Chrigu okazał się mężczyzną żylastym i dowcipnym. Wśród innych podarków zostawił trzy kawałki własnoręcznie zrobionego simmentalskiego sera, każdy o własnej nazwie – „Ostatnie terytorium”, „Erz-herz-perc” i „Fenomen stanisławowski”. Zanim się rozstaliśmy, wyszedł na balkon i wyśpiewał z niego w bożonarodzeniową noc coś ogromnie powolnego i archaicznego (później dowiem się, że był to szczególny rodzaj śpiewu pasterskiego – Alpsegen)...

Potem były listy elektroniczne, z których wynikało, że Chrigu rzucił palenie („Od tamtej pory wszystko wokół mnie pali, nawet krowy w oborze ukradkiem zaciągają się dymem, ledwie się odwróć”) oraz że nowo narodzonego byczka nazwał na moją cześć Jurijem, że w wolnych chwilach czyta dzienniki szwajcarskie Tołstoja i zaprasza mnie w lecie na swoją połoninę. W kwietniu przysłał mi plik dźwiękowy z krowimi dzwonkami i tamtym archaicznym śpiewem. Nie wytrzymałem i trzy miesiące później znalazłem się w tej archaiczności.

Szwajcarzy to dziwni ludzie. Wielu jest wśród nich uciekinierów, którzy porzucają swoje nazbyt komfortowe życie, to ekolodzy z krwi i kości. Ich kraj jest tak mały, że uciekać można tylko pionowo, to znaczy w góry.

Było zimno i pochmurno, oznaki cywilizacji pozostały daleko w dole (oddzielone dwunastokilometrową stromą, przeważnie niewyafaltowaną, ale wysypaną żwirem serpentyną), a tu stały stare, pociemniałe drewniane chaty, stara serowarnia,

przerobiona na jadalnię ze schroniskiem dla wędrowców, stare ławy i stoły, stare zamki w drzwiach, wyłożona wiekowymi kamieniami podłoga, stare kotły, piece, które w żadnym razie nie mogły ogrzać tych ponad miarę ascetycznych pomieszczeń – spać trzeba było w ubraniu. Wieczorem czytaliśmy żwawo napisaną *Rosyjską Szwajcarię* Michaiła Szyszkina albo gromadziliśmy się w kręgu świec i przy wtórze wyjących wiatrów rozgrzewaliśmy sznapssem, na wyciągnięcie ręki od wszystkich tutejszych Celtów, Alemanów i ułożonych przed progiem, wydobytych z ziemi kłów słoni Hannibala. Było wspaniale.

Spółdzielnia serowarów na połoninie Morgeten liczy sobie co najmniej czterysta lat i działa na zasadach sformułowanych dla takich wspólnot jeszcze w VII–VIII wieku – wspólna własność ziemi i prywatna – zwierząt. „To prawdziwy średniowieczny socjalizm – mawiał Chrigu. – Takich jak my jest coraz mniej, globalizacja pożera nas razem z naszymi komunami i resztkami naszego *uczciwego sera*”. Pewnego dnia przyszło dwudziestu Japończyków – urządzono dla nich pokaz, wszystko rzecz jasna sfilowali i teraz pojedą do siebie robić własny ser, nie podejrzewając nawet, że to marna sprawa. Seans dla Japończyków prowadził Alex, dorosły syn Chrigu, syna serowara, który był synem serowara, syna serowara. Wszyscy mężczyźni z rodziny Haueterów zawsze robili ser. Przyszedł mi do głowy tytuł potencjalnej powieści – *Diabeł tkwi w serze*.

Nie wiedziałem, że Szwajcaria jest jak Huculszczyzna – tak samo ciemno, zimno i ciężko. Że to tak naprawdę bezmiar pracy, najczęściej beznadziejnej, skazanej na niewdzięczność. Jednak ja z wdzięcznością patrzyłem, jak Chrigu walczy i produkuje swoje coroczne dziewięć ton *uczciwego*, biologicznie czystego sera. Jak już mówiłem, jest żylasty i wesoły, do tego pisze opowiadania o duchach. Któregoś wieczora zjechało do niego kilkudziesięciu

gości (był tam i miejscowy ksiądz, i miejscowy weterynarz) i odbyło się publiczne czytanie tych strasznych opowiadań przez specjalnie zaproszonego z Lozanny aktora.

Ale o strachu myślałem nie wtedy, ale pierwszej nocy. Gdzieś między czwartą a piątą nad ranem w końcu zebrało się na burzę; uderzyła ze wszystkich sił i obudziła mnie w pokoju gościnnym pod samym dachem. Przez okno w dachu patrzyłem w górę, na błyskawice i wodospady spadające z niebios w nieprzenikniomych ciemnościach, nic lepszego niż „łało jak z cebra” nie da się tu wymyślić, grzmoty wstrząsały grzbietem Stockhornu od nizin po szczyty, a ja wyobrażałem sobie porzucone na stoku krowy, jak wciskają się w glinę i trawę i zamykają oczy ze strachu, i jak boją się schodzić w dół po rozmytych przez ulewę zboczach, więc zastygają, wtulają się w ziemię i cichną tak, jak w oborach cichną przerażone kozy, śwynie i kury, jak pękają przestraszone serca obydwu królików...

Rano okazało się, że tym razem wszyscy przeżyli.

2004

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Tym razem zacznę od krowiej czaszki.

Wisiąca nad wejściem do wysokogórskiego schroniska Morgeten (1653 metry nad poziomem morza). Właściciele nazywają je restauracją, ale w rzeczywistości jest to raczej jednak schronisko – wędrowcy zdążający jednym z tutejszych szlaków mogą zamówić tu nocleg i posiłek. Tak naprawdę to stara serowarnia. Pisałem już o tych miejscach w 2004 roku – i o samych miejscach, i o ludziach, którzy nadają im sens. Mój przyjaciel nazywa się Chrigu Haueter i teraz przyjechałem do niego po raz drugi.

Na zdjęciach sprzed ponad dwóch lat jej (to znaczy czaszki) nie widać. Chociaż możliwe, że tylko nie zmieściła się w kadrze. Ale jestem prawie pewien, że musiałbym ją zapamiętać podczas poprzedniej wizyty. Zapamiętałem przecież „stare ławy i stoły, stare zamki w drzwiach, wyłożoną wiekowymi kamieniami podłogę, stare kotły, piece, które w żadnym razie nie mogły ogrzać tych ponad miarę ascetycznych pomieszczeń”.

A wracając do czaszki. Pamiętam z dzieciństwa opowieści mojego ojca o tym, jak to jako uczeń technikum leśnego trafił do wsi rosyjskich staroobrzędowców na Bukowinie. Zgodnie z jego słowami mieli oni zwyczaj nabijania na pale i wystawiania

na podwórzach czaszek zwierząt domowych, które wcześniej mieszkały w ich gospodarstwie. Coś w rodzaju panteonu dla zmarłych braci i siostr.

Opowieści ojca przypomniały mi się nie od razu, a dopiero wtedy, gdy Chrigu, wskazując na tę przybitą nad wejściem do jego – no dobra, restauracji – czaszkę, powiedział: „A właśnie, to jest tamta krowa”.

O krowie opowiadał wyżej – chyba już po tym, jak weszliśmy razem na Bürglen (2165 metrów) i rozejrzeliśmy się na wszystkie cztery (albo i czterdzieści cztery) strony świata. Właśnie tam zrozumiałem, dlaczego Chrigu tak nalegał, żebym znów tu przyjechał. Naprawdę było zupełnie inaczej niż latem 2004 roku. Dlatego że w lecie wszystko tam dzwoni – na każdym zboczach pasą się dziesiątki krów, a ich dzwonki nie milkną ani na moment. A teraz wszystko zamarło, krowy są na dole, nigdzie żywego ducha, i w tym stanie zaczyna się rozumieć, czym jest absolutna cisza. Słuchaliśmy jej tylko przez chwilę, spoglądając to na skłaniające się ku zachodowi słońce, to na splachetki świeżego śniegu na wciąż jeszcze zielonej trawie, to na kilka maleńkich jeziorzek w dole, to na tyle samo symetrycznych do nich chmur w górze. Wszystko, na co patrzyliśmy, mieściło się w słowie „góry”. Było diablo wysoko, przejrzyście i pięknie, widać było całutką Szwajcarię, a do tego jeszcze po sporym kawałku innych krajów, z którymi graniczy.

Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej ciszy. Aż bolały od niej uszy. Taka absolutna cisza, podobnie jak absolutna ciemność, jest chyba nie dla nas. Przez „nas” rozumiem żywych. Na szczęście to nie trwało wiecznie, bo gdzieś jeszcze wyżej, nad nami, pojawiły się nagle niebieskie fale dźwięku – niewidoczne samoloty szwajcarskich wojsk powietrznych, przelot szkoleniowy niezniszczalnych myśliwców, jak zawsze o tej porze.

Ruszyliśmy w dół nie ścieżką, ale na przełaj, znacznie bardziej stromym zboczem – na tyle stromym, że nasze nogi w każdej chwili mogłyby się od nas oderwać i pobiec dalej całkiem niezależnie. Spytałem: „Ale na tę wysokość to już krowy nie wchodzi?” I bardzo się zdziwiłem, słysząc w odpowiedzi: „I to jak!”. A potem Chrigu powiedział, że pewnego razu obserwował ich schodzenie w dół zbocza – mniej więcej tędy. Coś je wtedy przestraszyło, ruszyły nagle, wszystkie pięć, czy nawet sześć, ale jedna miała chore nogi i nie nadążała. Zatrzymała się więc i chwilę stała w zamyśleniu. „Było widać, jak to się w niej odbywa, w jej głowie, jak pracuje mózg, jak rozważa różne warianty, przebiera możliwości – opowiadał Chrigu. – A potem ruszyła w przeciwną stronę, pod górę. Zdawało mi się, że to bez sensu, ale właśnie tam znalazła sobie znacznie łagodniejsze zbocze i szczęśliwie dotarła nim na dół”.

To dziwne, ale my też zeszliśmy na dół bez przygód. Po drodze zdążyliśmy porozmawiać o kilku innych bardzo ważnych sprawach, o globalnym ociepleniu, o Alemanach i Celtach, o złotym korzeniu rosnącym tu na każdym kroku, o tym, że wieczorem wypijemy sześćdziesięciopięcioprocentowej nalewki z niego zrobionej.

I dopiero tam, koło „restauracji”, kiedy już wsiadaliśmy do jego samochodu, wskazał na czaszkę ze słowami: „A właśnie, to jest tamta krowa”.

I to było najgorsze ze wszystkiego, co mogło mi się tamtego dnia przytrafić.

Przełożyła Katarzyna Kotyńska

SPIS TREŚCI

PROLOG

BERLIN, KARTKI Z DZIENNIKA (32) 7

CZĘŚĆ I · Z NIENAPISANEJ KSIĄŻKI GRANICE EUROPY

W POCIĄGU RELACJI BAZYLEA-BERLIN, 23.10.2006 . . . 13

Z NIENAPISANEJ KSIĄŻKI GRANICE EUROPY 16

JAK RYBY W WODZIE. 29 RZECZNYCH PIOSENEK 22

TO TYLKO WIDMO, ALE WCIAŻ JESZCZE KRĄŻY 35

CZĘŚĆ II · FANTAZJE NA TEMAT OTWARTOŚCI

ORGAN ODPOWIEDZIALNY ZA MIŁOŚĆ 47

...NO STRANNOJU LUBOWJU 54

KRAINA MARZEŃ 67

FANTAZJE NA TEMAT OTWARTOŚCI 77

A MOŻE JAWORSKI MA RACJĘ? 86

TREFFPUNKT GERMASCHKA 90

WHAT LANGUAGE ARE YOU FROM? UKRAIŃSKI

PISARZ WŚRÓD POKUS TYMCZASOWOŚCI 110

CZĘŚĆ III · NIECO DALEJ NIŻ POZWALA JĘZYK

KRYJÓWKA DLA BOCCACCIA 129

O UMLAUT. 132

NIECO DALEJ NIŻ POZWALA JĘZYK 136

PÓŁ ŻYCIA PLUS MINUS HESSE 142

TAŃCZĄCY Z BENNEM	147
SMAK KAMIENIA	151

CZĘŚĆ IV · TE CZASY JUŻ NIE WRÓCĄ

BERLIN, KARTKI Z DZIENNIKA (25)	159
TE CZASY JUŻ NIE WRÓCĄ	162
OKSANA ICH LIEBE DICH	166
SZWAJCARSKA SZWAJCARIA	170
OBERWIL IM SIMMENTAL, 26.11.2006	174

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

www.czarne.com.pl

SEKRETARIAT: ul. Kollątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl

REDAKCJA: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

DZIAŁ PROMOCJI: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, joanna@czarne.com.pl

anna@czarne.com.pl

DZIAŁ SPRZEDAŻY: Beata Motyl, MTM Firma

ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa

tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: DESIGN PLUS

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków

tel./fax 012 432 08 52

Druk i oprawa: OPOLGRAF SA

ul. Niedziałkowskiego 8-12, 48-085 Opole

tel. 077 454 52 44

Wołowiec 2007

Wydanie I

Ark. wyd. 6,2; ark. druk. 11,25

To, co można znaleźć w książce, stanowi zaledwie zarys konceptu, jaki chodzi mi po głowie. Na razie wiem, że moja Wolna Europa byłaby oparta na zasadach sprzecznych z przyjętymi w Unii. Chodzi bowiem o wyeliminowanie procesu, który z jednej strony prowadzi do zjednoczenia państw, a z drugiej tworzy nowe podziały. Chciałbym, aby zachodni Europejczycy uświadomili sobie, że ich kontynent jest o wiele większy niż Unia. Pragnę też, by Ukraińcy nie myśleli o Zachodzie jak o innej planecie. Abyśmy wreszcie zrozumieli, że pokonamy izolujące nas przeciwności.

(Jurij Andruchowycz
w rozmowie z Bartoszem Marcem
„Rzeczpospolita”)

Przygoda zaczęła się pod koniec zeszłego roku, kiedy zadzwonił do mnie Chrigu Haueter: „Jestem szwajcarskim wieśniakiem, wysoko w Alpach robię ser i właśnie przeczytałem pana *Ostatnie terytorium*”. Okazało się, że to trochę za wiele informacji, jak na jedno zdanie, nawet współrzędnie złożone. Zdołałem jedynie mruknąć w odpowiedzi coś w rodzaju „Bardzo mi miło”, nie całkiem zresztą do tego „miło” przekonany. A Chrigu ciągnął: „Chciałbym przywieźć panu trochę sera – w prezencie”. To już wyglądało na jakiś (całkiem zresztą chłopski) żart. „I jak my to zorganizujemy?” – starałem się, by zabrzmiało to możliwie sceptycznie. „Przywiozę go panu do domu”. Po chwili milczenia dodał: „Jeśli znajdzie pan dla mnie godzinę”.

(fragment tekstu *Szwajcarska Szwajcaria*)

 jazz
radio

 ma
chi
na

 panorama
Kultury

 onet.pl

 PRZEGLĄD
POLITYCZNY

 Notes



Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7536-000-4



9 788375 360004